**WYPRZEDAŻ MIENIA**
Kto zyskał, kto stracił na inwestycjach w Polsce

**KARDYNAŁ HLOND**
Dlaczego trwają spory o jego beatyfikację

**MUNDIAL W ROSJI**
Dowiedz się, czemu zaraz wszyscy oszaleją

**ROBERT BRYLEWSKI**
Poruszał wszystkich, nic nie miał w zamian

# ZDRADA ELIT

Kraków 17 czerwca 2018 nr 25 (3597) | cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

## „Targowica donosi na Polskę w Brukseli"

## „4 czerwca łże-opozycja sprzedała naród"

## „Hańba senatorom PiS!"

## „Zdradzili ich o świcie"

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
25
9 770041 480802

REKLAMA

# MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN

POLIN
MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH

# OBCY W DOMU

## WOKÓŁ MARCA '68
## WYSTAWA CZASOWA
## 09.03 – 24.09.2018

WWW.POLIN.PL

OBCY W DOMU
WOKÓŁ MARCA '68

MECENAS

WSPÓŁORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

WSPARCIE

TAUBE FOUNDATION

WILLIAM K. BOWES, JR. FOUNDATION

GEOP

Sills Family Foundation

David Goldman i Debbie Bisno oraz Fellowships at Auschwitz for the Study of Professional Ethics / Marek i Agnieszka Nowakowscy / Andrzej i Małgorzata Rojek / Jerry Wartski z rodziną / Paul Goldner i Sandy Soifer

NEUBAUER FAMILY FOUNDATION

PATRONI MEDIALNI

zwierciadło · sens · wyborcza · wyborcza.pl WARSZAWA · cojestgrane24 · ams · HISTORIA · naszemiasto · empik · VIVA!

PARTNER INSTYTUCJONALNY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

KS. ADAM

# Boniecki: *Proces kardynała Hlonda*

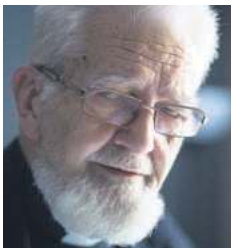

Według mojej wiedzy procesy kanonizacyjne prowadzone są z niezwykłą ostrożnością. André Frossard, autor znakomitej książki o św. ojcu Kolbe (wyd. polskie „Pamiętajcie o miłości"), pisząc ją odkrył, że nawet jeśli w wyniku procesu nie dojdzie do beatyfikacji, to zebrane materiały (tzw. Positio) są kopalnią rzetelnych informacji o osobie, której dotyczą, i czasach, w których żyła. W procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne Stolica Apostolska angażuje swój prestiż i wiarygodność. Pamiętam, jak w 1985 r. zakwestionowano rzetelność procesu kanonizacyjnego Marii Goretti, dopatrując się w nim manipulacji. Wtedy Watykan podjął precyzyjną rewizję procesu i ostatecznie zarzut został odparty. Dlatego zgłaszane do Kongregacji zarzuty zawsze są traktowane poważnie. W przypadku wątpliwości odstępuje się od postępowania procesowego, w końcu nikt nie musi być beatyfikowany, bo świętość nie jest wynikiem beatyfikacji ani kanonizacji. Kościół wierzy w świętych niekanonizowanych i czci ich w dniu Wszystkich Świętych. Jeśli kogoś ogłasza świętym, to po to, by ukazać światu piękno świętości. Były przypadki, że nie kanonizowano kanonicznie uznanych kandydatów na ołtarze, że z racji politycznych dziesiątki lat zwlekano z kanonizacją, np. żeby nie prowokować jakiegoś reżimu, kanonizując jego ofiary. Warto tu dodać, że ogłoszenie kogoś świętym czy błogosławionym nie oznacza, że był on człowiekiem powszechnie uwielbianym, wolnym od błędów i wszelkiej niedoskonałości.

Piszę to w związku z listem rabina Davida Rosena, który słysząc o zbliżającym się zakończeniu procesu beatyfikacyjnego kard. Augusta Hlonda zwrócił się w imieniu Komitetu Żydów Amerykańskich do przewodniczącego Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan kard. Kurta Kocha z ostrzeżeniem, że ta beatyfikacja będzie odczytana jako aprobata jego niezwykle negatywnego podejścia do Żydów.

Wystosowanie tego listu uważam za fakt pozytywny. Widać, że Komitet poczuwa się do zapobieżenia kolejnym napięciom, do których, ku zaskoczeniu strony katolickiej, wiele razy dochodziło nie tyle ze złej woli, co z niewiedzy. List rabina Rosena dał asumpt do debaty nad wysuniętą w liście kwestią (patrz artykuł Macieja Müllera). Przytaczane z tej okazji teksty prymasa Hlonda wskazują na to, że trzymając się nauki Kościoła, przeciwstawiał się teoriom rasistowskim oraz potępiał stosowanie przemocy wobec Żydów (i nie tylko). Jednak... nawet broniący Hlonda trzeci jego następca na stolicy prymasowskiej (2009-10), abp Henryk Muszyński, przyznaje, że „dla dzisiejszego człowieka język, słownictwo i charakterystyka Żydów, ukazana w przedstawionym liście [chodzi o list pasterski z roku 1936 „O katolickie zasady moralne"] jest dość niezwykła, by nie powiedzieć szokująca". To prawda, lecz abp Muszyński tłumaczy to kontekstem historycznym.

Osoba kardynała Hlonda od wielu lat jest przedmiotem wnikliwych badań. Ks. Stanisław Kosiński SDB, autor szeregu rozpraw związanych z kard. Hlondem, wydał siedmiotomowe „Acta Hlondiana". Proces beatyfikacyjny trwa od 1992 r. Zebrana dokumentacja została przekazana do Stolicy Apostolskiej w 1996 r., a Positio (blisko 1800 stron) oficjalnie zaprezentowano w roku 2008. Tak więc papież podpisał dekret o heroiczności cnót po 10 latach badań.

Nie sądzę, by problem stosunku kardynała Hlonda do Żydów nie był uważnie zbadany, ani żeby Kościół mógł dziś wynieść na ołtarze kardynała antysemitę. ©℗


TP *Chwalimy się!*

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

**ZA WYSOKI POZIOM DZIENNIKARSTWA** i debaty publicznej oraz jakość tekstów, za przywracanie prawdziwego znaczenia słów i pojęć, za otwartość na różne interpretacje wydarzeń, za tolerancję i wiarygodność, uczciwość i przyzwoitość – laureatem nagrody magazynu „Zwierciadło" został „TYGODNIK POWSZECHNY". Nagrodę odebrali także: Małgorzata Szumowska, Katarzyna Nosowska, Martyna Wojciechowska, Dawid Ogrodnik i Józef Wilkoń.

**AUTORZY NOMINOWANI W TYM ROKU** do Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza są lub byli związani z „Tygodnikiem" – Grzegorz Bogdał, Adam Robiński, Aleksandra Lipczak, Marcin Wicha, Paweł Sołtys.

**KSIĄŻKA NASZEJ WSPÓŁPRACOWNICZKI** Magdaleny Nowickiej-Franczak „Niechciana debata" otrzymała Nagrodę im. Ossowskiego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego za najlepszą książkę socjologiczną w 2017 r. dla autora, który nie ukończył 35 lat.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

**5 Reforma w świecie fikcji**
PAWEŁ BRAVO

**6-9 Wiadomości / Komentarze**

**18 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

**62 Tygodnik Czytelników**

■ ■ KRAJ

**20 Nic nam się nie należy**
KLAUS BACHMANN: *Do PiS powoli dociera, że w grze z Unią naprawdę można stracić pieniądze i pozycję*

**24 Rózgi naszej powszedniej**
ANNA GOLUS: *Bicie dzieci i poradniki*

**26 Ludzie, nie liczby**
JACEK TARAN: *Odzyskiwanie pamięci o Żydach z Krościenka nad Dunajcem*

■ ■ WIARA

**30 Prymas Hlond bez retuszu**
MACIEJ MÜLLER

**36 Pożywka dla memów**
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: *Zdjęcie księdza w kabriolecie podczas procesji Bożego Ciała zaczęło żyć własnym, internetowym życiem*

**38 Mieszkanie z widokiem na przyszłość**
DOROTA BIDZIŃSKA: *Ks. Józef Krawiec i strzelecka Barka pomagają wchodzącym w dorosłość*

■ ■ ŚWIAT

**42 Wszystkie faule Moskwy**
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Sport to w Rosji więcej niż sport*

**46 Węgierska Realpolitik**
DOMINIK HÉJJ

**48 Tak, jesteśmy populistami**
PAWEŁ BRAVO: *Nowy włoski rząd*

**49 Cios dla kartelu**
PIOTR OLEKSY: *Mołdawska polityka*

GRZEGORZ JAKUBOWSKI / PAP

**10 Kiedy Reytan ma Dzień Świstaka**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Zdradzić może przyjaciel, małżonek czy rodak, ale nie wróg. On jest jedynym, który nie może tego zrobić. A osławiona zdrada elit to już całkowite załamanie ładu. Ci, którzy powinni stać na straży interesów Polski, sprzedają ją w obce ręce.

**14 Kto rzekł, że to zdrajca**
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ HASKĄ, KULTUROZNAWCZYNIĄ:

Polska gra w zdradę od ponad 200 lat. Używa jej do określania tożsamości. Do pokazania, gdzie się kończy „wspólnota", a zaczynają się „oni".

■ FELIETONY ■

**29** ANNA DZIEWIT-MELLER
**41** SZYMON HOŁOWNIA
**53** ANDRZEJ STASIUK
**81** PAWEŁ BRAVO
**90** STANISŁAW MANCEWICZ
**90** BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATEK SPECJALNY ■

**Labirynty industrii**

Fotografia na okładce: SILVER SCREEN COLLECTION / / GETTY IMAGES / MONTAŻ „TP"

Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

**50 Amerykański czas niepewności** JAN SMOLEŃSKI

■ ■ HISTORIA

**54 Mundialito**
SZYMON OPRYSZEK: *40 lat temu Urugwaj zdobył nieformalny tytuł piłkarskiego mistrza świata*

■ ■ NAUKA

**58 A jaka jest twoja liczba Erdösa?** ŁUKASZ LAMŻA

**60 Publikuj albo giń**
PIOTR WASYLCZYK *o świecie publikacji naukowych*

■ ■ KULTURA

**68 Jest życie na wyspie**
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ SZEJNERT, REPORTERKĄ:
*Póki nie opowiemy swoich historii, nie ruszymy z miejsca*

**72 Przypadki Paula Austera**
JAN BALBIERZ

**74 Wypalony anioł**
DOROTA KOZIŃSKA *o operze „Ognisty anioł" Prokofiewa w reżyserii Mariusza Trelińskiego*

**76 Przełamując fale**
ROBERT KASPRZYCKI:
*Robert Brylewski był duszą rocka*

**78 Łańcuch i dewizka**
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Sweet Country"*

**79 Warto zobaczyć w TV**

**80 Mała wielka książka**
LEKTOR *o „Zgiełku czasu"*

■ ■ ZMYSŁY

**82 Mistrzostwa świata dla opornych** DARIUSZ KOSIŃSKI

**86 Portret piłkarza w czasach młodości**
ROZMOWA Z ŁUKASZEM WIŚNIOWSKIM

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietoniści:** Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
**Reklama, promocja:** tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
**Prenumerata:** tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

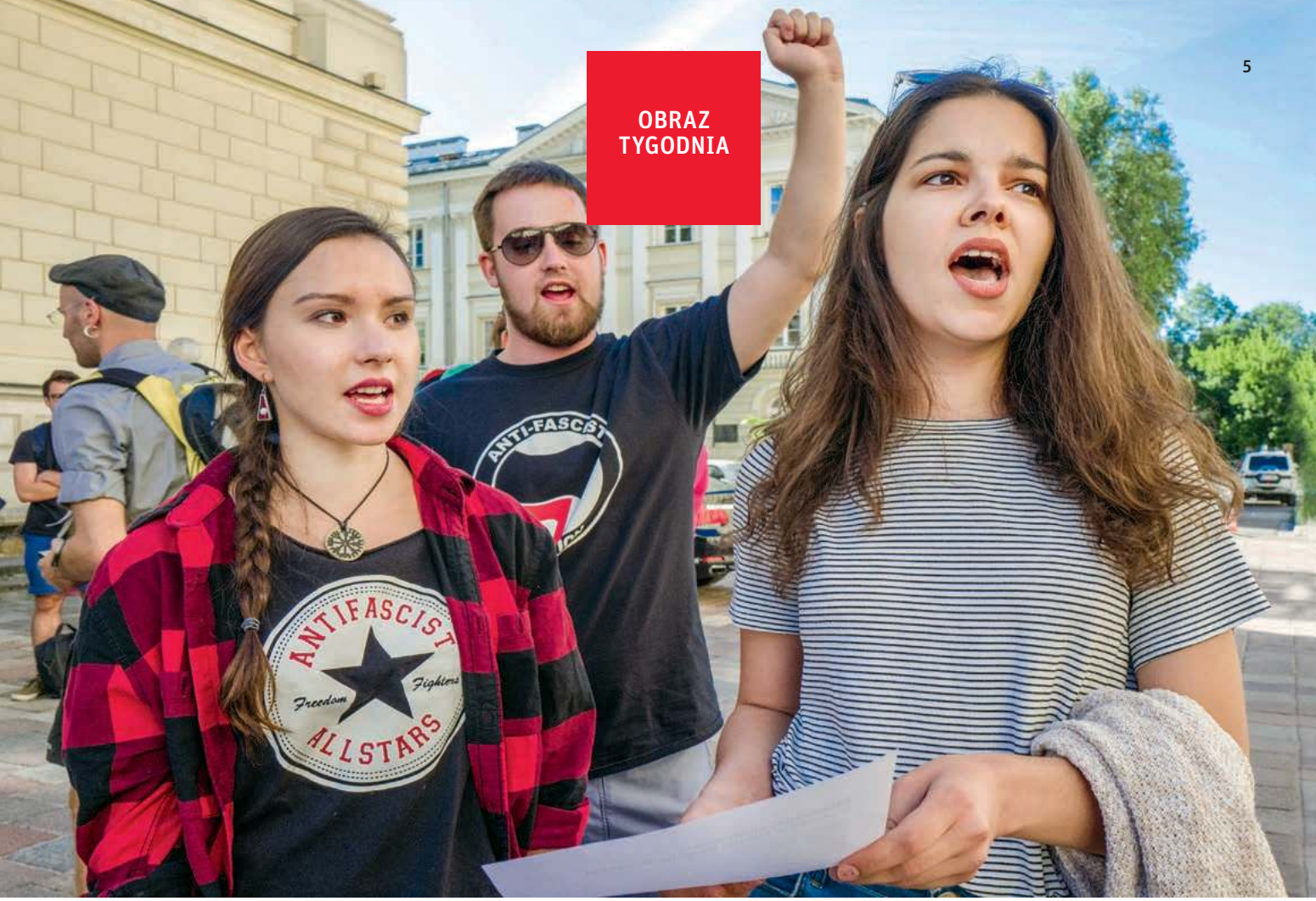


# REFORMA W ŚWIECIE FIKCJI

Protest części środowiska akademickiego, zainicjowany okupacją balkonu rektoratu UW, rozszerza się na inne miasta. Chodzi o zablokowanie prac nad tzw. Ustawą 2.0 Jarosława Gowina.

PAWEŁ BRAVO

Ustawa ta, zaprezentowana po raz pierwszy jesienią, po wprowadzeniu wielu poprawek wydawała się długo tkwić w zawieszeniu, bo w samym obozie władzy poparcie dla zmian w szkolnictwie wyższym nie było jednoznaczne – np. z powodu zapisów niosących potencjalnie prestiżowe straty dla uczelni w miastach średnich wielkości, co zawsze budzi opór lokalnych baronów partyjnych. A także z uwagi na chwiejną pozycję samego Gowina w niedemokratycznym układzie na szczytach „dobrej zmiany" – skuteczne wprowadzenie reformy byłoby wzmocnieniem jego pozycji politycznej. Ostatnio sprawa nabrała tempa, po uzyskaniu – co jest w dzisiejszej Polsce najważniejszą sankcją – „błogosławieństwa" prezesa, i do drugiego czytania sejmowego może dojść nawet w tym tygodniu, by nowe zapisy obowiązywały od przyszłego roku akademickiego.

W tym sensie późny termin wszczęcia protestów – niezbyt korzystny, bo w czerwcu trudno sobie wyobrazić prawdziwy „bunt na uniwersytetach" – można rozpatrywać w kategoriach manewru dającego przeciwnikom Gowina w PiS argumenty, by na ostatniej legislacyjnej prostej odkręcić sprawę.

Warto ten kontekst mieć na uwadze, tak samo jak fakt, iż przynajmniej wedle marnych

*Strajk studentów przeciwko reformie szkolnictwa wyższego. Pałac Kazimierzowski, Warszawa, 6 czerwca 2018 r.*

WOJCIECH KRYŃSKI / FORUM

↦

↦ polskich standardów ostatnich lat ustawa była dość szeroko konsultowana, w czym brały udział także środowiska organizujące obecny protest. Ich głos nie został wystarczająco wysłuchany, ale i tak w stosunku do pierwotnego kształtu zapisy np. o ocenie jakościowej (z idącym za tym uprzywilejowaniem kilku czołowych uczelni) zostały osłabione. Obecna wersja ustawy jest więc owocem kompromisu, a nie dyktatu wicepremiera, jak próbują nas przekonać protestujący.

W punkcie dotyczącym np. zagrożenia dla autonomii akademii (przez wciągnięcie do procedury wyboru rektora rady złożonej z postaci życia publicznego i gospodarczego spoza uczelni) protestujący zapominają, iż nowa ustawa daje istotnie lepsze umocowanie w tym procesie samorządowi studenckiemu. Jeśli jest on organizacją fasadową i organizatorzy protestów nie czują się przezeń reprezentowani, to mogą mieć pretensje do siebie, nie do ministra. Być może taki będzie pożytek z obecnej akcji, że skonsoliduje ona środowiska tak, by na jesieni przejęły nad samorządem kontrolę, z drugiej zaś strony wskaże rektorom (którzy mają dostać rzekomo „dyktatorską" władzę), iż mają podmiotowych partnerów.

Z większością sformułowanych ogólnikowo postulatów jest podobnie: wskazują na możliwe zagrożenia, ale pomijają fakt, że proponowane zmiany są całkiem sensowną odpowiedzią na dysfunkcje i bolączki obecnego systemu (np. zniesienie minimów kadrowych położy kres fikcyjnemu *de facto* zatrudnianiu profesorów „obsługujących" kilka mniejszych uczelni po to, by mogły owo minimum spełnić).

Tak naprawdę jedyne żądanie niebudzące kontrowersji dotyczy zwiększenia nakładów na naukę i badania (obecnie żałosne 0,45 proc. PKB). W warunkach finansowej mizerii nawet sensowne propozycje Gowina będą trafiać w próżnię albo tworzyć nowe fikcje, podobnie zresztą jak wiele patologii, których mimowolnie bronią protestujący, bierze się z biedy, a nie ze złej woli. ©℗ PAWEŁ BRAVO

## W SKRÓCIE

**KOLANO.** Po ponadmiesięcznym leczeniu Jarosław Kaczyński opuścił Wojskowy Instytut Medyczny, gdzie przeszedł zabieg kolana. „Prezes czuje się bardzo dobrze, coraz lepiej" – zapewniają w mediach politycy PiS, choć nieoficjalnie wiadomo, że Kaczyński w najbliższym czasie wróci do szpitala, gdzie czeka go wszczepienie endoprotezy stawu kolanowego.

**BARK.** Podczas jednego z ostatnich treningów przed piłkarskimi mistrzostwami świata najlepszy polski obrońca Kamil Glik doznał kontuzji barku, która może wyeliminować go z udziału w turnieju. W mediach informacji o barku jest więcej niż o kolanie; otoczenie piłkarza zapewnia, że on też czuje się coraz lepiej.

**ŻOŁĄDEK.** Bardzo dobrze czuje się także Andrzej Duda, mimo iż w jednym z krakowskich fast foodów zaczepiła go przedstawicielka elektoratu, pytając, czemu zgadza się na łamanie w Polsce konstytucji. Prezydent i jego żona wdali się z kobietą w polemikę, zarzucając jej, że „nie może się pogodzić z tym, kto wygrał wybory", my jednak – niezależnie od kwestii konstytucyjnych – nie możemy się pogodzić z tym, że głowa państwa odżywia się tak niezdrowo.

**GARDŁO.** Oczywiście naszą niezgodę łatwo można wytłumaczyć – zrobił to na spotkaniu we Wrocławiu premier Mateusz Morawiecki mówiąc, że „80 proc. wszystkich mediów radiowych, telewizyjnych, gazet, czasopism i mediów internetowych jest w rękach naszych przeciwników politycznych, którzy we wściekły sposób nas atakują".

**KISZKA.** A mogło być przecież tak pięknie: zamiast zachodzić do fast foodu, prezydent mógł pojechać do Supraśla, gdzie już po raz 20. odbyły się mistrzostwa świata w pieczeniu babki i kiszki ziemniaczanej. Zdrowiej by chyba nie było, ale pewno smaczniej.

WALDEMAR WYLĘGALSKI / / POLSKAPRESSE

# *Protest PiS-u nie zatopi*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Dzieło Beaty Szydło i Elżbiety Rafalskiej broni się samo" – grzmiał z mównicy Mateusz Morawiecki. Ale wystąpienie premiera przeczyło tym słowom: szef rządu bronił tego dzieła przez większość swojego przemówienia, zostawiając w tle problemy niepełnosprawnych. O ile na temat tej grupy powtarzał ogólniki – znowu było o reformie „całego systemu" i zabieraniu bogatym, by dać biednym – politykę społeczną zachwalał, rzucając liczbami. W tym wziętymi z sufitu: np. rzekomy sukces demograficzny programu 500 plus ilustrował porównaniem liczby narodzin w 2017 r. z... prognozami tej liczby sprzed czterech lat (gdyby dokonał prostszego porównania – z mniejszą o ledwie kilkanaście tysięcy liczbą narodzin w 2016 r. – wyszłoby, że sukcesu nie ma).

To jednak nie miało znaczenia: zgodnie z polityczną arytmetyką Rafalska i Szydło zostały obronione. Więcej: z sejmowego protestu PiS wychodzi prawie bez szwanku, notując niewielki spadek poparcia (o 5 punktów proc. wedle sondażu dla „Rzeczpospolitej" z 7–8 czerwca). Być może protest niepełnosprawnych spowoduje zmiany społeczne: większą wiedzę i wrażliwość na ich problemy. Jednak polskiej polityki raczej nie przemebluje. ©℗

PIXABAY.COM

## Kto zabija foki

**NAD POLSKIM MORZEM** znaleziono już zwłoki pięciu fok. Rybacy nie ukrywają, że to im chronione ssaki zalazły za skórę, wyjadając z sieci ryby. Słowa posłanki PiS Doroty Arciszewskiej-Mielewczyk, według której Bałtyk nie jest naturalnym ekosystemem dla fok, a ich obecność na polskich wodach to skutek działań niemieckich ekologów, dziwią tylko na pierwszy rzut oka: na przełowionym morzu coraz mniej osób zajmuje się rybołówstwem, ale to wciąż atrakcyjny elektorat. Rybacy nie byliby tak źli, gdyby nie to, że problemem jest sprawna wypłata odszkodowań za straty wyrządzone przez morskie ssaki.

50 tys. zł nagrody za wskazanie sprawcy zabójstw wyznaczyły fundacja i osoba prywatna. Minister środowiska Henryk Kowalczyk nie skomentował haniebnego procederu. Więcej na: powszech.net/foki © AR

JOE KLAMAR / AFP / EAST NEWS

## UE: chwiejne sankcje

**GDY POD KONIEC CZERWCA** unijni przywódcy spotkają się w Sofii, jednym z tematów szczytu będzie – jak co pół roku – przedłużenie sankcji wobec Rosji, wprowadzonych w 2014 r. za aneksję Krymu. Zapowiada się ostra dyskusja z niepewnym wynikiem.

Wprawdzie sankcje od początku miały licznych przeciwników w kręgach gospodarczych i politycznych Unii, ale udawało się osiągnąć zgodę, w czym dużą zasługę miała Angela Merkel. Teraz może być inaczej: prorosyjskie lobby umacnia się, zmienia się też klimat. Przesadna byłaby teza, że Trump wpycha Unię w ramiona Putina, ale np. w Niemczech zwolennicy zwiększenia wydatków na obronę postrzegają już jego połajanki jako kontrproduktywne. Rosjanie wykorzystują nastroje. Niedawno Putin sięgnął po zręczny zabieg: przyrównał sankcje do karnych ceł Trumpa wobec Unii.

A przede wszystkim: po raz pierwszy rząd jednego z głównych krajów Unii – Włoch – opowiada się jawnie za zniesieniem sankcji. Zaprzyjaźnieni z Kremlem włoscy populiści mogą liczyć na ciche poparcie Grecji, Węgier czy Austrii. Ta ostatnia przyjmowała właśnie Putina w Wiedniu z monarszymi honorami. A on, który raczej nieprzypadkowo zaszczycił Austriaków swą pierwszą podróżą zagraniczną w nowej kadencji, apelował o zniesienie „szkodliwych dla wszystkich" sankcji i dopieszczał gospodarzy, podkreślając pół wieku współpracy energetycznej (austriacko-sowiecką umowę na dostawy gazu podpisano w 1968 r.).

Aby sankcje przedłużono, konieczna jest jednomyślność. Dotąd nikt nie chciał założyć weta i wziąć na siebie moralno-politycznego odium. Teraz granica wstydu chyba się obniża.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

JESCO DENZE / AFP / EAST NEWS

**W ATMOSFERZE ROZDRAŻNIENIA** przebiegał w Quebecu szczyt G7, grupy najbardziej uprzemysłowionych państw świata. Po tym, gdy prezydent USA ogłosił wcześniej wysokie taryfy na import stali i aluminium (powołując się na „bezpieczeństwo narodowe"), Unia Europejska, Kanada i Meksyk odpowiedziały podwyżką ceł na niektóre amerykańskie produkty. W Kanadzie Donald Trump – na zdjęciu w otoczeniu innych przywódców G7 – odmówił nawet podpisania zwyczajowego komunikatu po zakończeniu rozmów. Jeśli, jak wieszczą niektórzy eksperci, USA i UE obłożą teraz wysokimi cłami np. import samochodów, wojna handlowa między zachodnimi sojusznikami zacznie się na serio. ©℗ ŻYM

# *Czy niemieccy Żydzi spakują walizki?*

**KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU**

Niemcy zrezygnowali z odpowiedzialności za nasze bezpieczeństwo w tym kraju. Czujemy się nie jak w 1933 roku, ale jak w 1928. A czas szybko leci" – alarmował pod koniec maja w artykule dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Zeev Avrahami, jeden z czołowych głosów izraelskiej diaspory w Berlinie. Jego tekst, podchwycony przez niemieckie media, podgrzał dyskusję o tym, czy Żydzi mogą się dziś czuć w Niemczech bezpieczni, czy mogą liczyć na ochronę ze strony państwa i współobywateli. W ostatnim czasie regularnie dochodzi tu bowiem do ataków na Żydów m.in. ze strony arabskich imigrantów. Np. niedawno w Berlinie Arab zaatakował Izraelczyka w jarmułce, a w ubiegłym tygodniu iracki imigrant zgwałcił i zamordował 14-letnią niemiecką Żydówkę z Moguncji (przyznał się do mordu; śledztwo wyjaśnia motywy).

Avrahami, który sam kilka razy doświadczył nieprzyjemnych sytuacji na ulicach, twierdzi, że Niemcy nie są zainteresowani podjęciem tematu wzrostu antysemityzmu w związku z napływem arabskich imigrantów, ale też – większego przyzwolenia na agresję ze strony skrajnej prawicy, zwłaszcza od sukcesu partii AfD w wyborach w 2017 r. Pisze, że wielu jego znajomych już wróciło do Izraela, a kolejni pakują walizki (oficjalnych danych na ten temat nie ma).

Wygląda to na początek debaty o przyszłości żydowskiej diaspory w Niemczech, w samym Berlinie liczącej tysiące osób. I fenomenu miasta „biednego, lecz seksownego", które w ostatniej dekadzie ściągało tu głównie izraelską lewicę, chwalącą Berlin za możliwość sąsiadowania z Arabami w pokoju i spokojne życie z dala od błędów izraelskiego rządu. Dziś stoi to pod znakiem zapytania. ©

# *Biskupi a komunia dla rozwodników*

ARTUR SPORNIAK

Możliwość komunii dla osób żyjących po rozwodzie w nowych związkach nie jest wypowiedziana wprost, niemniej w przyjętych właśnie przez biskupów „Wytycznych pastoralnych do adhortacji »Amoris laetitia«" można się dopatrzeć sugestii takiej możliwości. Ostrożność jest zrozumiała w polskim kontekście.

Rok temu wytyczne były już prawie gotowe – biskupi jasno odrzucali wtedy możliwość komunii dla osób w sytuacjach nieregularnych poza wyjątkiem „życia jak brat i siostra". Podczas zeszłorocznych wakacji coś się jednak wydarzyło – być może interweniowała Stolica Apostolska. Redagowanie dokumentu przeciągnęło się aż do niedawnego zebrania plenarnego Episkopatu.

Ogłoszone wytyczne nie zawierają wyraźnego przypomnienia o zakazie komunii – i to już wskazuje na zmianę podejścia. Kluczowy fragment, który sugeruje otwarcie, mówi o konieczności rozeznania sytuacji: „Podjęte rozeznanie może prowadzić do różnych, coraz głębszych form integracji ze wspólnotą kościelną. Powinno ono mieć formę indywidualnego i konsekwentnego, długotrwałego kierownictwa duchowego. Podjęcie odpowiedniej decyzji – wspólnie przez kierownika duchowego i zainteresowaną osobę – powinno być owocem procesu rozeznania, a nie jednego czy nawet kilku powierzchownych spotkań. Wymaga ono także konsultacji z kompetentnym duszpasterzem posługującym przy sądzie biskupim lub w diecezjalnym ośrodku duszpasterstwa rodzin".

Czy owe „coraz głębsze formy integracji" wykluczają Eucharystię? Gdybyśmy to założyli, to o jakiej „odpowiedniej decyzji" mowa i dlaczego obwarowanej aż tyloma niespotykanymi do tej pory warunkami? ©℗

## W SKRÓCIE

**PRZED SZCZYTEM.** Franciszek przed spotkaniem Donalda Trumpa z Kim Dzong Unem: „Pragnę, aby do umiłowanego narodu koreańskiego dotarła moja szczególna myśl w duchu przyjaźni i modlitwy. Niech rozmowy, które odbędą się w Singapurze, przyczynią się do rozwoju pozytywnego podejścia, które zapewni pokojową przyszłość Półwyspowi Koreańskiemu i całemu światu. W tej intencji prośmy Matkę Bożą, Królową Korei, by wspierała te rozmowy".

**REKORD WIELKOŚCI.** 100-metrowy krzyż na 100-lecie odzyskania niepodległości ma stanąć w Wojkowie (woj. łódzkie). O pomyśle poinformował Karol Rajewski, burmistrz Błaszek: „Chcemy zbudować najwyższy w Polsce krzyż. Zostawimy po sobie dla następnych pokoleń znak wdzięczności, szacunku i pamięci" – czytamy w komunikacie. Media religijne podkreślają, że krzyż, jeśli powstanie, będzie trzy razy większy od świebodzińskiej figury Chrystusa, która mierzy 33 metry.

**PACZKA W KONFESJONALE.** Ksiądz z parafii Santa Maria alle Fornaci, niedaleko Watykanu, znalazł w konfesjonale podejrzaną paczkę. Na miejsce przyjechali karabinierzy, którzy po zabezpieczeniu kościoła otworzyli paczkę. W środku były dwie plastikowe torby, a w nich 36 tys. euro w gotówce. Trwa postępowanie, które ma wyjaśnić okoliczności zdarzenia.

**RANDKA PO KOŚCIELE.** „W niedzielę o 20.00 odprawiam Mszę z kazaniem o związkach. Potem krótki kurs podrywu. Szybkie randki, by się poznać. I potem czas wokół kościoła, by pogłębić znajomość. Będzie pięknie" – tak na kolejną swoją inicjatywę zaprasza ks. Jacek Stryczek. To odpowiedź duchownego na dyskusje wokół „Amoris laetitia". Duchowny akcję nazwał „Świętem singla".

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER

TAYLOR WEIDMAN / GETTY IMAGES

**„KONIECZNE JEST** określenie rodzaju oficjalnej posługi, którą można powierzyć kobiecie, biorąc pod uwagę kluczową rolę, jaką kobiety odgrywają dziś w Kościele amazońskim" – czytamy m.in. w dokumencie przygotowawczym Synodu Biskupów dla Amazonii (październik 2019 r.). Synod ma wytyczyć „nowe drogi dla Kościoła oraz na rzecz ekologii integralnej". Na zdjęciu Nhakri, kobieta z plemienia Xikrin w wiosce Poti-Kro. ©℗ ASK

## Wolta papieża?

WIKIPEDIA.ORG

**KARDYNAŁ LUIS F. LADARIA,** prefekt Kongregacji Nauki Wiary (na zdjęciu), poinformował, że – zdaniem papieża – obecny kształt projektu „Pomocy duszpasterskiej" niemieckiego Episkopatu o komunii dla małżeństw wyznaniowo mieszanych nie jest jeszcze na tyle dojrzały, by nadawał się do publikacji. A sprawa, jak dodał, jest poważna, bo dotyczy wiary całego Kościoła i będzie mieć wpływ na relacje ekumeniczne. Jednocześnie papież uznał za „właściwe" pozostawienie biskupom diecezjalnym osądu w sprawie istnienia w tych małżeństwach „pilnej i poważnej konieczności", o której mówią dokumenty Kościoła.

Po liście Ladarii przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec kard. Reinhard Marx oświadczył, że prace nad projektem będą kontynuowane w dialogu z watykańskimi dykasteriami i samym papieżem. Jednak jego krytycy zdążyli już uznać – niesłusznie – że Franciszek sprzeciwia się udzielaniu komunii protestantom (także Katolicka Agencja Informacyjna opacznie napisała o „watykańskim sprzeciwie"). Zagorzały przeciwnik „Pomocy duszpasterskiej" kard. Gerhard Müller, który już wcześniej domagał się zdecydowanej reakcji papieża, stwierdził, że co prawda „zaciągnięto hamulec, pociąg zatrzymał się przed przepaścią, ale i tak się wykoleił". Większość niemieckiego Episkopatu nie podziela tego rodzaju czarnowidztwa (szerzej o sprawie na powszech.net/ /piotrowski). © KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

## Mars: nowe tropy życia

**SZANSE NA TO, ŻE KIEDYŚ ODKRYJEMY ŻYCIE NA MARSIE,** potencjalnie wzrosły. NASA ogłosiła właśnie odkrycie dużych złóż cząsteczek organicznych, których – jak do niedawna sądziliśmy – nie powinno tam być.

Łazik Curiosity odkrył benzen i propan w skałach, które miliardy lat temu były mułem na dnie jeziora. Na tym samym obszarze Marsa, w powietrzu, wykryto metan. Cząsteczek organicznych jest tam sto razy więcej, niż naukowcy się spodziewali.

Metan powinien być niszczony przez promieniowanie UV. Skoro jest na Marsie, to coś wytwarza go na bieżąco. Jego stężenie waha się w zależności od pory roku: w marsjańskie lato jest go trzykrotnie więcej niż zimą.

Grunt planety jest pełen rozkładających związki organiczne nadchloranów. Wydawało się, że nie ma szans na znalezienie tam biomarkerów – cząsteczek świadczących, że coś tam żyło. Teraz wiadomo, że to możliwe.

Jednak obecność związków organicznych nie musi oznaczać życia: 90 proc. ziemskiego metanu wytwarzają żywe istoty. Ale powstaje też w wulkanach, choć ostatni na Marsie wygasł ok. 50 mln lat temu. Może też się wydzielać w reakcji minerału zwanego oliwinem z ciekłą wodą.

NASA

Rozwiązanie zagadki możemy poznać szybko. Pracę na orbicie Marsa zaczął właśnie europejski satelita, który zbada, czy emisjom metanu towarzyszą gazy sugerujące biologiczne, czy wulkaniczne jego pochodzenie, oraz jakie izotopy węgla wchodzą w jego skład. Na Ziemi życie preferuje te najlżejsze, jak 12C.

Jennifer Eigenbrode, biochemiczka kierująca opublikowanymi w „Science" badaniami marsjańskiego metanu, podsumowuje: „Jesteśmy w doskonałym punkcie do poszukiwania śladów marsjańskiego życia". © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

## Nagród ciąg dalszy

**POETKA I PROZAICZKA JULIA FIEDORCZUK** (na zdjęciu z lewej) została laureatką Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za „Psalmy (2014–2017)" . Ten konkurs – mówił w laudacji przewodniczący kapituły Abel Murcia Soriano – nie jest wyścigiem, ma raczej przypomnieć, że „w tych prozaicznych, przegadanych czasach poezja – czyli mowa skondensowana, skupiona, esencjonalna – wciąż ma się dobrze". Nagrodę za obcojęzyczną książkę poetycką w polskim przekładzie współdzielą Szwedka Linn Hansén („Przejdź do historii") i jej tłumaczka Justyna Czechowska (na zdjęciu z prawej).

Ogłoszono też nominacje do Nagrody im. Witolda Gombrowicza (za debiut bądź drugą książkę prozatorską). W tym roku nie ma wśród nich powieści. Finaliści to nasz kolega redakcyjny Grzegorz Bogdał (tom opowiadań „Floryda"), Aleksandra Lipczak (reportaż o Hiszpanii „Ludzie z Placu Słońca"), nasz współpracownik Adam Robiński („Hajstry. Krajobraz bocznych dróg"), Paweł Sołtys („Mikrotyki") oraz Marcin Wicha („Rzeczy, których nie wyrzuciłem"). Książki Sołtysa i Wichy znalazły się także w dwudziestce nominowanych do Nagrody Nike. ©℗ TF

## Pszczoły 1, liczba 0

PIXABAY.COM

**OD KILKU DEKAD WIEMY,** że niektóre zwierzęta mogą nauczyć się rozumienia liczb: małpy oraz papugi potrafią rozróżniać liczebność obserwowanych obiektów, a także rozumieją, co oznacza zero. W opublikowanym na łamach „Science" artykule Scarlett Howard wraz z kolegami pokazała, że nawet pszczoły potrafią opanować relację „mniej niż". Naukowcy uczyli owady wybierać mniejszą liczbę – w każdej próbie pszczołom pokazywano dwa białe panele przedstawiające od jednego do czterech czarnych obiektów. Za wybór właściwego panelu owady otrzymywały słodką sacharozę, a jeśli wybrały drugi – niedobrą chininę. Pszczoły nie tylko potrafią nauczyć się tego zadania, ale również uogólniają nową umiejętność: gdy mają wybrać pomiędzy trzema i czterema elementami wybierają trzy; jednak jeśli jedna z planszy jest pusta, co interpretować można jako zero, w większości wypadków wybierają właśnie ją. Współautorzy tego badania, Aurore Avarguès-Weber oraz Adrian Dyer, pokazali kilka lat temu, że pszczoły potrafią też nauczyć się pojęć istotnych dla rozumienia geometrii. Możliwe więc, że zdolności poznawcze pozwalające nam uprawiać matematykę liczą setki milionów lat.

© MATEUSZ HOHOL

TEMAT TYGODNIKA

# KIEDY REYTAN MA DZIEŃ ŚWISTAKA

Zdradzić może przyjaciel, małżonek czy rodak, ale nie wróg. On jest jedynym, który nie może tego robić. A osławiona zdrada elit to już całkowite załamanie ładu. Ci, którzy powinni stać na straży interesów Polski, sprzedają ją w obce ręce.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Paski w TVP elektryzują. Można w tym widzieć znak owej słynnej „kultury obrazkowej". W mediach społecznościowych łatwiej się spierać o zdjęcie i kilka słów, niż dyskutować o książkach czy prasowych artykułach. Ale potencjał energetyczny wynika też z faktycznego – choć pewnie nie zawsze zamierzonego – geniuszu samych pasków, zdolnych w lapidarnej formie skupić esencję proponowanej przez rządzących mitologii.

Tydzień temu, w rocznicę pierwszych (częściowo) wolnych wyborów, widzowie TVP1 mogli podziwiać kolejny kontrowersyjny pasek. Tym razem zapowiedzi Krzysztofa Ziemca towarzyszyły słowa: „4 czerwca – symbol zdrady i zmowy elit". W starych i nowych mediach rozgorzała dyskusja o tych sześciu wyrazach, jednej liczbie i jednym znaku interpunkcyjnym. W pasku widziano „kłamstwo" (Dominika Wielowieyska, „Gazeta Wyborcza"), „propagandę" (Renata Grochal, „Newsweek") lub „błąd wymagający nie kary, a jedynie pouczenia" (Jacek Kurski, TVP). Barbara Nowacka, odwracając niejako zarzut zdrady, oskarżyła z kolei prowadzącego „Wiadomości", że „wybrał kilka srebrników".

Na podstawie niesławnego paska możemy zobaczyć, jak jest eksploatowany jeden z najważniejszych polskich mitów narodowych – opowieść o zdradzie i zmowie.

### Dogadali się

„1989 jaj... wolności – takie danie oferują organizatorzy festiwalu rocznicowego z okazji wyborów 4 czerwca". W ten niecodzienny sposób dziennikarz „Wiadomości" Jan Korab rozpoczyna filmowy felieton towarzyszący naszemu paskowi. W otwierającej materiał sekwencji podziwiamy nie historyczne ujęcia głosujących ani twarze współczesnych polityków, lecz oryginalną formę celebracji rocznicy. Określone wydarzenie z przeszłości łączy się w ten sposób z formami jego przywoływania w teraźniejszości. Oto nasz mityczny konkret. Data 4 czerwca to punkt wyjścia opowieści, a zarazem pretekst, by w ogóle ją podjąć.

Oglądajmy dalej. „Dogadanie się części działaczy z komunistami [tutaj fragment wideo z rozmową Lecha Wałęsy ze Stanisławem Cioskiem podpisanym jako „ówczesny członek KC PZPR"] przewidywało oddanie im 65 proc. miejsc w Sejmie niezależnie od wyników wyborów 4 czerwca 1989 r.". Brzmi to, co warto podkreślić, jak gdyby wcześniej 100 proc. miejsc należało do Solidarności, nie do PZPR. Następnie znów przeskok do współczesności. Widzimy przebitkę na premiera Mateusza Morawieckiego, który mówi: „Uważałem, że tamte ćwierćwolne wybory to coś za mało, że trzeba iść za ciosem, byłem rady-

MACIEJ ŁUCZNIEWSKI / REPORTER

*Jarosław Kaczyński podczas obchodów piątej rocznicy katastrofy smoleńskiej, Warszawa, 10 kwietnia 2015 r.*

kalnie antykomunistyczny, niepodległościowy". „Choć po latach premier uważa, że należy rozmawiać ze wszystkimi" – komentuje głos dziennikarza z offu. W ten właśnie sposób, na zasadzie kontrapunktu między przeszłością a teraźniejszością, zbudowana zostaje cała opowieść. Podstawowa opozycja, na której opiera się nasz mit, to „dogadanie" reprezentowane przez „część działaczy" przeciwstawione „radykalnej postawie antykomunistycznej" ucieleśnianej m.in. przez premiera Morawieckiego. A więc zdrada kontra niezłomność.

Dla wzmocnienia tego kontrastu przywołana zostaje twitterowa polemika Władysława Frasyniuka i Włodzimierza Czarzastego. Działacz Solidarności pisze: „W pisowskiej telewizji ciągle o zniewolonym narodzie, o klęsce, o komunistach. Tylko że myśmy ich, ku.wa, po-ko-na-li! To nie jest temat na dobry film, równy »żołnierzom wyklętym«?", na co szef SLD odpowiada: „Drogi Władysławie Frasyniuku! Żeście komunistów pokonali? No nie. Wyście się z nami, ku.wa, przy Okrągłym Stole i 4 czerwca 1989 r. do-ga-da-li". Soczyste współczesne wypowiedzi stają się tu dowodem na przeszły „układ", a wydarzenia z przeszłości – kluczem do interpretacji teraźniejszości.

### To samo i to samo

Jako kolejna przytoczona jest archiwalna wypowiedź Czesława Kiszczaka, tłumaczącego „plan komunistów". Dostajemy przy tym informację, że „wtedy komunistom udało się w części uwłaszczyć gospodarczo kraj, wszystko miało zostać po staremu, sowieckie wojska przez następne trzy lata nadal stacjonowały w wolnej Polsce".

I teraz właśnie dokonuje się najważniejszy przeskok. Prestidigitatorska sztuczka, na której opiera się cały materiał. Nadal jest 4 czerwca, ale od tego momentu jesteśmy już nie w roku 1989, lecz w 1992. Oglądamy na ekranie kadry z „Nocnej zmiany" Jacka Kurskiego. Zbieżność dat między pierwszymi wolnymi wyborami a naradą poprzedzającą odwołanie rządu Olszewskiego staje się okazją do zbudowania wyobrażonego pomostu, w ramach którego dwa wydarzenia połączone datą można interpretować wspólnie. Mit nie zna bowiem pojęcia przypadku, lecz jedynie znaki, symbole, alegorie czy analogie.

Jan Korab powraca do wątku stacjonujących w Polsce wojsk: „Do ich wyjścia doprowadził dopiero w 1992 r. Jan Parys, minister obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego". Na te słowa na ekranie pojawia się sam Olszewski mówiący: „Kiedy możemy ostatecznie oderwać się od komunistycznych powiązań, stawia się nagły wniosek o odwołanie rządu".

Bezpośrednią przyczyną odwołania rządu – wyjaśnia lektor – było ujawnienie ↦

listy agentów wśród urzędników państwowych (zbliżenie na twarz Wałęsy rozmawiającego akurat z Antonim Macierewiczem). Następnie Jarosław Kaczyński (z roku 1992) wyjaśnia, że Porozumienie Centrum było jedyną partią, z której nazwiska nie znalazły się na liście Macierewicza. „Może dlatego ta partia była tak nielubiana?" – pyta retorycznie.

W kontraście do tego słyszymy, że Wałęsa początkowo przyznał się do podpisania dokumentów o współpracy, a następnie wycofał się i złożył wniosek o odwołanie rządu. Za chwilę oglądamy Donalda Tuska, jak w najsłynniejszej chyba scenie „Nocnej zmiany" mówi: „Panowie, policzmy głosy!". „W 1992 r. toczyła się walka o pełną suwerenność" – podsumowuje autor materiału.

W ten właśnie sposób 4 czerwca podniesiony zostaje do rangi symbolu. Oznacza to, że jest tym samym w roku 1989, 1992 i 2018. Wiąże się zawsze z grą tych samych sił, interesów, a nawet tych samych postaci. Za każdym razem powtarza się tu dramat zdrady i zmowy, którego aktorami stają się m.in. Kaczyński i Tusk.

### Zdrada

Historia o zdradzie opowiada zawsze o załamaniu pewnego porządku. Mówi nam o tym, że napotkany człowiek nie zawsze jest tym, kim wydaje się być. Punktem wyjścia musi w niej być zaufanie. Zdradzić może przyjaciel, uczeń, małżonek czy współplemieniec, ale nie wróg. W gruncie rzeczy to właśnie obcy, wróg, nieprzyjaciel, ten, którego nie darzymy żadnym zaufaniem, jest jedynym, który nie może nas zdradzić. A osławiona zdrada elit to już załamanie ładu w najczystszej postaci. Ci, którzy powinni budować silną Polskę i stać na straży jej interesów, sprzedają ją w obce ręce.

Wykrzyknięcie hasła „zdrada!" przywołuje w jednej chwili rozpoznawalne dla odbiorcy wyobrażenia geopolityczne. Polska otoczona jest przez nieprzyjazne mocarstwa, na rzecz których zdradzić można z wewnątrz. Ma także rzekomych przyjaciół czy sojuszników na zewnątrz, którzy również mogą się okazać zdrajcami.

**Kompromis stanowi w Polsce synonim zdrady.** Dogadanie się z przeciwnikiem oznacza sprzeniewierzenie się ideałom. Rozwiązujemy problemy nie negocjując i szukając porozumienia, lecz walcząc i ginąc.

Najważniejszą figurą „zdrady wewnętrznej" pozostaje wciąż konfederacja targowicka. „Targowica" czy „targowiczanin" należą do żelaznego repertuaru najcięższych obelg politycznych, obok przywołujących analogiczny repertuar skojarzeń „folksdojczy" czy „ubeków". Kto współpracował z obcym reżimem – choćby i w dobrej wierze – w świetle reguł naszej narodowej mitologii popełnia najgorszy grzech. Mityczna sprawiedliwość wykuta w gorących piecach romantyzmu wybacza najbardziej obrzydliwe przywary charakteru, ciemiężenie chłopów, a nawet – w pewnych okolicznościach – bezprzykładne okrucieństwo, lecz nigdy nie przebacza zdrady niepodległości. Naprawdę nieliczni, jak Kmicic przemieniony w Babinicza, znajdują ścieżkę odkupienia i powrotu z narodowego piekła, gdzie zdrajców niepodległości strąca się do najgłębszego kręgu.

Figurą „zdrady zewnętrznej" jest z kolei Jałta. To tam Polskę, w narodowej mitologii nierzadko porównywaną do Chrystusa, „zdradzili", „sprzedali" czy „wydali" alianci, czyli ci, którzy ślubowali przyjaźń. Wraz z biernością sojuszników we wrześniu 1939 r. i podczas powstania warszawskiego Jałta konstytuuje żelazny repertuar konkretnych przykładów podnoszonej do rangi symbolu ogólnej maksymy: ostatecznie w obliczu zagrożenia możemy liczyć tylko na siebie. Jest to zresztą wyobrażenie znacznie starsze niż II wojna światowa.

Łatwość, z jaką posługujemy się toposem zdrady, ma swoje oczywiste korzenie historyczne. Zręby naszej mitologii narodowej ukształtowały się wszak w wieku XIX, w sytuacji pozbawienia niepodległości, podporządkowania obcym mocarstwom, w rzeczywistości, w której zdrada faktycznie stanowiła ważny element codzienności.

Widać to niezwykle wyraźnie, gdy przyjrzymy się funkcjonowaniu w przestrzeni publicznej pojęć takich jak „kompromis" czy przywoływane w materiale TVP „dogadanie się". „Do-ga-da-li" – sylabizuje na Twitterze Włodzimierz Czarzasty, a reporter „Wiadomości" cytuje to niczym najbardziej kompromitujące oskarżenie. Kompromis jest tożsamy ze zdradą. To jeden z najbardziej nieoczywistych i brzemiennych w skutki elementów naszej narodowej mitologii, jakie wyczytać można z interpretowanego tu paska i towarzyszącego mu materiału.

Śledząc toczące się w różnych punktach globu spory o pomniki, upamiętnienia czy nazwy ulic, jestem nieodmiennie pod wrażeniem tego, jak inaczej społeczeństwa USA, Europy Zachodniej czy Ameryki Południowej postrzegają ideę „dogadania się". Kompromis jest tam często przedstawiany jako rozwiązanie najbardziej pożądane i godne pochwały. Tymczasem w naszej narodowej mitologii stanowi on w zasadzie synonim zdrady. Pójście na kompromis czy dogadanie się z przeciwnikiem oznacza sprzeniewierzenie się ideałom. Prawdziwy patriota rozwiązuje problemy nie negocjując i szukając porozumienia, lecz walcząc i... ginąc. Liczą się tylko ci, którzy – jak cytowany w „Wiadomościach" premier Morawiecki – prezentują postawę „radykalnie antykomunistyczną, niepodległościową". Świat naszej narodowej mitologii jest czarno-biały, pozbawiony niuansów, stref półcienia czy odcieni szarości.

Dlatego właśnie przywołane w materiale TVP obrazy ludzi zwyczajnie rozmawiających przy stole, pijących wódkę i palących papierosy mają taką moc kompromitacji. Dlatego też mit Okrągłego Stołu, a nawet sam jego obraz, kruszy się coraz bardziej pod ciężarem reszty narodowej mitologii. Niedopasowany do niej, odcięty od symboli i analogii, które mogłyby wspierać jego trwanie. Dlatego dzień 4 czerwca nie może urosnąć w III Rzeczypospolitej do rangi święta równego 11 Listopada. Bo nie padł strzał, nie było powstańców, męczenników i zatroskanych do-

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**Gościem Agnieszki Lichnerowicz w audycji Światopodgląd będzie SZYMON OPRYSZEK – słuchaj TOK FM w środę 13 czerwca o godz. 16.00**

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

*Protest pod Sejmem RP przeciwko łamaniu prawa i konstytucji, 2017 r.*

wódców. Bo niepodległość odzyskano w drodze kompromisu, do-ga-da-wszy się.

### Zmowa elit

Jeżeli zdrada wywraca porządek świata i czyni nas nieufnymi wobec istniejących podziałów na „swoich" i „obcych", to zmowa ten porządek przywraca. Z tym że ten nowy ład nie opiera się już na zaufaniu, lecz przeciwnie – na nieufności, która staje się teraz spoiwem społecznych relacji.

Wiara w zmowę (znaną także jako „układ" czy „spisek") jest wiarą w to, że wszelkie zdarzenia mają swoją sekretną przyczynę, swój sens – tym głębszy, że ukryty przed naszymi oczyma. Poczucie istnienia zmowy zapewnia specyficzne bezpieczeństwo metafizyczne. Jeżeli istnieją potężni „oni", szarą siecią swych intryg zdolni opleść cały kraj, to wszystkie moje osobiste niepowodzenia i upadki w jednej chwili znajdują wyjaśnienie. Sąsiad, któremu wiedzie się lepiej, wcale nie musi się okazać inteligentniejszy, pracowitszy czy nawet obdarzony większym szczęściem ode mnie. Może jest po prostu komunistą, synem lub wnukiem komunisty; zdrajcą, elementem zmowy, układu? Wszak, jak słyszeliśmy w materiale TVP, komuniści „uwłaszczyli kraj". Ustrój zmienił się tylko pozornie. W rzeczywistości zmowa gładko przejęła funkcję dawnego reżimu.

Zmowa jest wrogiem bardziej podstępnym, bo niewidzialnym, ale w wyobraźni mitycznej jej uczestników potrafimy rozpoznać i wskazać jej przedstawicieli pomimo „nowego kamuflażu". Zapewne zdrajcy nie płaszczą się już przed Związkiem Radzieckim. Teraz jego rolę mogła przejąć Rosja Putina albo Unia Europejska. Frontami walki nie są już pola bitew i bazy wojskowe, lecz raczej rury gazociągów i sklepowe półki, a jeszcze częściej – spory o politykę kulturową czy pamięć. Zapewne nie wszyscy zdrajcy są cynicznymi zaprzańcami. Część z nich może się okazać pożytecznymi idiotami.

Na przykładzie polityki pamięci widać to szczególnie wyraźnie. Już ponad 20 lat temu Iwona Irwin-Zarecka opisywała mit pamięciowej zdrady elit w rewelacyjnej, niemal u nas nieznanej książce „Frames of Remembrance". Irwin-Zarecka zwraca uwagę, że w społeczeństwach, w których istotną funkcję pełni „honor narodowy", wszelkie wezwania do uwzględnienia także ciemnych kart historii odczytywane będą natychmiast jako zdrada, gdyż narażają wspólnotę na utratę spójności. „Taki właśnie proces obserwowałam w Polsce – pisze Irwin-Zarecka – gdzie każde wspomnienie o antysemityzmie kwitowano personalnym atakami wymierzonymi w komentatora, który rzekomo narażał na szwank dobre imię narodu. (...) Granice pomiędzy »nami« a »nimi« zostają w ten sposób jasno wytyczone, a wewnętrznych krytyków utożsamia się z obcymi siłami lub wprost oskarża o zdradę wspólnoty".

W narodowej mitologii zdradą łatwo okazuje się więc zarówno dialog z oprawcami, jak i przeproszenie tych, wobec których zawiniliśmy. Zdrajcami mogą się okazać i polscy biskupi szukający pojednania z biskupami niemieckimi, i Jan Błoński kwestionujący obraz biednego Polaka patrzącego na getto. Fascynujące, jak łatwo te dwa – na pozór tak odległe – bieguny zdrady łączą się w jednej figurze zmowy elit. Przyznanie się do win wobec Żydów może się nagle okazać narzędziem zaprzedawania ojczyzny Niemcom (czy rządzonej przez nich Unii); dyskusja o polskich grzechach przeciw Ukraińcom zdradza człowieka o słabym kręgosłupie moralnym, zapewne nie dość silnie antykomunistycznego. Po prostu.

Zmowa elit jest zawsze zdradą ludu. W samej tej figurze kryje się już wizja podziału na prawdziwych Polaków i elity – bliżej nieokreśloną warstwę społeczną, której nie definiuje w tym przypadku ani wykształcenie, ani bogactwo, lecz właśnie gotowość do zdrady. Co ciekawe, w perspektywie zmowy elit ich ewentualne cechy dystynktywne stają się wtórne wobec zdrady. Elity są bogate judaszowymi srebrnikami, mądre obcą propagandą, piękne fałszywym blaskiem. Nie są więc, w zasadzie, prawdziwymi elitami, lecz łże-elitami, pseudoelitami czy wykształciuchami.

Tak rozumiane elity są zawsze w pewien sposób „obce, choć swoje", stając się idealną wręcz figurą wewnętrznego wroga. Mit narodowej zdrady jest więc mitem „populistycznym" w tym sensie, w jakim ↦

↦ przez to nieostre pojęcie rozumie się właśnie niechęć do elit definiowanych jako obce kulturowo i kierujące się odmiennym interesem. Warto na marginesie zauważyć, że mit zdrady może łatwo służyć maskowaniu rzeczywistych międzyklasowych różnic i konfliktów interesów na tle ekonomicznym czy kulturowym, zastępując je kultem niepodległości i prostymi obrazami historycznych analogii.

Podejrzewane o zdradę elity zostają napiętnowane i wypchnięte poza nawias narodowej wspólnoty. W ten sposób mit przywraca zaburzony ład, na powrót oddzielając swoich od obcych.

### Karuzela z Reytanami

Uczestnictwo we wspólnocie oznacza intuicyjną, często wręcz nieuświadamianą biegłość w posługiwaniu się jej symbolami. To nie urodzenie czy miejsce zamieszkania, lecz właśnie znajomość narodowej mitologii i odruch myślenia za jej pomocą czynią z nas Polaków. Narodowa mitologia składa się z obrazów, powtarzalnych schematów narracyjnych, miejsc, postaci. Ma swoje smaki, brzmienia, gesty. Tworzy kanon, dzięki któremu się porozumiewamy. Decyduje o tym, co widzimy, a na co pozostajemy ślepi.

Ale symbole niosą ze sobą niebezpieczeństwo, które dobitnie unaocznia nam materiał „Wiadomości" z 4 czerwca. Jeżeli wszystko kiedyś już się wydarzyło, jeżeli mityczna przeszłość niesie odpowiedzi na wszystkie teraźniejsze pytania i wątpliwości, to – niczym w „Dniu świstaka" – skazani jesteśmy na nieustanne odtwarzanie tych samych scenariuszy, obsadzani nieustannie w roli rejtanów lub targowiczan. Gdy mitologia zbyt mocno zawładnie naszą wyobraźnią, nic nowego nie może się nam przydarzyć, niczego nowego nie możemy się nauczyć. Parafrazując ową nieszczęsną sentencję, tak ochoczo nadużywaną przez polityków i badaczy pamięci, chciałoby się wręcz powiedzieć: „Narody, które zbyt mocno rozpamiętują własną historię, zmuszone są przeżywać ją wciąż od nowa".

Uważajmy, by bojąc się oskarżenia o zdradę, nie stać się niewolnikami narodowej mitologii.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

# Kto rzekł, że to zdrajca

AGNIESZKA HASKA, KULTUROZNAWCZYNI:

**Polska gra w zdradę od ponad 200 lat. Używa jej do określania tożsamości. Do pokazania, gdzie się kończy „wspólnota", a zaczynają się „oni".**

**BŁAŻEJ STRZELCZYK: Kto zaczął?**

**AGNIESZKA HASKA:** Jan Kiliński w 1794 r. kazał cieślom przygotować cztery szubienice i napisać na poprzecznej belce, wielkimi literami: „to jest kara dla zdrajców ojczyzny".

**I powiesili.**

Przy aplauzie i ogólnej uciesze ówczesnych warszawiaków. Wieszano targowiczan: biskupa Józefa Kossakowskiego, Józefa Zabiełłę, Piotra Ożarowskiego i marszałka Józefa Ankiewicza, którzy, przyznać trzeba, otwierają poczet polskich zdrajców.

**„Wszystkie okna w całym rynku, wszystkie dachy i kominy ludem pokryte były" – opisywał później w pamiętnikach Kiliński.**

Nie ma się co dziwić, wykonywanie kary śmierci w XVIII w. było niemal jak igrzyska – rozrywka dla mas.

**Jak to wyglądało?**

Sama rozprawa, w której miano dowieść, kto zdrajca, trwała może kilka godzin. Wyroki czytano publicznie, a tłum przyjmował je owacją. Później „zdrajcę" prowadzono pod szubienicę. Tłum wiwatował.

Weźmy np. biskupa Kossakowskiego. Jego droga zaczęła się pod ratuszem, razem z widzami tego przedstawienia poprowadzono go do ul. Miodowej, obok kościoła św. Anny. Tam czekał już warszawski kat, Stefan Böhm. Biskupa rozebrano do bielizny, kat zarzucił mu pętlę na szyję. Wszyscy wisieli do wieczora.

**A później?**

A później np. po Warszawie krążył wierszyk będący nagrobkiem dla Zabiełły: „Tu z hetmana wisielec w tym miejscu spoczywa, / Wszakże zdrajcom powszechnie ta nagroda bywa. / Jak se posłał, tak wyspał, zdradzał, sam się zdradził, / Stefan nad nim hetmanił, bo na haka go wsadził".

**Okrutne.**

Historia o zdradzie zawsze wymaga historii o karze. Nie ma opowieści o zdradzie bez wątku kary. Zdrajcę trzeba ujawnić, publicznie napiętnować i przykładnie ukarać.

**A jest historia zdrady i przebaczenia? Zygmunt Krasiński?**

No tak, ale w jego przypadku możemy mówić raczej o zapomnieniu, a nie wybaczeniu. Krasiński był, można powiedzieć dzisiejszym językiem: „resortowym dzieckiem". Wyłamał się ze strajku na uniwersytecie i nie poszedł na pogrzeb Piotra Bilińskiego, który to pogrzeb, dodajmy, był polityczną manifestacją. Parę dni później wrócił na uczelnię, tam został spoliczkowany i poniżony. Wyszedł i już nie wrócił. Ale dziś raczej nie pamięta się tego epizodu. Krasiński jakoś się wykaraskał.

**Generalnie zatem: nie ma dla zdrajców litości.**

Nie ma. Można nawet zaryzykować tezę, że mit zdrajcy jest w naszej kulturze silniejszy od mitu bohatera. Mimo że imiona bohaterów pamiętamy, a imiona zdrajców są skazane na zapomnienie.

**Dlaczego?**

Bo zdrada sięga do najgłębszych naszych atawizmów. Do spraw ostatecznych i fundamentalnych. Jawi się jako podważenie wszystkiego, co stoi u podstaw świata, który sobie tworzymy.

**Czyli czego?**

Zaufania, lojalności i tożsamości.

**Zacznijmy od zaufania.**

WITOLD MYSYROWICZ / ARCHIWUM KULTURY PARYSKIEJ

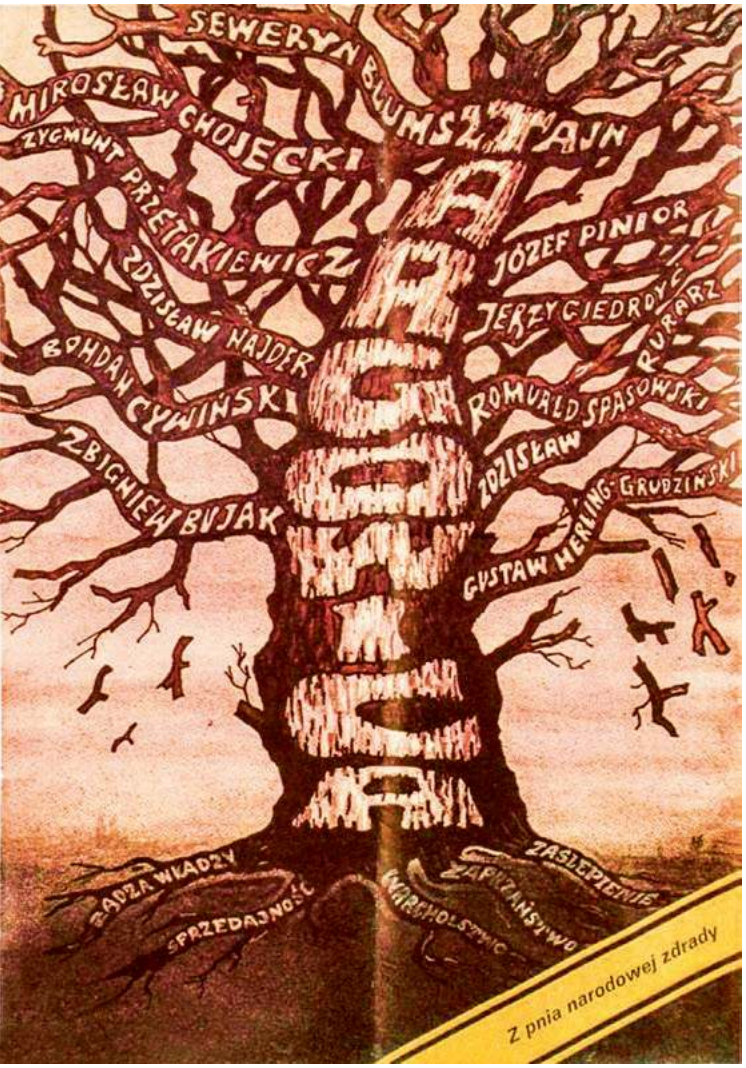

REPR. TOMASZ GZELL / PAP

*Po lewej: plakat „Z pnia narodowej zdrady" autorstwa Witolda Mysyrowicza, 1983 r.*
*Po prawej: plakat wyborczy Tomasza Sarneckiego dla obozu Solidarności na wybory 1989 r.*

Bez którego w gruncie rzeczy nie jesteśmy w stanie żyć. Siedzimy teraz w kawiarni i zaufaliśmy sobie. To znaczy ja ufam, że to, co panu powiem, spisze pan precyzyjnie. Pan z kolei ufa mi, że będę rzetelnie odpowiadała na pytania. Dalej: pan ufa, że czytelnicy kupią gazetę i zrozumieją, co tam będzie napisane. Czytelnicy ufają, że czytają prawdę. Pijemy kawę, którą przyniosła nieznana nam osoba, ale ufamy, że nie dodała trucizny. I że kierowca przejeżdżającego obok autobusu nie ruszy na czerwonym świetle i w nas nie wjedzie.

**No, a gdzie historia zdrajcy?**

Wystarczy, że pan napisze coś nie tak i ja podczas autoryzacji, nieświadomie nawet, przyjmę postawę: oszukał mnie, zawiódł moje zaufanie. Stąd tylko krok do zdrady.

**I?**

Mam wrażenie, że byłoby niedojrzałe, gdybym przez taki zawód już do końca życia przestała ufać komukolwiek.

**To dobrze. A co z lojalnością?**

Od tych, którym ufamy, po jakimś czasie zaczynamy oczekiwać lojalności. Lojalność to stałość. Można powiedzieć: stałość w zaufaniu. Wyobraźmy sobie grupę przyjaciół. Nagle dowiadujemy się, że jeden prowadzi podwójne życie. Mówi jedno, a robi drugie. To się wiąże oczywiście z ogromnym dylematem. Czy lojalność wobec obowiązujących kodeksów powinniśmy postawić w hierarchii wyżej niż lojalność względem przyjaciela? Donieść? Oskarżyć?

**I co?**

Przypuszczam, że zareagujemy klasycznie. Przyjaciel okazał się nielojalny, dlatego przestajemy mu ufać i wykluczamy z naszej grupy. „Nie chcę mieć ze zdrajcą nic wspólnego".

**A tożsamość?**

Zdrajca w gruncie rzeczy jest nam potrzebny właśnie do określenia tożsamości. Staje się granicą i pokazuje, gdzie się kończy „wspólnota", a zaczynają się „oni". Zdrada, przepraszam za banał, najzwyczajniej w świecie ustawia świat na czarno i biało. Definiuje wspólnotę. Zdrajca był kiedyś z nami, ale zdradził, więc w nim skupia się to wszystko, czym nie jesteśmy. On staje się obcy, a my zacieśniamy więzi.

**Kto decyduje o zdradzie?**

To jest kluczowe pytanie: „Kto rzekł, że to zdrajca?". Zdrajca wcale nie musi oceniać swojego czynu jako zdrady. Decyduje o tym zdradzony, wspólnota, którą definiujemy jako „my". To wspólnota ocenia, nakłada piętno i karze. Bo zdrada dotyczy ↦

↦ tego, co dla wspólnoty najważniejsze. Nieistotnych idei się nie zdradza – tylko te ważne. Zdrajca więc jest wspólnocie potrzebny do określenia tych idei. Tu jest paradoks Judasza: przecież bez jego pocałunku nie byłoby ukrzyżowania. Czyli tej wielkiej idei śmierci i zmartwychwstania.

**Szwajcarski teolog Karl Barth pisze: „Czynu Judasza nie należy uważać za podyktowany zawiścią przypadek ani tym bardziej za manifestację siły królestwa ciemności, wbrew woli i poza dziełem Bożym, lecz od początku do końca za część planu Bożego. Działając zgodnie ze swoją wolną wolą, Judasz wykonuje to, co zamierzył Bóg”.**

W przypadku zdrady na drugi plan schodzi motywacja, okoliczności, osobiste uwarunkowania. A nawet – jak w przytoczonej przez pana opinii – „boski zamiar”. Możemy oczywiście teraz dywagować teologicznie o roli Judasza, ale w gruncie rzeczy nikogo to nie interesuje. Zdradził to zdradził. Każde szukanie wytłumaczenia będzie uznawane za próbę usprawiedliwienia. Brutus, który wbił sztylet w plecy Cezara, działał dla dobra republiki. Nie chciał tyranii. Ale nikogo to nie interesuje: jest synonimem zdrajcy i nikt nam nie powie, że jest inaczej.

**Jezus mówi na ostatniej wieczerzy: „jeden z was mnie zdradzi”. Abp Grzegorz Ryś wyjaśnia: „my byśmy chcieli myśleć, że Judasz »nie jest z nas«. Ale on jest »z nas«, dlatego nigdy nie możemy być pewni samych siebie”.**

Historia zdrady, oprócz tego, że jest historią kary, jest także opowieścią o rozczarowaniu, dramacie i smutku. O zawiedzionej miłości. To jest przecież napięcie przerażające.

**Miłości?**

No tak, bo, jak już ustaliliśmy, nie zdradza obcy. Zdradza swój. Bliski. Przyjaciel. Ba! Zdradza kochanek.

## „Kto rzekł, że zdrajca?”

– to pytanie pada w „Nocy listopadowej” Stanisława Wyspiańskiego. Wypowiada je anonimowy głos zaraz po tym, kiedy okazuje się, że ofiarą ulicznego linczu podczas powstania listopadowego padł na warszawskiej ulicy generał Nowicki. Do mordu w dramacie Wyspiańskiego wezwał tłum prowokator Makrot. (Prawdziwy Henryk Mackrott był agentem w służbie rosyjskiej, jednym z najbardziej aktywnych urzędników tajnej policji Wielkiego Księcia Konstantego. Po wybuchu powstania w listopadzie 1830 r. najpierw aresztowany przez powstańców, został wydobyty z więzienia i zlinczowany przez tłum – powieszony na warszawskiej ulicy – 15 sierpnia 1831 r.). To on u Wyspiańskiego „rzekł, że zdrajca”.

**„Ja cię kocham, a ty okazujesz się zdrajcą”.**

Tak. I dalej: „Dlaczego mi to zrobiłeś?”. Opowieść o zdradzie zaczyna się od samotności. Od pytania „Dlaczego?”. Dopiero po chwili pojawia się chęć odwetu i potrzeba wymierzenia kary.

**Kto jest najbardziej samotny?**

Nie umiem tego wartościować. Samotny jest zdradzony, bo wszystko mu się nagle rozsypuje. Nie ma zaufania, nie ma lojalności, znika punkt odniesienia i poczucie bezpieczeństwa. I co teraz? Samotny jest też zdradzający – tu znów wracamy do historii Judasza. To akurat opowieść o zdrajcy, który wie, co zrobił. Najpierw próbuje naprawić błąd, wraca do kapłanów i mówi, że wydał niewinnego, a kiedy okazuje się, że nic już nie może zmienić, nie znajduje innego wyjścia z sytuacji niż samobójstwo.

**Kiedy Jarosław Kaczyński w Sejmie „apeluje” do polityków opozycji, żeby „nie wycierali swoich mord zdradzieckich jego świętej pamięci bratem”, to tam jest złość, pomieszana jednak z bezradnością i rozgoryczeniem.**

Cała narracja smoleńska jest jak opowieść o wyprawie bohatera mitycznego. Znamy ją w wielu wydaniach – takim bohaterem jest Harry Potter czy Luke Skywalker. Skywalker, niedoceniany i samotny, osierocony w dodatku bohater, musi ruszyć w niebezpieczną wyprawę i pokonać wroga w postaci Imperium. Tu mamy podobnie: sieroty po Lechu Kaczyńskim, przekonane o zdradzie, ruszały w marsze smoleńskie, żeby ocalić świat i prawdę, zdobyć władzę i ukarać winnych. Jest się o co zahaczyć w politycznej grze i walce o władzę.

**Czemu to sobie robimy?**

Najpierw trzeba sobie odpowiedzieć na fundamentalne pytanie, czy kiedy mówimy o zdradzie, rzeczywiście mamy z nią do czynienia. W bardzo wielu przypadkach, w obecnej debacie publicznej chyba nawet w większości przypadków, „zdrada” nie jest oskarżeniem, tylko obrażeniem. Polska gra w zdradę od ponad 200 lat. Czasem głośniej, czasem ciszej. Dla mnie, jako antropolożki kultury, jest jasne, że kiedy ktoś odwołuje się w debacie publicznej do mitu zdrajcy, to ma kłopot ze wspólnotą.

**Zatem: jeśli A mówi, że B jest zdrajcą, to B na pewno nie jest zdrajcą?**

W dzisiejszej debacie coraz częściej taki wzór będzie miał zastosowanie.

**10 września 2017 r. – opisuje Pani w swojej książce tę miesięcznicę smoleńską.**

Tak. Krakowskie Przedmieście podzielone jest barierkami. Jak wiadomo, po jednej stronie stoją ci, którzy są przekonani, że ofiary katastrofy smoleńskiej zostały „zdradzone o świcie”. Kilka miesięcy wcześniej w tym samym miejscu Jarosław Kaczyński krzyczy: „Zdrajcy przegrają, niech żyje Polska!”.

**Co jest po drugiej stronie barierek?**

Pojawia się transparent: „Zdrada ojczyzny nie ulega przedawnieniu”.

TYGODNIK POWSZECHNY
MICHAŁ OKOŃSKI Futbol jest okrutny

Komentarze mundialowe czytaj na stronie „TP” i na blogu „Futbol jest okrutny”: okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl

**Każdy chce mieć swojego zdrajcę.**

W ostatnich miesiącach rzeczywiście i „jedni", i „drudzy" przejęli dyskurs zdrady.

**Ryszard Petru w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" w marcu 2017 r.: „To nie opozycja, a Jarosław Kaczyński jest zdrajcą".**

A miesiąc później, w wywiadzie dla telewizji publicznej prezydent Andrzej Duda mówi: „dzieci i wnuki zdrajców Rzeczypospolitej, którzy walczyli o utrzymanie sowieckiej dominacji nad Polską, zajmują wiele eksponowanych stanowisk w różnych miejscach".

**To jeszcze Jarosław Kaczyński, wywiad dla telewizji Republika: „W Polsce jest taka fatalna tradycja zdrady narodowej (...) To jest jakby w genach niektórych ludzi, tego najgorszego sortu Polaków".**

Co oczywiście każe przypuszczać, że dziedziczymy zdolność do zdrady.

**Dziedziczymy?**

Myślimy, że zawsze ktoś okaże się szują. Gdzie te szuje znaleźć? Najłatwiej w życiorysach. Jeśli twój dziadek czy ojciec był milicjantem, to w zasadzie wiemy, czego się po tobie spodziewać.

**Nawet jeśli był Wallenrodem?**

Nikt się nie będzie aż tak zagłębiał. Utarty schemat myślenia o stosunku do Polski i patriotyzmu zamknie się w czterech postawach. Albo masz być bohaterem, który umiera za swój kraj. Albo Wallenrodem – przechodzisz na stronę wroga, ale kopiesz pod nim dołki. Trzecia postawa, najmniej punktowana: chcesz po prostu żyć. Od tej trzeciej tylko o krok do czwartej: okazujesz się zdrajcą i wszystko staje się jasne. Polski dyskurs zdrady jest także dyskursem o hipermoralności.

**Czyli wskazuję zdrajcę, żeby się moralnie usprawiedliwić?**

Problem w tym, że zdradzamy wszyscy. Nawet bierność może być zdradą. W prasie konspiracyjnej znalazłam wyrok za bycie biernym. Zdrajcami były kobiety, które w czasie wojny związały się z Niemcami. „Tylko świnie siedzą w kinie" – to także jest wytknięcie bierności. Ja wiem, że to może być relatywizowanie zdrady, ale szalenie trudno odnaleźć coś, co byłoby jej destylatem. Nie istnieje obiektywna definicja zdrady. Jednocześnie to wszystko dzieje się w Polsce, w społeczeństwie, w którym ważną rolę odgrywają honor i hipermoralność. Wszyscy zatem zdradzamy i wszyscy chełpimy się jednocześnie, gdy wytkniemy zdradę innym.

**Okrutne – że znów użyję tego słowa.**

Bo okrutna jest potrzeba publicznego pręgierza. Ogromną przyjemność sprawia nam rozwlekanie cudzych zdrad. Opowieści o łajdakach zawsze są atrakcyjne, bo przecież świat musi być czarny i biały. Poza tym to, co już mówiliśmy: wspólnota zbudowana na poniżonym i potępionym zdrajcy, grzeszniku, który staje się kozłem ofiarnym, dostaje niepowtarzalną szansę, żeby się na nowo określić. Powiedzieć: my tacy nie jesteśmy. Nigdy nie będę broniła posła Pięty, ale jego przypadek jest tu doskonały. Zdradził, miał romans, partia wyrzuca go z szeregów. „Nie jesteśmy tacy jak on".

**To jest „takie polskie"?**

Nie, inni też grają w zdrady, w nieco inny oczywiście sposób. W Anglii na przykład Guy Fawkes, uczestnik nieudanego zamachu na króla Jakuba I, który w naszej narracji bez wątpienia zasługuje na miano zdrajcy, dziś jest kultową ikoną popkultury.

**Dlaczego więc Polacy tak grają w zdradę?**

Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy wszyscy przekonani o swoim szlacheckim, a nie chłopskim pochodzeniu. Podświadomie żyjemy z rycerskim zbiorem zasad. Bóg, honor, ojczyzna. Tu nie ma miejsca na upadki, pomyłki i zdrady. A jeśli zdrada się pojawi, to trzeba przykładnie ukarać. Prawdziwy, rycerski, honorowy Polak nie zdradza.

**Nie ma Pani wrażenia, że mamy zbyt ograniczony katalog definicji zjawisk społecznych?**

Bez wątpienia. To, co dziś w opinii niektórych zasługuje na miano targowicy, żadną targowicą nie jest.

**Krystyna Pawłowicz w Radiu Maryja: „Ingerencja w sprawy polskie to pokłosie targowickich działań totalnej opozycji".**

Co można streścić także w przekonaniu, że ciągle nas zdradzają. Chcielibyśmy się zająć poważnymi sprawami, ale ciągle trzeba się bronić przed targowiczanami. Jeśli obecna władza przegra wybory, będzie miała łatwe wytłumaczenie. To nie jest tak, że społeczeństwo nas nie chciało. Jest tak, że ciągle ktoś pod nami kopał, ciągle ktoś zdradzał. Ale tak, niestety, działa ogólna komunikacja międzyludzka. A w dzisiejszym świecie dokłada się do tego darwinizm cyfrowy.

**Czyli?**

W skrócie: chodzi o bycie najgłośniejszym, zdobywającym najwięcej uwagi. Kto znajdzie ostrzejsze porównanie, ten trafi na pierwsze strony gazet; kto bardziej oczerni w internecie, ten zdobędzie więcej komentarzy i lajków. Oczywiście rozpamiętujemy, kto nas zdradził, kto się okazał szują, a kto bohaterem. Zamknęłabym to w prostym stwierdzeniu: przesadzamy ze słowami. W mediach z prawa i lewa wszyscy są zdrajcami.

**Jest nadzieja?**

Chciałabym. Bardzo bym chciała pomyśleć, że polskość może sobie poradzić bez zdrajcy i zdrady.

**Może potrzebujemy indeksu słów zakazanych. Jeśli w debacie publicznej ktoś użyje słowa „zdrada" albo „targowica", to przegrywa dyskusję?**

Atrakcyjna wizja. Chociaż z drugiej strony, jeśli wprowadzimy takie prawo, może się okazać, że wszyscy będziemy musieli milczeć. Bo o czym będziemy rozmawiać, jeśli nie o zdradzie? Zdrada nas interesuje, bo jest brudna, bo pozwala doprowadzać przed publiczny pręgierz, bo, wreszcie, nic tak jak ona nie potrafi zbudować wspólnoty. Oczywiście: wspólnota zbudowana na wrogości i szukaniu zdrajców prędzej czy później się rozpadnie. Wtedy najprościej obwinić o to następnego zdrajcę. I tak w kółko.

©℗ Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

**AGNIESZKA HASKA**
*jest kulturoznawczynią i socjolożką. Pracuje w Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN. Autorka m.in. „Jestem Żydem, chcę wejść. Hotel Polski w Warszawie 1943" (2006). Jej książka „Hańba! Opowieść o polskiej zdradzie" ukazała się w tym roku nakładem W.A.B.*

PAWEŁ

# Śpiewak: *Eliasz i kres czasu*

Eliasz żyje. Powraca do nas. Z nim czekamy na cuda i na kres czasu. Pojawia się w niezliczonych sytuacjach i niczym ptak Boga krąży po świecie. Spełnieniem jego życia będzie właśnie czas apokaliptyczny. Na jednym ze średniowiecznych machzorów z Frankfurtu nad Menem (machzor to modlitewnik na okres świąteczny) widzimy go, jak zbliża się na osiołku do Jerozolimy. Dmie w szofar i oznajmia bliskie nadejście Mesjasza. Prorok miał pojednać i oczyścić rodziny, zgromadzić sprawiedliwych i przywrócić zagubione plemiona Izraela.

Oczekiwano, że oświeci wszystkich badaczy Pisma i przekroczy różnice opinii komentatorów, rozwiązując wszystkie niejasne kwestie w Torze i w prawie. Jego przybycie poprzedzi o trzy dni pojawienie się Mesjasza. Pierwszego dnia będzie lamentować współczująco nad losem ziemi obiecanej i tragediami, które ją dotknęły. A skończy dzień słowami: „nadchodzi dzień pokoju i pojednania na ziemi". Drugiego i trzeciego dnia będzie ludzi pocieszał. Na koniec zagra na trąbie archanioł Michał i pojawi się sam Mesjasz. I wtedy Eliasz przedstawi go Żydom. To będzie moment, gdy martwi ożyją w dolinie Jozafata. Nie ma powodu, by od niego oczekiwać nowych nauk i zmiany ludzkich nastawień oraz wiar. Eliasz nie będzie nikogo nawracał ani też nie będzie żądał skruchy i wyznania win. On – w wyobrażeniach sprzed wielu wieków – jest przede wszystkim dawcą ładu i pokoju.

Oczekujemy od niego jeszcze siedmiu cudów. Po pierwsze, lud ujrzy znowu Mojżesza i pokolenie pustyni. Uwierzy w *exodus* i drogę od niewoli do wyzwolenia i Boskiej obietnicy. Po drugie, zbuntowany i zagniewany Korach ze swoimi zwolennikami wynijdzie z ziemi, do której wpadł po gorącym sporze z Mojżeszem. Po trzecie, ożywi Mesjasza. Po czwarte, lud zobaczy trzy utracone świątynne przedmioty wyjątkowego znaczenia. Najpierw Arkę, gdzieś tam w pradziejach utraconą. Zbiornik na oliwę (potrzebną na Hanukę) oraz zbiornik na mannę, która przestała spadać na ziemię, gdy lud przekroczył rzekę Jordan. A potem prorok Eliasz pokaże berło, jakie wręczył mu Bóg. Piękny prezent. Po szóste, zburzy jak słomę góry (tylko po co?). I wreszcie na dźwięk trąb czy szofaru ukaże się Mesjasz.

Ale ostatniego dnia, nawet po tym, jak już Mesjasz osiądzie na ziemi, Eliasz nie przestanie się troszczyć o ludzi. Poprosi o zmiłowanie nad grzesznikami, którzy znaleźli się w piekle, i będzie prosić o wstawiennictwo dla dzieci zmarłych w niemowlęctwie z powodu grzechów rodziców. Będzie chciał, by znalazły się w raju i zaznały wiecznego spokoju. Ukończy swoje dzieło, gdy Bóg wysłuchawszy modlitw proroka złączy w raju grzesznych rodziców z ich dziećmi. Ale i to nie dość. Eliasz ma zabić anioła śmierci Samaela i w ten oto sposób wymazać wszelkie zło z tej ziemi. Trudno o piękniejsze dzieło. Można tylko Eliaszowi przyklasnąć i cieszyć się radością tych, którzy u kresu czasu zobaczą cuda proroka z IX wieku przed naszą erą. Eliasz żyje w legendach żydów, muzułmanów i chrześcijan. Jednoczy religie – i za to już chwała mu i szacun. ©

O. WACŁAW

# Oszajca: *Narodzenie Jana Chrzciciela*

Uroczystość Narodzenia Jana Chrzciciela jest, poza wspomnieniem o narodzeniu Maryi, a przede wszystkim Chrystusa, świętem, w którym nie śmierć, ale życie staje w centrum naszej uwagi. Nie wiem, czy z tego powodu, ale w całej Francji w dzień św. Jana króluje muzyka i tańce. Gra każdy, jak potrafi, począwszy od ulicznych multiinstrumentalistów, przez strażaków, a skończywszy na teatrach i operach. Od niedawna podobne koncerty odbywają się u nas. Odżyły też pogańskie obrzędy puszczania na wodę wianków, palenie ognisk, no i kwiaty paproci. Wiadomo, że nigdy się ich nie odnajdzie, ale szukać trzeba, jako że mimochodem można odnaleźć kwiaty innego rodzaju, bez których żyć się da, ale co to za życie. Ten, kto ustanawiał uroczystość Narodzenia Jana Chrzciciela na czas przesilenia letniego, okazał się więc tęgim teologiem. Nie niszcząc pogańskich świąt, pozwolił im wypowiedzieć się w nowy sposób, po chrześcijańsku. Dzięki temu żadna ze stron, wydawać by się mogło z góry skazanych na śmiertelny konflikt, niczego nie straciła, a przeciwnie – zyskała.

Jan Chrzciciel w pewnym momencie życia znalazł się w konfliktowej sytuacji, a wszystko dlatego, że Bóg powołał go do życia w czasie wielkiego przełomu. Przeznaczył dla niego miejsce, które nigdy nie jest wygodne ani bezpieczne, na progu czasów ostatecznych. Ten czas jest również naszym czasem, dlatego warto przyglądać się Janowi, największemu zrodzonemu przez kobietę, jak go nazywa Jezus, przyglądać się temu, jak sobie radzi z tym nowym, z tym, co przyniósł ze sobą Jezus.

To przechodzenie z dawnego czasu do nowego nie było dla Jana łatwe. Jak my, również on borykał się z wątpliwościami, z tą tylko różnicą, że dla Jana to nowe, któremu uwierzył, stanowiło śmiertelne zagrożenie. Podczas pobytu w więzieniu Jan przez uczniów pyta Jezusa: „Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też mamy czekać na kogoś innego?". Za pójście za tą Jezusową nowością Jan zapłaci życiem. Ale czy w dzień urodzin wypada mówić o śmierci jubilata?

Znamy ludzi, którzy twierdzą, że tak można. Benedykt XVI: „Krzyż jest zatem tajemnicą miłości i zbawienia, która nas oczyszcza". Jeśli tak, jeśli śmierć jest tajemnicą miłości, to znaczy, że nie jest ona wrogiem życia i jak wiosna przechodzi w lato, tak też życie przechodzi w śmierci do następnej swojej pory. Z tą różnicą, że to przejście jest bardziej dramatyczne i niemożliwe do uchwycenia, jako że Ten, który przeprowadza nas przez to przesilenie, zawsze wszystko robi po raz pierwszy. Pogasną świętojańskie ognie, być może zgaśnie Rzym, ale nie zgaśnie marzenie o kwiatach paproci – o możliwości niemożliwego, o śmierci, która jest życiem. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś: *Aktorstwo*

*W sercu łagodnym odpoczywa mądrość.*

EWAGRIUSZ Z PONTU

*Mędrcy, gdy czas był dla nich pomyślny, działali na całym świecie, nie pozostawiając swoich śladów. Gdy czas był niewłaściwy, znikali, wycofywali się i czekali w bezruchu.*

ZHUANGZI

Wybrał PIOTR SIKORA

Liturgia uczyniła nas niedawno świadkami pewnie najbardziej znanej prowokacji, jakiej dopuścili się wobec Jezusa jego przeciwnicy: „Czy godzi się płacić podatek cezarowi, czy też nie?" (Mk 12, 14). Zobaczmy najpierw, kto stawia pytanie.

W narracji św. Marka: faryzeusze i herodianie (Mk 12, 13). Niezły skład, mieszanka religii i polityki: faryzeusze, czyli ugrupowanie wyraźnie religijne, wyznaczające standardy ortodoksji i ortopraksji, wykładające teksty Pisma w świetle autorytatywnie interpretowanej Tradycji Ojców; oraz ewidentnie polityczna grupa popleczników władającego Galileą Heroda Antypasa. Władającego – dodajmy – z namaszczenia i woli Rzymu, a więc poukładanego jakoś z faktem rzymskiej okupacji („odcinającego od niej kupony" dla siebie). Faryzeusze – choć przeciwnie, zdecydowanie krytyczni wobec Rzymian – nie nawoływali jednak na ogół do rewolty przeciwko cezarowi, zostawiając tę rolę tzw. zelotom: ugrupowaniu odpowiadającemu ostatecznie za dwa antyrzymskie powstania (z roku 66 i 132).

Tak czy owak, jedni i drudzy (faryzeusze i herodianie) pogodzeni z politycznymi realiami, a nawet mniej lub bardziej z nich korzystający. Przychodzą i prowokują Jezusa, by rzucił hasło do ogólnonarodowego powstania przeciwko Rzymowi, i zapewne stanął na jego czele. Aby się wpisał w powszechne oczekiwania politycznego mesjasza, który wywalczy zabraną przed blisko wiekiem Żydom wolność.

Zanim Marek przekazał nam treść Jezusowej odpowiedzi („oddajcie cezarowi to, co należy do cezara; a Bogu to, co należy do Boga"), odnotował wcześniej Jego wrażenie i zdecydowany odbiór postawy partnerów dialogu: „Widząc ich obłudę". W greckim tekście Ewangelii pada słowo: „*hypókrisis*", które pierwotnie znaczy po prostu tyle, co „aktorstwo". Jezus widzi, że Jego rozmówcy odgrywają wobec Niego i wobec zapewne licznych świadków ich rozmowy jedynie tanią sztukę. Namawiają Go do działania, w które sami nie wierzą i nie chcieliby mieć z nim nic wspólnego. Aktorzy udający współodczuwanie z rodakami, poszukiwanie moralnej i religijnej prawdy, rozmowę z odpytywanym przez siebie człowiekiem.

Co robią naprawdę? Trudno powiedzieć, gdyż już sama prezentowana przez nich na wstępie mieszanka politycznych i religijnych racji i motywacji nie jest prawdziwa. Jest fałszywą redukcją wiary do ideologii. Tym bardziej fałszywą, błędną, że udawaną. Wygenerował ją też równie fałszywy i egzotyczny sojusz ugrupowań na co dzień sobie obcych, a tu jedynie doraźnie połączonych jedną obsesją: jak zlikwidować Jezusa!

Jedyna dobra nowina co do nich pojawia się na zamknięcie epizodu: „i byli Nim zdumieni". Skoro jeszcze potrafią się zdumieć – zapewne istnieje wciąż dla nich nadzieja. Zdumienie musi przecież wytrącić ich z poczucia pewności co do swoich racji, ocen i własnej pozycji. Zdumienie jest początkiem nauki. I osadza w życiu, nie w teatralnej sztuce. ©

## CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 VI)

**11. niedziela zwykła:** Ez 17, 22-24; Ps 92; 2 Kor 5, 6-10; Mk 4, 26-34;
**Poniedziałek:** 2 Krn 18, 3-8. 12-17. 22; Ps 5; Mt 5, 38-42;
**Wtorek:** 2 Krn 18, 25-31a. 33-34; Ps 51; Mt 5, 43-48;
**Środa:** 2 Krl 2, 1. 6-14; Ps 31; Mt 6, 1-6. 16-18;
**Czwartek:** Syr 48, 1-14; Ps 97; Mt 6, 7-15;
**Piątek:** 2 Krl 11, 1-4. 9-18. 20; Ps 132; Mt 6, 19-23;
**Sobota:** 2 Krn 24, 17-25; Ps 89; Mt 6, 24-34;
**Niedziela, Narodzenie św. Jana Chrzciciela:** Iz 49, 1-6; Ps 139; Dz 13, 22-26; Łk 1, 57-66. 80.

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

KRAJ

# NIC NAM SIĘ NIE NALEŻY

Do kierownictwa PiS powoli dociera, że w grze z Unią naprawdę można stracić pieniądze i pozycję. Stąd nagły skok myślenia spiskowego, choćby słowa premiera o inwestorach zagranicznych wywożących z Polski zyski.

KLAUS BACHMANN

Teorie spiskowe nie powstają z niczego i nie pojawiają się przypadkowo. Podobnie jak stereotypy – sprowadzają skomplikowane zjawiska do prostych tez, dzięki czemu dają swoim zwolennikom złudzenie, że rozumieją, co się wokół nich dzieje. Dlatego teorie spiskowe są tak skonstruowane, że nie można ich zweryfikować. Dowody na spisek potwierdzają teorię, a brak dowodów pokazuje, iż spisek był tak głęboko zakonspirowany, że jego autorzy zdołali usunąć wszelkie dowody. Teorie spiskowe mają więc to do siebie, że poprawiają samopoczucie ich autorów. Przemieniają bowiem ich z zagubionych obywateli, którzy nie znają odpowiedzi na nurtujące pytania, w głosicieli naracji, których inni słuchają ze zdumieniem. To zawsze działa – czy chodzi o spisek firm farmaceutycznych, o którym mówią ruchy antyszczepionkowe, czy o katastrofę w Smoleńsku, czy – i to ostatni wkład w historię teorii spiskowych – o to, że zagraniczni przeciwnicy celowo zachwiali wartością tureckiej waluty, jak twierdzi prezydent Erdoğan.

W Polsce od pewnego czasu mamy już nową-starą teorię spiskową, zgodnie z którą inwestorzy zagraniczni systematycznie osłabiają polską gospodarkę. Teoria ta poprawia samopoczucie jej wyznawców, ale też dodatkowo obnaża tok rozumowania w kierownictwie partii rządzącej. Ostatnio tę teorię przedstawił premier Mateusz Morawiecki, twierdząc, że wobec Unii jesteśmy płatnikiem netto. Polska – brzmiał jego wywód – dostaje z UE 25 mld, a zagraniczny kapitał czerpie od nas ok. 100 mld zł.

Teza, że Polska traci gigantyczne pieniądze z powodu transferu zysku ze strony zagranicznych przedsiębiorstw, nie pojawiła się przypadkiem – premier jest do niej przekonany i, jak twierdzą niektórzy, to go skłoniło do zamiany fotela prezesa zagranicznego banku na fotel ministra. Teza jest ciekawa, nie dlatego, że jest spiskowa, ale dlatego, że premier i jego otoczenie zdają się wierzyć w to, iż można tak różne zjawiska jak transfery z budżetu UE i eksport kapitału z Polski nie tylko sensownie porównać, ale nawet ze sobą rozliczać.

### Majątek narodowy za bezcen

O inwestycjach zagranicznych w Polsce zawsze krążyło wiele mitów. W latach 90. ich przeciwnicy twierdzili, że inwestorzy tylko „wykupują majątek narodowy za bezcen", aby potem zamknąć te zakłady, bo stanowią konkurencję dla zagranicznego biznesu. Nigdy się nie zastanawiali nad tym, dlaczego tak sprawnie funkcjonujące zakłady, będące konkurencją dla bogatszych inwestorów z zagranicy, na otwartych przetargach uzyskały tak niskie ceny. Logika ekonomii tego nie wyjaśnia, teorie spiskowe robiły to o wiele lepiej, twierdząc, że rząd po prostu wszedł w spisek z inwestorami i sztucznie obniżył cenę, aby „zagraniczni" mogli kupić i zamknąć.

Dowodów na tego typu układy nigdy nie było, i wszystkie większe afery prywatyzacyjne kończyły się na niczym – albo nie znaleziono przestępstwa, albo nie znaleziono winnych, albo sądy ich nie skazały. Co dla zwolenników teorii spiskowych jest tylko kolejnym dowodem na spisek – że nawet policja, prokuratorzy i sędziowie byli w zmowie, albo przynajmniej wykazali się nieudolnością.

Teza, że zagraniczne firmy inwestujące w Polsce nie płacą podatków, a do tego wywożą gigantyczne zyski, pochodzi z lat 90. I wtedy miała pewne racjonalne podłoże. Przed wstąpieniem Polski do UE obowiązywała ustawa o inwestycjach zagranicznych, która te inwestycje czasowo zwalniała z podatku od osób prawnych. Jednak większość tych zwolnień już dawno wygasła, a resztę rząd musiał zlikwidować przy wejściu do UE, bo były sprzeczne z jej ↦

↦ prawem. Teraz rząd może wspierać inwestycje pośrednio i tylko w takim zakresie, w jakim to nie wpływa na warunki konkurencji na rynku Wspólnoty. Inaczej na takie dotacje (jak ostatnio dla LOT-u) musi zgodzić się Komisja Europejska.

Warto sobie przypomnieć, dlaczego te zwolnienia w ogóle powstały. Od drugiej połowy lat 80. kolejne ekipy rządowe starały się przyciągnąć inwestycje, ale zamiast poważnych inwestorów pojawiły się jedynie podejrzane małe firmy, chcące szybko zarobić i się wycofać. Dlaczego? Bo wszystkie najważniejsze decyzje o gospodarce zapadały nie w przedsiębiorstwach, lecz w gabinetach rządowych i komitetach wojewódzkich rządzącej partii. Był jeszcze drugi powód: inwestorzy nie mogli swobodnie transferować swoich zysków, musieli zarobione pieniądze zamienić na towar, a towar wywozić z Polski i dopiero sprzedać. Mimo to zysk wywozili – w tajnych skrytkach samochodów i za pomocą podrobionych dokumentów.

Potem zliberalizowano przepisy i Polska stała się jednym z największych odbiorców inwestycji zagranicznych w Europie. Dziś inwestorzy mogą na tyle swobodnie wywozić i towary, i zyski, że już całkiem legalnie „optymalizują" podatki, czyli manipulują obrotem towarów w taki sposób, aby podatki płacić tam, gdzie są najniższe. A co najważniejsze – tak mogą robić i inwestorzy zagraniczni, i rodzimi.

### Gdyby inwestycji nie było

Ale nawet jeśli zagraniczni to robią, najpierw jednak coś produkują w Polsce albo świadczą usługi, które są opodatkowane VAT-em oraz wymagają zatrudnienia pracowników, którzy z kolei płacą podatek dochodowy, składki na ZUS i ubezpieczenie zdrowotne. A przede wszystkim inwestorzy zagraniczni są konsumentami, za co też siłą rzeczy płacą VAT, czasami również akcyzę i cło. Inaczej mówiąc: kreują dochody dla państwa, których bez ich inwestycji by nie było. Nawet gdyby wszyscy inwestorzy legalnie lub nielegalnie uchylili się od płacenia podatku od przedsiębiorstw, to i tak dla budżetu państwa sytuacja byłaby korzystniejsza niż bez nich.

Przedsiębiorca nie może bowiem unikać płacenia podatków w ogóle. Może przeznaczyć swój zysk albo na inwestycje (wtedy zgodnie z prawem zwolniony jest z podatku, bo zysku po prostu nie wykazuje), albo na konsumpcję (wtedy płaci VAT).

**Rząd uważa, że są rzeczy, które się po prostu Polsce należą,** ale i takie, które należą się innym, co można wzajemnie rozliczyć – niezależnie od tego, czy druga strona w ogóle rozumie ten podział.

To wszystko od dawna powtarzają ekonomiści, a jednak teorie spiskowe wciąż mają się dobrze. Porównanie transferów unijnych (pochodzących od innych rządów) z transferem zysków zagranicznych inwestorów (które trafiają do prywatnych kieszeni) bez podania okresu, którego dotyczą, jest oczywiście bez sensu. Inwestorzy wywożą zyski od 25 lat (i nie tylko do innych krajów UE, ale też do USA, Rosji, Kanady i krajów azjatyckich), a transfery z UE Polska dostaje od 2004 r. (nie licząc tzw. pomocy przedakcesyjnej, która napłynęła wcześniej).

Ważne jest tu coś innego. Jeśli chcemy ocenić bilans płatniczy Polski od strony moralnej (co samo w sobie jest intelektualnie dość karkołomne), to powinniśmy zestawić obecną sytuację, w której Polska ma bardzo dużo inwestycji zagranicznych, a inwestorzy wywożą zysk, z sytuacją, w której nie miałaby tych inwestycji, a więc nie miałaby również wspomnianych wyżej wpływów. Zakładanie bowiem, że może zaistnieć sytuacja, kiedy inwestorów zagranicznych nie ma, ale budżet mimo to czerpie korzyści z nich wynikające, jest tak samo bez sensu jak zakładanie, że ktokolwiek w Polsce by inwestował, gdyby nie mógł potem wywozić zysku za granicę. Tak było w latach 80. – z wiadomymi skutkami.

W ustach premiera brzmiałoby to co najmniej dziwnie, nawet gdyby nigdy w przeszłości nie był prezesem zagranicznego banku. Gdyby bowiem jeden z filarów jego planu rozwoju – wzmocnienie polskich firm tak, aby mogły kupować duże firmy zagraniczne – się ziścił, to makroekonomiczne skutki byłyby takie same jak przy masowym przenoszeniu zysków zagranicznych inwestorów. Polskie firmy, państwowe i prywatne, musiałyby wywozić swoje zyski za granicę, aby tam kupować udziały w firmach, po czym te inwestycje mogłyby odliczyć od podatku w Polsce.

Mając na uwadze te oczywistości, przypomnijmy, że premier powiedział, co powiedział, i to nie jeden raz, więc raczej nie było to przejęzyczenie.

### Opór tanio sprzedam

Aby ten fenomen zrozumieć, znowu trzeba się cofnąć do wczesnych lat 90. oraz ówczesnego zjawiska oporu przeciwko prywatyzacji i inwestycjom zagranicznym. Paradoksalnie (ale tylko pozornie) opór ten pochodził nie od polskich menadżerów i udziałowców, którym kapitał zagraniczny rzekomo groził wykupieniem i zamknięciem ich zakładów. Oni wręcz szukali inwestorów i chętnie zawierali umowy *joint venture*, a w firmach prywatnych często popierali ich nawet pracownicy, którzy liczyli na podwyżki i bardziej stabilne zatrudnienie albo, w skrajnych przypadkach, na to, że inwestor uratuje ich przed bankructwem.

Opór pochodził od polityków opozycyjnych, zachęcanych zazwyczaj przez pracowników dużych państwowych firm, którym konkurencja nie zagrażała i w których istniały silne związki zawodowe. I to był opór całkowicie racjonalny, tak samo jak poparcie dla prywatyzacji ze strony załóg w mniejszych, wystawionych na konkurencję firmach. Walcząc widowiskowo i głośno przeciwko prywatyzacji hut, kopalń, wielkich zakładów przemysłowych – załogi swoim sprzeciwem podnosiły cenę, jaką państwo musiało zapłacić za przezwyciężenie ich oporu. Ceną były udziały pracownicze. W ten sposób „majątek narodowy" dostał się nie tylko w ręce kapitalistów i inwestorów zagranicznych, ale też w ręce załóg. W odróżnieniu od inwestorów członkowie załóg szybko sprzedawali swoje udziały, kupując dobra konsumpcyjne i tracąc wpływ na firmę, w której pracowali.

Ten scenariusz powtarzał się jeszcze wielokrotnie: dobrze zorganizowana grupa interesu stawia silny, widowiskowy opór, zazwyczaj w imieniu większego dobra, aby uszczknąć dodatkowe co nieco z budżetu (tzn. od pozostałych obywateli nabranych na taką moralizującą retorykę). Przed wej-

ściem Polski do UE bardzo sprawnie robili to rolnicy i mieszkańcy wsi, których niechęć do integracji europejskiej Wspólnota (a więc wszyscy jej podatnicy) odkupiła za cenę tak wielkich transferów, że przeciętne dochody rolników wzrosły po 2004 r. w ciągu kilku lat czterokrotnie. Stawianie oporu opłaca się, jeśli stawiający go jest gotów dać sobie ten opór „odkupić".

### Paniczna reakcja

Jednak w porównaniu z latami 90. nie widać dzisiaj grupy nacisku, która stawiałaby taki opór przeciwko inwestycjom zagranicznym. Na sprzeciwie premiera Morawieckiego wobec „wywożenia gigantycznych zysków" nikt nie zyska, tym bardziej że w warunkach wspólnego rynku i swobody transferu kapitału i tak nie można temu zapobiec. Kto miałby premierowi „odkupić" jego sprzeciw wobec kapitału zagranicznego? On sam przecież każdą większą inwestycję zagraniczną przedstawia jako sukces swojej polityki, choć musi ona prędzej czy później pociągnąć za sobą wywóz zysku.

Rozwiązanie tej zagadki tkwi prawdopodobnie w wizji świata uprawianej przez kierownictwo partii rządzącej. Tam panuje przekonanie, że są rzeczy, które się rządowi polskiemu po prostu należą, i takie, które należą się innym. Wobec tego można tę zależność wzajemnie rozliczyć – bez wdawania się w dywagacje, czy druga strona w ogóle rozumie ten podział i go uznaje.

Zgodnie z taką linią myślenia rząd przegrał sprawę wyboru Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, zakładając, że ta pozycja „należy się" na tej samej zasadzie, jak się należała pozycja komisarza. Potem uznano, że Polsce należą się reparacje wojenne i że można je rozliczyć z sankcjami za reformę sądownictwa.

Teraz najwyraźniej premier uznał, iż określonej wysokości transfery z UE „należą się" i że można je uzyskać, grożąc kapitałowi zagranicznemu. Pomijając, że to mało wiarygodne, bo nikt nie uwierzy, iż polski rząd na złość Unii (albo Niemiec, co dla rządzących oznacza w gruncie rzeczy to samo) odmrozi uszy własnej gospodarce i budżetowi, równocześnie okazuje się – jak przy wyborze Tuska – paniczną reakcją w ostatniej chwili na coś, co się zapowiadało od dawna.

Od 2009 r., czyli od wejścia w życie traktatu lizbońskiego, było wiadomo, że przewodniczącego Rady Europejskiej wybiera sama Rada, a nie rządy państw członkowskich, większością kwalifikowaną i nie w konsensusie. Od ponad dwóch lat stolice państw członkowskich huczą od debat na temat „ukarania" państw nieprzyjmujących uchodźców i przemeblowania budżetu UE tak, aby państwa przyjmujące uchodźców dostały więcej.

Od dwóch lat dyskutuje się o powiązaniu wypłat z funduszy spójności z oceną praworządności danego kraju – w maju te propozycje znalazły konkretny wyraz w dokumencie Komisji Europejskiej, dotyczącym przyszłego wieloletniego budżetu Unii. Mówi się też o tym, aby więcej pieniędzy z puli na rozwój wsi i na rolnictwo przeznaczyć na ochronę środowiska. Od wielu miesięcy wiadomo też, jak można przeprowadzić takie zmiany, omijając procedury, w których Polska (czy Węgry) mogłaby postawić weto. Decyzje miałaby zatwierdzać Rada i Parlament UE, a wymagana większość wynosiłaby 55 proc. krajów. Powstały ku temu już odpowiednie koalicje.

Kilka dni temu pojawiły się konkretne wyliczenia przyszłych transferów z funduszy spójności, z których wynika, że Polska dostałaby o ponad 20 proc. mniej pieniędzy. Po części wynika to z faktu, że zmienią się techniczne parametry stosowane do wyliczeń. Ale w rozpoczynających się właśnie negocjacjach pozycja Polski będzie znacznie słabsza z powodu trwających ponad dwa lata sporów o zmiany w polskim wymiarze sprawiedliwości oraz innych działań, z perspektywy europejskiej sprzecznych z zasadą rządów prawa.

I tu chyba tkwi prawdziwy powód szerzenia teorii spiskowych na temat inwestycji zagranicznych i relacji z Europą. Teraz, za pięć dwunasta, wiadomość o tym wszystkim dotarła też do rządzących w Warszawie. © KLAUS BACHMANN

*Autor jest profesorem politologii Uniwersytetu SWPS. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego".*

REKLAMA

pah
Polska Akcja Humanitarna

Pomóż cywilom razem z Polską Akcją Humanitarną!

WPŁAĆ online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:
Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
dopisek UKRAINA

# Rózgi naszej powszedniej

ANNA GOLUS

**W kraju, w którym obowiązuje całkowity zakaz kar cielesnych, nadal wydaje się poradniki zawierające nie tylko zachętę do bicia dzieci, ale wręcz szczegółowe instrukcje, jak to robić.**

REPR. NIGEL DOBINSON / GETTY IMAGES

*Z angielskiego poradnika, ok. 1840 r.*

Czy wyrwany z kontekstu cytat „Kary konkretne: klapsy, bicie pasem, potrząsanie (...) sprowadzają się do umożliwienia rodzicom wyładowania złości. Czasami rodzice muszą bić dziecko coraz mocniej, aby skłonić je do posłuszeństwa. Dla niektórych dzieci przyzwyczajonych do klapsów przestają one stanowić karę", można odczytać jako poradę zachęcającą do bicia dzieci? Taką interpretację zaproponował autor bloga BlogOjciec.pl, a w ślad za nim dziennikarze kilku serwisów internetowych. Teraz do sprawdzianu z czytania ze zrozumieniem podejdą pracownicy łódzkiej prokuratury, którzy ocenią, czy cytowana publikacja podżega do łamania prawa.

Chodzi o opublikowany na stronie Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 5 w Łodzi krótki poradnik dla rodziców „Podstawowe działania wspierające dziecko w rozwoju" autorstwa Joanny Anforowicz. Po oskarżeniach o nawoływanie do bicia dzieci publikacja została usunięta ze strony, ale wciąż można się z nią zapoznać dzięki kopii wyszukiwarki Google. .

### Kary społeczne i konkretne

Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak najwyraźniej nie poświęcił paru minut na zapoznanie się z treścią poradnika, skoro skomentował sprawę następująco: „Oczywiście, że sytuacja jest skandaliczna i konsekwentnie potępiam jakąkolwiek sytuację relatywizowania problemu przemocy wobec dzieci, szczególnie kiedy czynią to tzw. profesjonaliści. Powtarzam z uporem: dzieci bić nie wolno – nigdy! Nigdy i przez nikogo nie jest to dla ich dobra. I mała (!) uwaga: w Polsce od 2010 roku jest to prawnie zabronione. W tej sprawie już zleciłem interwencję".

Joanna Anforowicz nie namawia jednak w poradniku do bicia dzieci, a wręcz przeciwnie – odradza stosowanie wobec nich przemocy fizycznej. Świadczy o tym już sam zacytowany na wstępie fragment. Osobom, które mają w tej kwestii jakieś wątpliwości, autorka wyjaśnia: „Jeżeli nadmiernie karzecie czy bijecie swoje dziecko, to: uczycie je lęku i niechęci do siebie. (...) budujecie ślepe posłuszeństwo zamiast zrozumienia i akceptacji zasad etycznych, zamiast eliminować złe zachowanie, wzmacniacie je (...) uczycie dziecko unikania kary w niepożądany sposób (poprzez kłamstwa, fałszywe obietnice)".

Owszem, Anforowicz wymienia kary cielesne jako jeden z rodzajów kar – według niej: „Istnieją dwa rodzaje kar: społeczne i konkretne. Kary społeczne to między innymi: okazywanie niezadowolenia, krytyka, odizolowanie dziecka, podniesiony głos, ignorowanie. Kary konkretne: klapsy, bicie pasem, potrząsanie" – ale przed tymi drugimi przestrzega, informując o ich nieskuteczności i szkodliwości.

Można polemizować z przekonaniem autorki, że dopuszczalne są kary polegające na izolowaniu i ignorowaniu. Jak pisze Alfie Kohn w książce „Wychowanie bez kar i nagród", zwykle zostawiają dziecko „w stanie emocjonalnego dyskomfortu dłużej, niż sprawia to bicie" (co oczywiście nie oznacza, że kary cielesne są lepsze!), ale nie ma żadnych podstaw do zarzucenia łódzkiej psycholożce, że namawia do bicia. Bez wątpienia natomiast takie porady znajdują się w kilku nadal dostępnych w księgarniach lub internecie publikacjach książkowych.

### Instrukcje bicia

To cztery poradniki wydane w XXI wieku przez dwa wydawnictwa o profilu chrześcijańskim: „Klucz do serca twojego dziecka" Gary'ego Smalleya, „Wychowanie dziecka według Pisma Świętego" Richarda Fugate'a, „I kto tu rządzi? Poradnik dla sfrustrowanych rodziców" Roberta Barnesa oraz „Dzieci i wychowanie. Pytania i odpowiedzi" Jamesa Dobsona. Dwa pierwsze ukazały się nakładem wydawnictwa Pojednanie i są dostępne w serwisie Google Books. Dwa ostatnie zostały

udostępnione polskim czytelnikom przez wydawnictwo Vocatio i można je kupić w wielu księgarniach (m.in. w Empiku). W 2012 r. w tym niechlubnym gronie znajdowały się jeszcze dwie inne publikacje Vocatio – „Mądra miłość" Betty Chase i „Jak trenować dziecko? Trening czyni mistrza" Debi i Michaela Pearlów. Po interwencji Rzecznika Praw Dziecka i burzy medialnej zostały one wycofane ze sprzedaży przez wydawcę, który podjął taką decyzję ze strachu przed zawiadomioną o sprawie prokuraturą.

Rodzice żyjący w kraju, w którym obowiązuje całkowity zakaz kar cielesnych, nadal mogą więc przeczytać publikacje poradnikowe zawierające nie tylko zachętę do bicia dzieci, ale wręcz szczegółowe instrukcje wykonywania takich kar. Głównym przesłaniem wszystkich tych książek jest przekonanie o konieczności łączenia w wychowywaniu dzieci miłości i dyscypliny. Biblijnej dyscypliny rozumianej jak najbardziej dosłownie. Różnice dotyczą szczegółów, np. przedmiotu używanego do bicia (według Fugate'a koniecznie musi to być rózga, podczas gdy Barnes poleca np. drewnianą łyżkę), wieku dzieci, które można i należy (!) bić (np. Fugate zaleca bicie niemowląt, a Dobson odradza), liczby odniesień do Biblii (najwięcej jest u Fugate'a) czy skali perwersyjnego łączenia miłości i bólu (tu króluje Smalley, który zaleca zapewnianie dziecka o miłości przed biciem, po biciu, a także... w trakcie bicia).

Czego jeszcze można dowiedzieć się z tych poradników? Na przykład, że „karcenie cielesne jest bardzo osobistym i ważnym doświadczeniem" i że „rodzice, którzy prawdziwie pragną dobra swojego dziecka, będą je karać cieleśnie w zaraniu jego życia" (Fugate). „W zaraniu życia" oznacza według Fugate'a mniej więcej od 6. miesiąca życia – to właśnie wtedy należy rozpocząć naukę posłuszeństwa, ucząc dziecko znaczenia słowa „nie" przy użyciu odpowiedniej dla dziecka w tym wieku niewielkiej rózgi.

Rózga powinna być bowiem dostosowana do wieku dziecka („Pręt z wierzby może być dobry dla zbuntowanego dwulatka, natomiast dla dobrze rozwiniętego nastolatka odpowiednie byłoby coś większego"). Koniecznie jednak musi to być rózga, a nie jakikolwiek inny przedmiot czy ręka rodzica. Dlaczego? Fugate uważa, że ręce rodziców powinny kojarzyć się dziecku z czułością i miłością, a nie – karą i bólem. Opinię, że dziecko bite rózgą czy innym tzw. neutralnym przedmiotem nie boi się rodzica, lecz tego przedmiotu – tak jakby to był jakiś kij-samobij, sprawiający ból bez udziału człowieka – podzielają pozostali eksperci od biblijnej dyscypliny.

**Według jednego z poradników** naukę posłuszeństwa należy rozpocząć od szóstego miesiąca życia przy użyciu odpowiedniej dla dziecka w tym wieku niewielkiej rózgi.

Każdy z nich przekonuje swoich czytelników, że kara cielesna to nie opcja, lecz najskuteczniejsza i najlepsza metoda „naprawiania" dziecka, a rodzice mają nie tylko prawo, ale i obowiązek – nałożony na nich przez samego Boga – karać swe dzieci właśnie w ten sposób. Rzeczywiście w Biblii, zwłaszcza w Księdze Przysłów, nie brakuje słów zachęty do używania w procesie wychowania rózgi: „Karcenia chłopcu nie żałuj, gdy rózgą uderzysz – nie umrze. Ty go uderzysz rózgą, a od Szeolu zachowasz mu duszę" (Prz 23, 13-14) czy „Nie kocha syna, kto rózgi żałuje, kto kocha go – w porę go karci" (Prz 13, 24).

Jak jednak przekonuje talmudysta Paweł Jędrzejewski w książce „Judaizm bez tajemnic", te starotestamentowe wersety nigdy nie były rozumiane dosłownie, „podobnie jak nie rozumiano dosłownie stwierdzenia »oko za oko«. Interpretowano je po prostu jako nakaz stanowczości i konsekwencji w postępowaniu z dziećmi, ale wyprowadzano z niego również przekonanie, że czasami kara cielesna jest nieodzowna. Prawo żydowskie nie nakazuje więc kar cielesnych, ale ich nie zabrania". Innego zdania bywają niestety wyznawcy chrześcijaństwa (głównie protestanci), święcie przekonani, że to sam Bóg każe im używać rózgi.

Wszyscy autorzy wymienionych powyżej poradników pochodzą ze Stanów Zjednoczonych, gdzie – zwłaszcza w tzw. pasie biblijnym – mieszka wielu prostestantów, którzy traktują słowa Pisma Świętego dosłownie i czerpią z niego wskazówki dotyczące każdego aspektu życia. W USA podobnych publikacji, niekiedy poświęconych w całości biciu dzieci (np. „Spanking: Why, When, How?" Roya Lessina), jest zresztą znacznie więcej. W Polsce również nie brakuje duchownych namawiających do bicia dzieci w imię Boga i rozpowszechniających swoje przekonania w internecie.

### Drewno komunikuje mądrość

Na przykład Paweł Bartosik, pastor Ewangelicznego Kościoła Reformowanego w Gdańsku, przekonuje na swoim blogu (pbartosik.pl), że klaps to nie bicie, a dzieci należy karać fizycznie, bo tak jest napisane w Biblii i „Bóg też niekiedy daje nam klapsy". Poza tym na stronie jego kościoła (gdansk.reformacja.pl) widnieją dwa artykuły Douglasa Wilsona, który zapewnia, że „drewno komunikuje wielką mądrość, zwłaszcza kiedy przyłożymy je do najmniej mądrej części dziecięcego ciała" oraz że „Biblia mówi, że dyscyplina powinna być bolesna (Hbr 12:11), ale nie powinien być to ustawiczny ból tydzień po tygodniu".

Na stronie ewangelista.pl opublikowano natomiast artykuł pastora Lecha Foremskiego „Wychowywanie dzieci w rodzinie chrześcijańskiej". Pastor, zachęcając do bicia dzieci przy użyciu współczesnej wersji rózgi, na przykład pasa, przypomina, że zgodnie z wolą Boga „ W żadnym wypadku nie możemy używać w karceniu dzieci gniewu, złości lub bezwzględności, musimy dyscyplinę połączyć z miłością. (...) W tym miejscu zadam pytanie, które zabrzmi niezbyt mądrze – ilu z nas chciałoby posłać swoje dzieci do piekła?".

Podobnych porad jest w polskim internecie więcej i rozpowszechniają je nie tylko protestanci. Na przykład doktor teologii Bartłomiej Sokal w odpowiedzi na pytanie „Czy Biblia każe mi bić dziecko?" pisze na stronie Dzieła Biblijnego im. św. Jana Pawła II (biblista.pl), że klaps nie jest grzechem, „jeżeli rodzicem kieruje chęć wychowania dobrego człowieka i chrześcijanina". Nie jest to wprawdzie ewidentna zachęta do przemocy wobec dzieci, ale na pewno jej relatywizacja. Czy nie byłoby lepiej, gdyby Rzecznik Praw Dziecka zajął się właśnie tymi publikacjami, niewątpliwie propagującymi bicie dzieci, zamiast niesłusznie oskarżać Bogu ducha winnych ludzi?

© ANNA GOLUS

# Ludzie, nie liczby

JACEK TARAN

**Zaczęło się od sprzątania zarośniętego kirkutu. Dzięki uporowi dwóch osób dziś Krościenko nad Dunajcem przygotowuje pomnik swoich dawnych żydowskich obywateli.**

Młodego Mundka Buchsbauma, stolarza, obudziło walenie w okno. Dochodziła siódma. Za oknem stał podenerwowany sąsiad Goldman i krzyczał, żeby wstawał, żeby zobaczył, co się dzieje w mieście. Był 28 kwietnia 1942 r. Przed domem przy ul. Zdrojowej 167 w Krościenku wartko przetaczały się wezbrane po wiosennych roztopach wody Dunajca. Obaj mężczyźni podbiegli bliżej brzegu i ukryli się w krzakach wikliny. Po drugiej stronie rzeki, pod Księżym Laskiem, stała półciężarówka otoczona przez oddział Gestapo. Na jej platformie siedziała grupa Żydów – kobiety i mężczyźni. W jednym z nich Mundek rozpoznał brata Izaaka. Niemcy pojedynczo zaczęli ściągać na ziemię ludzi siedzących na ciężarówce. Wyglądało to jak sprawne, przećwiczone działanie – zrzucenie człowieka z auta, strzał w głowę z małej odległości, i następny, i następny. Przyszła kolej też na Izaaka. Mendel Buchsbaum widział twarze zabójców i znał ich nazwiska.

### Zarośnięty kirkut

Mundek Buchsbaum nie jest jedynym bohaterem tej opowieści. Jest ich jeszcze dwóch i bez nich historia młodego Żyda z Krościenka nad Dunajcem być może nigdy nie ujrzałaby światła dziennego. Są współczesni, realni, zaangażowani w przywracanie pamięci o tamtych wydarzeniach z wiosny 1942 r. Dariusz Popiela – sportowiec, trenuje wyczynowo kajakarstwo górskie, olimpijczyk z Pekinu z 2008 r., wielokrotny mistrz Polski, wicemistrz Europy (2017 i 2018), pasjonat historii i hip-hopu, nagrał nawet swoją płytę. Obecnie studiuje prawo na Krakowskiej Akademii im. Frycza Modrzewskiego.

Drugi to Jakub Dyda – z wykształcenia historyk. Zawodowo zajmuje się pracą z dziećmi z autyzmem, zimą uczy je jeździć na nartach. Wysoki, dobrze zbudowany, łysy – śmieje się sam z siebie, że bardziej wygląda na członka brygad ONR niż wskrzesiciela pamięci o żydowskich mieszkańcach Krościenka. Obaj mają mniej więcej tyle samo lat co Mundek, kiedy widział śmierć swojego brata.

Dzisiaj w Krościenku nie ma już nikogo, kto pamiętałby tamte wydarzenia. Jest za to cmentarz, na którym pochowano zabitych w kwietniu 1942 r. Zarośnięty trawą, bez nagrobków. Położony nieopodal Księżego Lasu na pochyłym zboczu, ciągnie się wąskim pasem równolegle do drogi i zachodniego brzegu Dunajca.

Wchodzimy przez pokrzywy i zardzewiałą, starą bramę. Gdyby nie jeden pamiątkowy obelisk i leżąca w trawie macewa, trudno by było domyślić się, co to za miejsce. – To jedwyna macewa, jaką znaleźliśmy podczas pierwszego porządkowania cmentarza w 2010 roku. Wiemy, że były ich tu setki – mówi Kuba, który pierwszy zainteresował się przywróceniem pamięci o cmentarzu. – Na wiosnę 2010 roku podjęliśmy akcję porządkowania kirkutu. Rozpropagowałem, gdzie mogłem, ale przyszło tylko osiem osób, w tym też mój ojciec [obecnie wójt Krościenka, Jan Dyda – red.]. W gimnazjum czasami przychodziliśmy tu nocą we Wszystkich Świętych – trochę dla emocji, bo to wiadomo, że w nocy na cmentarz straszno, ale paliliśmy też świeczki. Zawsze to miejsce mnie fascynowało, było pociągające, tajemnicze. Uporządkowaliśmy kirkut, wykosiliśmy trawę, zgłosiliśmy naszą inicjatywę do Krakowskiej Gminy Żydowskiej, ale niestety nasze zaangażowanie spotkało się z małym zainteresowaniem z ich strony. To nas zniechęciło, bo liczyliśmy, że teraz społeczność żydowska przejmie pałeczkę, że powalczą o swoją pamięć, a tak się nie stało. Zaprzestaliśmy więc dalszych działań, aż w zeszłym roku pojawił się Darek.

...

Egzekucja trwała niecałą godzinę. Dwanaście osób, mniej niż pięć minut na osobę to i tak za dużo. Niektórzy desperacko próbowali się szarpać, krzyczeć, uciekać, inni znosili swój los w ciszy, z rezygnacją. Kiedy Niemcy odjechali, Buchsbaum i Goldman pobiegli na drugą stronę. Dwanaście ciał. Same znajome twarze. Najmłodsza była Regina Unterberger z ulicy Jagiellońskiej – 25 lat. Najstarszy Markus Hersch, garbarz, sąsiad Reginy. Miał 73 lata. Pośród leżących w nieładzie ciał Mundek natychmiast rozpoznał też brata Izaaka. Miał 42 lata. Nie było czasu na rozpacz. Niemcy mogli w każdej chwili powrócić. Wokół zaczęło się zbierać coraz więcej ludzi, słychać było szloch, zawodzenie. Od strony Rynku przybiegła grupa Żydów z poleceniem od Henryka Stahlbergera, szefa miejscowego Judenratu, żeby jak najszybciej pochować zabitych. Buchsbaum z Goldmanem włączają się w prace związane z pochówkiem, ktoś krzyczy, że trzeba zawołać rabina. Dobrze, że cmentarz jest blisko. Grzebanie zmarłych trwa do późnego popołudnia.

### To nie twoja historia

Na początku miała to być tylko tablica z mottem upamiętniającym Żydów mieszkających przed wojną w Krościenku. Prosta, zwyczajna, z poruszającym cytatem wykutym w kamieniu. – Chciałem przy-

JACEK TARAN DLA „TP"

*Dariusz Popiela i Jakub Dyda na cmentarzu żydowskim w Krościenku*

gotować tę tablicę, żeby upamiętnić osoby, o których śmierci wiedzieliśmy z różnych relacji. Zakładałem na starcie, że to będzie kosztować około 2-3 tysięcy, myślałem o jakiejś zbiórce, ale byłem też gotowy na to, że jak się nie uda, to dam pieniądze z własnej kieszeni – mówi Darek Popiela. Temat upamiętnienia krościeńskich Żydów rozwinął się jednak o wiele bardziej i zaczął żyć własnym życiem. Darek zaczął przeszukiwać archiwa. Poznał rejestr mieszkańców Krościenka sprzed II wojny światowej. W miasteczku mieszkało wówczas 2755 osób, z czego blisko 10 proc. stanowili Żydzi. – Żyję tymi nazwiskami już ponad rok. Np. bracia Süsskind, Mendel „Mundek" Buchsbaum, Henio Stahlberger, Paweł Sonnenthal, Gitka Stahlberger, rodzina rabina Baumola i dziesiątki innych. To byli lekarze, adwokaci, ale też zwykli kupcy, rolnicy, robotnicy.

Swoje odkrycia Darek konsultuje z historyczką, Karoliną Panz, współautorką książki „Dalej jest noc". Okazuje się, że liczba żydowskich ofiar z Krościenka jest o wiele większa. Dla wszystkich zaangażowanych w przywrócenie pamięci staje się jasne, że sama tablica z mottem to za mało.

Wróćmy jednak do początku. Jak to się dzieje, że młody, świetnie zapowiadający się sportowiec, olimpijczyk, zaczyna się interesować tragedią ludzi, z którymi nic go nie łączy i którzy nie są jego przodkami? – Mierzyłem się z tym pytaniem od samego początku. Najpierw w rodzinie. Pytał mnie o to ojciec, mówił: „Zostaw, to nie twoja historia". Na początku nie było zrozumienia. Ale kiedy zobaczyli moje zaangażowanie, to przestali pytać, a zaczęli mnie wspierać. Szczególnie tato i żona – ogromnie im w tym miejscu dziękuję. Tragedia tych ludzi to nie jest jakiś epizod, który minął. Tak naprawdę to było przecież niedawno. Nie możemy pozwolić, aby pamięć o tym zarosła krzakami.

Pierwszą osobą, która zwróciła uwagę Darka na cmentarz, był jego fizjolog z AWF, prof. dr hab. Jerzy Żołądź. – Przyjeżdżałem tutaj trenować, a on zapytał mnie, czy znam ten cmentarz. Okazało się, że to miejsce, obok którego wiele razy przechodziłem nie wiedząc, co tam było. Kiedy zobaczyłem kirkut, zrobiło mi się po prostu smutno. Poruszyło mnie bardzo to, że miejsce jest takie zaniedbane, bez macew, bez pamięci. Zacząłem poznawać losy społeczności żydowskiej na tym terenie. I wciągnęło mnie to na tyle, że postanowiłem zrobić coś dla ich upamiętnienia – opowiada Darek.

Pomogły mu kontakty z kajakarstwa. Okazało się, że wójt Jan Dyda również był sportowcem, kajakarzem, a do tego kilka lat wcześniej namówiony przez syna Jakuba sam brał udział w porządkowaniu cmentarza.

– Przedstawiłem pomysł przygotowania tablicy. Wójt zareagował bardzo przychylnie na moją propozycję. Poznałem też wtedy Jakuba, z którym szybko znaleźliśmy wspólny język i razem przystąpiliśmy do dalszych działań.

■■■

Wczesnym rankiem 28 sierpnia 1942 r. na krościeński Rynek zajeżdżają wojskowe ciężarówki. Wysypują się z nich uzbrojeni Niemcy. Zaczyna się polowanie na ludność żydowską. Pierwsza ginie na Rynku Rachela Rubinstein, kupcowa, 62 lata, mieszkała pod adresem Rynek 64. Pozostali giną rozstrzeliwani w biegu na ulicach lub przebudzeni nagłym wtargnięciem gestapowców do domu. Giną we własnych łóżkach, zaspani, bez możliwości pożegnania się z kimkolwiek. Giną też starsi państwo Buchsbaumowie – rodzice Mundka, Izaaka i najmłodszej Hanki. Zostają zastrzeleni na podwórku swojego domu. Podobne sceny rozgrywają się w Ochotnicy, Tylmanowej, Krośnicy, Grywałdzie, Czorsztynie, Maniowych. Starszych zabijają na miejscu, młodych pędzą 30 km pieszo do Nowego Targu, skąd pakują ich na transport do obozu w Bełżcu. Nikt stamtąd nie wrócił, wielu zginęło już w czasie marszu do Nowego Targu. Mundka Buchsbauma wtedy nie ma już w Krościenku. Dwa tygodnie wcześniej wraz z grupą 20 innych Żydów został wywieziony do Nowego Targu do pracy przy budowie linii kolejowej. Ta wywózka na roboty uratowała mu życie. O śmierci rodziców dowiaduje się od Hanki, której udało się uciec i dotrzeć do niego. W czasie likwidacji Żydów z Krościenka zginęło ponad 90 osób. 41 osób jest znanych z imienia i nazwiska, 52 pozostają anonimowe.

### Determinacja sportowca

Im więcej faktów i historii Darek znajduje w archiwach, tym większa jest jego determinacja.

– Jestem sportowcem – mówi – trudności nie są dla mnie problemem, a tylko kolejną przeszkodą, której pokonanie dodaje mi sił w dotarciu do mety.

Metą ma być budowa pomnika upamiętniającego całą społeczność żydowską z Krościenka i renowacja cmentarza. Ze zbiórki internetowej udało się pozyskać ponad 30 tys. zł, z czego 10 tys. grantu przyznało Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny. Gmina zobowiązała się do wykonania drogi, wjazdów, utwardzenia. Fundacja Rodziny Nissenbaumów wykona i sfinansuje bramę i część ogrodzenia. 20 tys. zł wpłaciła anonimowa fundacja z USA oraz anonimowi darczyńcy z Polski. Autorem projektu pomnika są Joanna i Grzegorz Kurczapowie. Monument będzie miał formę dwumetrowej macewy pękniętej na pół. Wypisane ↦

REKLAMA

ANTYKWARIAT KWADRYGA
KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI.
DOJEŻDŻAMY.
TEL. 22 622 11 54

↦ na nim będą nazwiska Żydów z Krościenka, którzy zginęli w czasie Zagłady – 264 imiona i nazwiska, po polsku i hebrajsku. U szczytu pomnika wyrzeźbiona będzie gwiazda Dawida oraz cytat z Księgi Hioba: „Ziemio, nie kryj mojej krwi, iżby mój krzyk nie ustawał". Ten sam, który znajduje się na pomniku w obozie w Bełżcu. Wykonawcą pomnika będzie Marian Leksan z Nowego Sącza.

Największą trudność stanowi odtworzenie nagrobków. Udało się za pomocą georadaru wyznaczyć miejsca grobów, oznaczono też zbiorową mogiłę, w której najprawdopodobniej pochowane są ofiary z kwietnia 1942 r. – spoczywa tam łącznie 31 osób zamordowanych tego samego dnia w Krościenku, Ochotnicy i Szczawnicy. Z przeprowadzonych badań i kwerend wynika, że co najmniej 120-150 osób zostało pochowanych w kilku masowych grobach. Największym problemem jest odzyskanie macew. Jakub Dyda: – Wiemy, że macewy gdzieś tu są. Źródła historyczne podają, że część z nich została wykorzystana do budowy fundamentu mostu na Krośnicy, z części zrobiona była podłoga w magazynie płodów rolnych, który w latach PRL-u został zburzony i na jego miejscu wybudowano budynek Cepelii. Apelujemy też do mieszkańców: jeśli ktoś wie, gdzie mogą znajdować się macewy, to prosimy o kontakt. Tak samo, jak ktoś ma macewę i nie wie, co z nią zrobić, to można ją też podrzucić pod bramę cmentarza. Cmentarz istnieje ponad 200 lat, więc tych macew tutaj musiało być mnóstwo. W tej chwili mamy zachowaną tylko jedną.

Do akcji udało się pozyskać też młodzież z miejscowego liceum. Uczniowie będą mieć patronat nad pomnikiem i cmentarzem. Zorganizowana została wycieczka do Bełżca, gdzie większość społeczności żydowskiej z Krościenka zakończyła swoje życie. – Ten wyjazd był dla młodzieży olbrzymim przeżyciem – mówi dyrektor liceum, Robert Dębski, historyk. – Otworzył im oczy na historię naszego regionu. Kiedy czytali spis z nazwiskami zabitych, którzy pochodzili z Krościenka, z ich adresami, to wówczas ta historia stała się dla nich bliską opowieścią. To się działo w tym samym miejscu, w którym teraz mieszkają, znają te ulice, adresy. Zaczęli podchodzić do tej historii w sposób osobisty, bo dotyka ona sąsiadów ich dziadków. To jest właśnie patriotyzm, kiedy dba się o pamięć osób, które tu żyły i których życie skończyło się tragicznie.

**Część macew została wykorzystana do budowy fundamentu mostu,** z części została zrobiona podłoga w magazynie płodów rolnych. W tej chwili na cmentarzu zachowała się tylko jedna.

Pytani o motywy swoich działań Darek i Kuba mówią jednogłośnie: – Chcemy budować wśród ludzi świadomość o losach naszych sąsiadów, to jest główny cel. Nie chodzi tylko o to, żeby był pomnik, który potem zacznie zarastać chwastami i nikt się nie będzie nim przejmował. Chcemy, żeby w tym pomniku było żywe wspomnienie, bo dzisiaj w Krościenku już nie ma Żydów. To, co robimy, nie jest też reakcją na antysemityzm, o którym w Polsce jest coraz głośniej, bo nasze działania zaczęły się wcześniej. Robimy to dla zmarłych. Liczyliśmy się z tym, że możemy się spotkać z negatywnymi reakcjami, ale na szczęście nic takiego się nie dzieje. Spotykamy się jedynie z obojętnością, co czasami może zniechęcać, ale tak naprawdę cenne jest to, że nikt nie przeszkadza.

Przychylnie do całej akcji odnosi się zarówno wójt, jak i mieszkańcy. Jan Dyda: – W tym roku mamy 670-lecie lokacji Krościenka. Nasze działania wpisują się w tę rocznicę, bo pomagają budować swiadomość, że historia Krościenka nie zaczyna się 20-30 lat temu, tylko że mamy bogatą, wielokulturową tradycję. W 2010 roku syn mnie zmobilizował do wzięcia udziału w akcji oczyszczania kirkutu. To rzeczywiście fatalnie wtedy wyglądało. Cmentarz będzie dostępny dla wycieczek, dla turystów, to będzie perełka na skalę regionu, bo w całej okolicy nie mamy drugiego takiego miejsca.

■■■

Mendel Mundek Buchsbaum przeżył wojnę. Tułał się pędzony przez obozy pracy od Czarnego Dunajca, poprzez Płaszów (gdzie był najdłużej), Birkenau, Oranienburg i Dachau. Tam doczekał wyzwolenia przez armię amerykańską. Wszędzie życie ratowała mu znajomość stolarskiego rzemiosła. Wszędzie był potrzebny do budowy baraków dla kolejnych więźniów. Po wojnie wyjechał do Izraela, gdzie został właścicielem hotelu w Beer Szewa. 20 czerwca 1960 r. na posterunku policji w Tel Awiwie zeznawał w sprawie zbrodni popełnionych w Krościenku w kwietniu 1942 roku. Podał rysopisy zabójców, nazwiska.

Z całej społeczności żydowskiej z Krościenka wojnę przeżyło oprócz niego tylko siedem osób: Izaak Schön, Izaak Goldman, Henryk Sonnenthal, Mojżesz Aron Süsskind oraz jego brat Salomon Süsskind (obaj wpisani na listę Schindlera), Henryk Stahlberger, Samuel Natan.

Dariusz Popiela na Facebooku prowadzi stronę „Ludzie nie liczby", gdzie na bieżąco można śledzić postępy przy pracach nad pomnikiem i cmentarzem, zapoznać się z archiwaliami – zdjęciami, dokumentami, zeznaniami ocalonych. Można tam też znaleźć i wspomóc zbiórki dotyczące tego celu.

Wokół pomnika mają powstać projekty edukacyjne, działania związane z przywracaniem pamięci o Żydach w całym regionie Beskidu Sądeckiego. © JACEK TARAN

**POMNIK ZOSTANIE ODSŁONIĘTY 17 CZERWCA 2018 R. O GODZ. 13.30.**
Gościem uroczystości będzie naczelny rabin Polski Michael Schudrich oraz Avi Baumol z Krakowa, proboszcz Krościenka Henryk Homoncik, zaproszeni są przedstawiciele Muzeum POLIN, American Jewish Committee, JCC Kraków, przedstawiciele władz RP oraz ambasador Izraela Anna Azari.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**
faniMani.pl

ANNA

# Dziewit-Meller: *Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra?*

W mowie przeciwko Katylinie, z której najczęściej cytowany zwrot („Jak długo, Katylino, będziesz nadużywał naszej cierpliwości?") posłużył mi za tytuł niniejszego tekstu, Cyceron – stosując nigdy niestarzejące się i po kres ludzkości skuteczne techniki retoryczne – buduje obraz swego adwersarza i nurza się w populistycznych zwrotach, korzystając z dobrodziejstw jednego z najważniejszych osiągnięć człowieka, czyli hipokryzji. Którą i ja szalenie cenię, bo bez niej życie byłoby jednak nie do zniesienia. Ta niemożliwa do zasypania przepaść pomiędzy indywidualnymi ludzkimi pragnieniami a normami społecznymi bez hipokryzji prowadziłaby nas wszystkich na skraj. Skraj Bóg jeden wie czego.

Nie, nie będzie to kolejny tekst o moralności posła Stanisława Pięty (którego nazwiskiem, moim zdaniem, warto zastąpić nieszczęsnego Kalego, co to już mocno niepoprawny politycznie). Będzie dziś o wakacjach. Zdarzyło mi się oto rzec do rodziny: „Kochani, wszystko fajnie, ale na Węgry to ja bym nie chciała teraz jechać". A rzekłam to po lekturze prasy, która donosiła, że bratankowie nasi rychtują prawo karzące za pomoc imigrantom. Nawet jeśli to będzie podanie im chleba, by – jak każe Pan Jezus, na którego się tak chętnie wszyscy powołują – głodnych nakarmić.

„Wszelkim wakacjom nad Balatonem, w cieniu Turula, wśród przestrzeni Puszty, mówię nie" – powiedziałam zadowolona z siebie, jak zwykle w takich chwilach odczuwając typową dla naszych czasów moralną wyższość nad innymi, którym pomysł moczenia tyłka w błękicie węgierskiego jeziora przyszedłby jednak do głowy.

A przecież – pomyślałam już w samotności – czymże innym niż właśnie totalną hipokryzją (podobną temu, że idąc w skórzanych butach po moje wegetariańskie pasztety, chowam je do skórzanej torby i wiozę z supermarketu autem z silnikiem Diesla) jest propozycja, by może wobec sytuacji na Węgrzech na kamping z dziećmi pojechać do Włoch?

Przecież w gazecie czytam wywiad ze Steve'em Bannonem, współtwórcą projektu „Trump", prawdziwym Trockim prawackiej międzynarodówki, który, jak się okazuje, mąci z zapałem i tak już mocno zgnilizną śmierdzące wody włoskiej polityki. Jej emanacją nie jest już nawet klaun Berlusconi, ale lider prawicowej i antysystemowej Ligi Matteo Salvini, który swoją misję pełnienia urzędu ministra spraw wewnętrznych kraju rozpoczął od zapewnienia, że Włochy razem z Viktorem Orbánem zmienią porządek europejski, oraz tłumaczenia opinii publicznej, że nie jest opłacany przez Władimira Putina.

No to może by tak do Czech? Tak lubię czeską literaturę, knedlika bym zjadła, piwka się napiła. Ale przecież trudno pozbyć się wrażenia, że prezydent Miloš Zeman, który wygrał styczniowe wybory jadąc ostro na antyemigranckiej i antyislamskiej nucie (choć imigrantów i muzułmanów w Czechach mniej więcej tylu co w Polsce), a także będąc niekwestionowanym najlepszym przyjacielem Władimira Putina na zachód od Węgier, też powinien wprawiać w drżenie moje wrażliwe lewackie serduszko?

Słowacja? Tatry, ciepłe źródła, górskie wycieczki, piękne zamki. Czy jednak osoba tak czuła na bolączki tego świata może bez etycznych rozterek pojechać sobie ot tak do kraju, w którym jednym z miast (Bańska Bystrzyca) rządzą regularni faszyści, a z dziennikarzami załatwia się sprawy, strzelając do nich z niewielkiej odległości?

A może Dania? Ojczyzna Andersena, postępowe królestwo hygge, Legolandu, rowerów i ekologicznych rozwiązań energetycznych? Czyż jednak wypada mi – tej, co wzbrania się przed zabraniem niewinnych swych dzieci nad prawacki Balaton – ruszać tam, gdzie socjaldemokraci ograniczają prawo azylowe, a lewicowy premier mówi, w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung", że „imigranci nie chcą stanowić części społeczeństwa europejskiego i nie podzielają wartości europejskich"?

Austria? Wiedeń, strudel, marcepany z Mozartem w Strasburgu i alpejskie łąki? Tylko jak się odnaleźć w kraju współrządzonym przez skrajnie prawicową Partię Wolnościową, której lider Heinz-Christian Strache proponuje ograniczenia w swobodnym przepływie ludności pochodzącej ze wschodniej części Unii Europejskiej, ale za to chętnie bierze udział w uroczystościach z okazji gazowego jubileuszu, na który do Wiednia zjeżdża sam batiuszka Putin, fetowany w stolicy Austrii aż miło?

Turcja? W dwa lata po nieudanym puczu? Z tysiącami niewinnych ludzi w więzieniach? Grecja, gdzie sympatycy Złotego Świtu napadają na obozy dla uchodźców? A może Hiszpania, która ściga listem gończym byłego premiera katalońskiej autonomii? Strach wymieniać dalej. W Polsce właściwie też nie powinnam zostawać na lato, wiadomo – Trybunał, sądy i cała reszta.

No, chyba że kolejny raz w życiu skorzystam z opcji „hipokryzja" i jakoś sobie to wszystko elegancko uzasadnię. Jako i wszyscy uzasadniamy. A dokąd Państwo ruszą na wakacje? ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze,** I Wydziale Cywilnym, toczy się postępowanie z wniosku Open Finance wierzytelności Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Krzysztofie Kałan, s. Andrzeja i Marii, zm. 24 listopada 2015 r. w Kamiennej Górze i ostatnio stale zamieszkałym w Kamiennej Górze.

Wzywa się spadkobierców po Janie Krzysztofie Kałan, zm. 24 listopada 2015 r. w Kamiennej Górze do udziału w sprawie i udowodnienia swoich praw do spadku w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia – pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt. I Ns 385/17.

WIARA

# PRYMAS HLOND BEZ RETUSZU

Nie miał pomysłu na pokojowe współistnienie Polaków i Żydów w jednym państwie. To prawda: nie były to czasy dialogu. Ale czy od kandydatów na ołtarze nie oczekujemy wyrastania ponad schematy swoich czasów?

MACIEJ MÜLLER

Postęp procesu beatyfikacyjnego kard. Augusta Hlonda „będzie postrzegany w społeczności żydowskiej i poza nią jako wyraz aprobaty jego niezwykle negatywnego podejścia do Żydów" – napisał w imieniu Komitetu Żydów Amerykańskich rabin David Rosen w liście do kard. Kurta Kocha, przewodniczącego Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan (w jego kompetencjach znajduje się także dialog z Żydami).

Rabin podał przykłady niegodnego postępowania Hlonda: przedwojenny list pasterski opisujący Żydów jako wrogów Kościoła i wzywający do omijania ich sklepów, odmowę publikacji po wojnie wezwania do zaprzestania aktów przemocy wobec Żydów i brak potępienia pogromu kieleckiego z 1946 r.

Prymasa od ołtarzy dzieli już tylko stwierdzenie cudu uzdrowienia za jego wstawiennictwem. Sprawdźmy, czy istnieją powody, dla których należałoby powstrzymać proces na jego ostatnim etapie.

### Rzeczpospolita antysemicka

„Problem żydowski istnieje i istnieć będzie, dopóki żydzi będą żydami" – brzmią pierwsze słowa fragmentu na temat Żydów z listu „O katolickie zasady moralne" z lutego 1936 r. Dziś szokują. Jak czytano je wówczas?

W II Rzeczypospolitej mieszkały trzy miliony Żydów, stanowiących 10 proc. mieszkańców kraju. O „problemie żydowskim" endecja mówiła jeszcze przed uzyskaniem niepodległości, powszechnie (może poza kręgami socjalistycznymi) uważano Żydów za niezdolnych do asymilacji i tworzących „społeczeństwo w społeczeństwie". Na tę kliszę nakładano kolejne, z czasem tworząc obraz środowiska szkodzącego i narodowi, i państwu. Ideolodzy i publicyści endeccy, a za nimi katoliccy, na ogół nie rozróżniali między socjalizmem a komunizmem, a finansowanie tego ostatniego przypisywali Żydom. Ich zaufania nie budzili także Żydzi zasymilowani, jako mający rzekomo zły wpływ na polską kulturę. Prasa katolicka martwiła się, że Żydzi, dawniej dzierżawcy i szynkarze, wzbogacili się i dzisiaj są lekarzami, prawnikami czy profesorami. Łatwiej im posłać dzieci na studia, założyć wydawnictwo, wyprodukować film.

*Kard. August Hlond na czele orszaku dostojników w trakcie uroczystości na Heldenplatz w Wiedniu, wrzesień 1933 r.*

NAC

Wszystko to grozi polskiej kulturze „zażydzeniem" (słowo to miało wtedy wydźwięk „techniczny", nie tak pejoratywny jak dziś). W dodatku wprowadzają do życia społecznego idee liberalizmu, ateizm, świadome macierzyństwo czy cywilne małżeństwa.

Obce ideologie zarówno w nauczaniu Kościoła, jak w publicystyce łączono w jedno: funkcjonującą do dziś zbitką jest spisek żydowsko-masoński (ci pierwsi mieli finansować i inspirować antychrześcijańską działalność drugich). Triumfy popularności święciły kolejne wydania „Protokołów Mędrców Syjonu", nawet kiedy było już wiadomo, że to fałszywka carskiej ochrany.

Biskupów niepokoiła obecność w szkołach nauczycieli-Żydów. Kardynałowie Hlond i Kakowski w liście do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pisali: „chodzi nam jedynie o to, by młode pokolenie nie zżydziało. (...) nauczyciel Żyd nie będzie mógł pozytywnie wpływać na dziecko polskie w duchu zasad katolickich". „Prawdą jest, że w szkołach wpływ młodzieży żydowskiej na katolicką jest na ogół pod względem religijnym i etycznym ujemny" – tłumaczył kard. Hlond w liście z 1936 r. (obrońcy prymasa podkreślają tu frazę „na ogół"). Wszystko to prowadziło do hasła: Polska będzie albo katolicka, albo nie będzie jej wcale.

W latach 30. utworzony przez sanację Obóz Zjednoczenia Narodowego, próbujący zajść endecję od prawej strony, mówił o obronie przed Żydami kultury i gospodarki. W 1936 r. premier Felicjan Sławoj-Składkowski ogłosił: „Walka ekonomiczna, owszem, ale krzywdy żadnej" (na marginesie, bojkot się nie przyjął: „u Żyda" było po prostu taniej). W kraju mnożyły się napady na Żydów na ulicach, rabowano ich sklepy, na uniwersytetach wymuszano „getto ławkowe". Rząd nie reagował.

Żydów stawiano w sytuacji bez wyjścia. Nie mieli realnej szansy na asymilację, a jedyną alternatywą był syjonizm, czyli dążenie do odbudowy państwa żydowskiego w Palestynie. Ewentualne przyjęcie chrześcijaństwa nie pomagało. „Konwertyci narzuciliby swe cechy polskiej psychice i w ten sposób powstałaby nowa narodowość. Może i wartościowa, ale nie polska. (...) Żydzi są nam tak straszliwie obcy i niemili dlatego, że są z innej rasy" – wyjaśniała pisarka Zofia Kossak-Szczucka.

### Zasady moralne

W takiej Polsce kolejne etapy kariery kościelnej pokonywał zdolny salezjanin ks. August Hlond, teolog po studiach rzymskich, organizator szkół, potem prowincjał zakonny, założyciel chrystusowców, wreszcie od 1925 r. biskup katowicki. Rok później Pius XI mianował go prymasem, wkrótce potem kardynałem.

W swoim nauczaniu Hlond przestrzegał przed zgubnymi prądami z Zachodu i Wschodu. Jego słynny list z 1936 r. zaczynał się od słów: „Anarchia moralna pustoszy świat. Jakieś nieprzestrzenne siły łamią sumienia. Bolszewizacja umysłowości podważa wszelkie zasady etyczne. Dusze dziczeją. Zwierzęcieje człowiek. Pod pozorem kultury i postępu rozprzestrzenia się satanizacja życia". Tekst, zatytułowany „O katolickie zasady moralne", był reakcją m.in. na coraz brutalniejsze zamieszki antyżydowskie wzniecane przez młodzież narodową. W wielostronicowym elaboracie jeden z rozdziałów Hlond poświęcił wyłącznie „problemowi żydowskiemu".

Nie miał złudzeń: „Faktem jest, że żydzi walczą z Kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie, stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej. Faktem jest, że wpływ żydowski na obyczajność jest zgubny, a ich zakłady wydawnicze propagują pornografję. Prawdą jest, że żydzi dopuszczają się oszustw, lichwy i prowadzą handel żywym towarem" – wyliczał prymas. Potem zastrzegał: „Bądźmy sprawiedliwi. Nie wszyscy żydzi są tacy. Bardzo wielu żydów to ludzie wierzący, uczciwi, sprawiedliwi, miłosierni, dobroczynni. W bardzo wielu rodzinach żydowskich zmysł rodzinny jest zdrowy, budujący. Znamy w świecie żydowskim ludzi także pod względem etycznym wybitnych, szlachetnych, czcigodnych". I przestrzegał „przed importowaną z zagranicy postawą etyczną, zasadniczo i bezwzględnie antyżydowską. Jest ona niezgodna z etyką katolicką".

– To nawiązanie do wydanych kilka miesięcy wcześniej nazistowskich ustaw norymberskich. Kardynał otwarcie protestował przeciw pozbawianiu Żydów praw obywatelskich – podkreśla wicepostulator procesu beatyfikacyjnego, chrystusowiec ks. Bogusław Kozioł.

Prymas wytyczył więc granice temu, na co można sobie pozwolić w relacjach z Żydami. „Wolno swój naród więcej kochać; nie wolno nikogo nienawidzić. Ani ↦

HENRYK PRZONDZIONO / FOTO GOŚĆ / FORUM

*Przemówienie kardynała Augusta Hlonda, Katowice, 4 września 1932 r.*

↦ żydów. W stosunkach kupieckich dobrze jest swoich uwzględniać przed innymi, omijać sklepy żydowskie i żydowskie stragany na jarmarku, ale nie wolno pustoszyć sklepu żydowskiego, niszczyć żydom towarów, wybijać szyb, obrzucać petardami ich domów. Należy zamykać się przed szkodliwymi wpływami moralnymi ze strony żydostwa, oddzielać się od jego antychrześcijańskiej kultury, a zwłaszcza bojkotować żydowską prasę i żydowskie demoralizujące wydawnictwa, ale nie wolno na żydów napadać, bić ich, kaleczyć, oczerniać".

Czy słowa te w latach 30. brzmiały... postępowo? – Wpisywały relacje z Żydami w porządek ewangeliczny, związany z miłością bliźniego. Prymas nawoływał, by w Żydzie widzieć bliźniego i go kochać. Ta myśl wyprzedza epokę, zapowiadając tę soborową – mówi ks. Kozioł. – Wolałbym też nie mówić o bojkocie ekonomicznym, lecz raczej o popieraniu rodzimego handlu.

Treść listu zawiodła oczekiwania Żydów. „Trzeba się cofnąć o dziesiątki, jeśli nie setki lat, aby śród enuncjacyj dostojników Kościoła znaleźć taki język o Żydach – pisał dziennik „Hajnt". – Czy można wykorzystać taki dokument w walce przeciw antysemityzmowi? Nie, to jest coś większego niż naiwność". Przyszły prymas ks. Stefan Wyszyński oceniał z kolei w „Ateneum Kapłańskim", że Hlond (którym pozostał do końca życia zafascynowany) „ocenia bez ogródek wady i zalety środowiska żydowskiego, a jednocześnie polskiej racji stanu przyznaje prawo do walki o wyzwolenie gospodarcze z użyciem godziwych środków".

Krytyczny stosunek do listu Hlonda ma prof. Dariusz Libionka, badacz XX-wiecznych dziejów Żydów w Polsce. – Prymas potępił importowany rasizm, ale chwilę potem podkreślał, jakie to Żydzi stanowią niebezpieczeństwo dla Polaków. Wprawdzie wskazywał ich pozytywne cechy, ale ostatecznie opowiedział się za izolacją i bojkotem gospodarczym. Chcąc nie chcąc, nadawał prawomocność ideologii skrajnej prawicy. Dystansował się od rozwiązań radykalnych, ale podkreślał, że przyczyna niechęci wobec Żydów leży w nich samych.

Prof. Libionka uważa, że wielowiekowe nauczanie Kościoła, a w szczególności podejście do „kwestii żydowskiej" w dwudziestoleciu, w wystąpieniach prymasa i innych hierarchów nie pozostawały bez wpływu na postawy Polaków podczas Holokaustu. – Były dwie lokomotywy ciągnące w Polsce antysemityzm: prawica i Kościół – mówi. – Kościół zgodnie z nauczaniem Piusa XI potępiał rasizm, niemniej opisując „zagrożenie żydowskie" sekundował skrajnej prawicy. Odróżniało go tylko podejście do przemocy.

Wszelkiej brutalności kardynał mówił „nie" – i dziś postulatorzy uważają to za przesłankę jego świętości.

W 1936 r. list nie wpłynął na społeczne postawy: nacjonaliści nadal napadali na Żydów i niszczyli ich mienie. Prymas nie zaproponował też żadnej drogi wyjścia z „problemu żydowskiego", żadnego pomysłu na godne i pokojowe współistnienie w jednym państwie. Można zaprotestować: to jeszcze nie czasy dialogu. Ale też odpowiedzieć: a czy od kandydatów na ołtarze nie oczekujemy wyrastania ponad schematy swoich czasów?

### Tułaczka wojenna

Wybuch wojny zastał kardynała poza Poznaniem: jechał do Warszawy na posiedzenie episkopatu. Później Niemcy odcięli go od możliwości powrotu i ostatecznie w połowie września zdecydował się na ewakuację do Rzymu. Zarzucano mu ucieczkę. Raczej niesprawiedliwie – koleje życia Hlonda nie pozwalają posądzić go o tchórzostwo. Był przekonany, że przysłuży się sprawie polskiej przebywając w kurii pa-

pieskiej. Rzym opuścił 9 VI, w przeddzień przystąpienia Włoch do wojny. Udał się do Francji, gdzie zamieszkał w rezydencji biskupiej w Lourdes.

Opuszczał ją rzadko. Nie odprawiał publicznych mszy w sanktuarium. Organizował pracę polskich księży napływających do Francji i prowadził korespondencję z Watykanem: upominał się o księży zesłanych do obozów, przekazywał informacje o sytuacji Kościoła w Polsce. Lourdes opuścił w kwietniu 1942 r. na prośbę rządu Vichy; zamieszkał w benedyktyńskim opactwie Hautecombe. 3 lutego 1944 r. do klasztoru przyjechało trzech mężczyzn: mówili, że chcą przekazać prymasowi wiadomości o rodzinie. Okazali się gestapowcami. Aresztowali go, wywieźli do Paryża i próbowali nakłaniać do współpracy, kusząc możliwością powrotu do kraju. Hlond odmówił. Został internowany, oswobodzili go dopiero żołnierze amerykańscy. 24 kwietnia 1945 r. samolotem wojskowym poleciał do Rzymu.

W listach z Lourdes do Sekretariatu Stanu kardynał nie wspomina o tematyce żydowskiej. Temat Holokaustu porusza w raporcie o sytuacji Kościoła w Polsce z lutego 1943 r. Pisze: „Żydzi są internowani w gettach urządzonych w większych miastach. Opuszczenie getta karze się rozstrzelaniem. Wyczerpanie pracą, głód, zimno, choroby, koszą tam straszliwe żniwo śmierci. (...) Na porządku dziennym są masowe rozstrzeliwania i zatruwanie za pomocą gazów. (...) Nie może być wątpliwości co do hitlerowskiego zamiaru wytępienia całkowitego Żydów na kontynencie europejskim".

Nie mają jednak racji apologeci Hlonda twierdzący, że był on jednym z pierwszych źródeł informujących Zachód o Holokauście; korzystał z wiadomości uzyskanych od rządu polskiego w Londynie, powszechnie dostępnych. W prywatnych notatkach prymasa z czasu wojny nie napotkamy żadnych wzmianek o „ostatecznym rozwiązaniu".

Po wojnie kardynał dwukrotnie – w rozmowie z prof. Michałem Zylberbergiem i w oświadczeniu po pogromie kieleckim – podkreślał, że pomagał Żydom w ucieczce za granicę, m.in. załatwiając papiery aryjskie i ułatwiając wyjazd do Ameryki.

– Informację tę dostajemy tylko z ust samego Hlonda – wskazuje prof. Libionka. – Znane mi archiwalia i zapiski samego kardynała jej nie potwierdzają, źródła milczą o jakiejś zorganizowanej pomocy. Moim zdaniem nie można nie zwracać uwagi na fakt, że te wypowiedzi pojawiły się w kontekście oskarżeń formułowanych pod adresem Kościoła ze strony władz w związku z pogromem kieleckim. Nie wykluczam, że ostatnio mogły się pojawić nieznane mi dokumenty. Sprawę opisywałem dość dawno.

– Nie wiem nic o relacjach potwierdzających słowa prymasa, poza świadectwem jego najbliższego współpracownika, późniejszego arcybiskupa Antoniego Baraniaka w artykule z 1974 r. – przyznaje wicepostulator ks. Kozioł. – Trudno jednak podejrzewać prymasa o konfabulację.

## Świętość prymasa

**KS. BOGUSŁAW KOZIOŁ TChr:** Dekret o heroiczności cnót wskazuje na ważną rolę w życiu duchowym prymasa hasła, które przejął od Jana Bosco, założyciela salezjanów: „Daj mi dusze, resztę zabierz". Papież podkreśla trzy elementy. Po pierwsze, troskę prymasa o zbawienie każdego człowieka. Po drugie, maryjność: w 1946 r. na Jasnej Górze zawierzył Polskę Niepokalanemu Sercu Maryi. Jego wypowiedziane na łożu śmierci słowa: „Zwycięstwo, gdy będzie, będzie zwycięstwem błogosławionej Maryi Dziewicy", przez całe życie powtarzał prymas Wyszyński. Trzeci element to miłość do Chrystusa eucharystycznego.

## Monarchia katolicka

**Z OKRESU WOJNY** zachowały się liczne karteluszki z notatkami prymasa na temat przyszłego państwa polskiego. Miała to być monarchia katolicka: „z rodziną królewską pakt na 1/5 wieku, poczem [na] dalsze 1/2 w., o ile naród [paktu] nie wypowie" – napisał Hlond. Potem zmienił zdanie i opowiedział się za elekcyjnością tronu. Nowa Polska nie powtórzy błędu upartyjnienia polityki, bo „największą krzywdą ustrojową, jaką państwu wyrządzono, było wydanie na łup partii i wewnętrznych sporów parlamentu i rządów". Natomiast „król niepochodzący z wyborów politycznych ma dostojność wynoszącą go ponad kłótnie parlamentarne".

### Tajemnica pełnomocnictw

Z Rzymu Hlond wracał do Polski wyposażony w pełnomocnictwa papieskie do zorganizowania działalności Kościoła. Największe wyzwanie polegało na uporządkowaniu pracy duszpasterskiej na Ziemiach Odzyskanych. Funkcjonowali tam nieliczni księża niemieccy, pod jurysdykcją swoich biskupów. Hlond zamierzał działać, zanim przeszkodzą mu komuniści, mający zakusy na majątek kościelny. I uczynił to w stylu makiawelicznym.

„Nasuwa się pytanie, czy kard. Hlond latem 1945 r., interpretując udzielone mu przez Stolicę Apostolską specjalne pełnomocnictwa oraz odwołując niemieckich ordynariuszy i powołując polskich administratorów, przekroczył świadomie swoje uprawnienia" – napisał w 1995 r. szef niemieckiego Episkopatu abp Karl Lehmann, protestując przeciw dążeniom do beatyfikacji polskiego hierarchy. W odpowiedzi kard. Józef Glemp przekonywał, że działania Hlonda wynikały „z umiłowania dobra Kościoła" i woli „zapobiegania istniejącemu chaosowi w zakresie prawa kanonicznego".

Dziś spora grupa historyków niemieckich i polskich skłania się do przekonania, że Hlond pełnomocnictw istotnie nadużył – nie jest to jednak proste do oceny. Pierwsza zagadka dotyczy pytania, na jakim terenie prymas może korzystać z nadanych uprawnień (m.in. mianowania w wakujących diecezjach administratorów apostolskich, jeśli nie istnieje możliwość telegraficznego połączenia się z Watykanem). W dekrecie napisano „*in tutto il territorio polacco*", czyli na całym terytorium polskim. Czy papieżowi chodziło o granice przed- czy powojenne? Dziś znane są już notatki abp. Domenica Tardiniego z Sekretariatu Stanu, z których jasno wynika interpretacja maksymalistyczna: chodziło także o tereny Niemiec, które – jak zapowiedziano w Jałcie – staną się polskie – a nawet o ziemie znajdujące się pod okupacją sowiecką. Tardini pisze m.in., iż przestrzegł Hlonda, że „w stosunku do ziem niemieckich należy postępować bardzo uważnie i roztropnie".

W sierpniu 1945 r. prymas wskazał kandydatów na administratorów apostolskich, a w kolejnych tygodniach usiłował wymóc na ordynariuszach niemieckich zrzeczenie się jurysdykcji nad terenami wcielonymi do Polski lub wręcz informował ich o jej pozbawieniu. Watykan nie ↦

miał uwag do działań prymasa – do czasu, aż masowo zaczęły napływać niemieckie skargi na poczynania Hlonda i administratorów. Wtedy zażądano, by się wytłumaczył.

„Nie pozostaje mi już nic innego, jak prosić pokornie Ojca Świętego o wybaczenie mi popełnionych błędów i tych przykrości, którymi mogłem zranić jego ojcowskie serce" – napisał prymas. W kolejnych zdaniach dał jednak do zrozumienia, że Watykan oczekiwał dokładnie tego, co uczynił: mianowania administratorów „na obszarach niegdyś niemieckich".

Historyk Robert Żurek w książce o powojennej polityce Kościoła pisze, że na mocy dekretu przywiezionego z Rzymu Hlond nie miał uprawnień do powoływania administratorów „w większości diecezji Ziem Odzyskanych, ponieważ *de iure* nie były one wakujące". Niemniej ograniczenie pełnomocnictw wyłącznie do wakujących diecezji sprowadzałoby misję prymasa do absurdu: przecież biskupi ze wschodnich Niemiec „zostali ewakuowani lub uciekli przed Armią Czerwoną i nie będą mieć możliwości powrotu (...), innych zaś zaaresztują Sowieci i polscy komuniści".

Żurek, biorąc pod uwagę z jednej strony reakcję Watykanu na skargi niemieckie, z drugiej – brak ostrej krytyki działań Hlonda, uważa za prawdopodobne, iż istniały dodatkowe, ustne upoważnienia, pozwalające na nominacje administratorów również w diecezjach niewakujących, o ile niemieccy hierarchowie „zostaną przekonani o konieczności takiego rozwiązania".

Niewykluczone, że papieżowi było na rękę, iż odium za te działania spada na polskiego prymasa. To Hlond, a nie papież, skupił na sobie trwającą do dziś niechęć duchowieństwa niemieckiego.

## Na podłożu całkiem odmiennym

Od końca wojny Żydzi – których zostało w Polsce ok. 250 tys. i którzy np. chcieli odzyskać swoje mieszkania – byli obiektem brutalnych ataków, zabójstw i rabunków. Przedstawiciele społeczności żydowskiej szukali opieki hierarchów. Z tego względu w styczniu 1946 r. prymasa odwiedził wspomniany prof. Zylberberg. Według jego relacji kardynał na wzmiankę o aktach przemocy wobec Żydów powiedział: „przejmują mnie one głębokim smutkiem. Nie widzę atoli w tym objawie antysemityzmu, ile raczej zawziętą grę polityczną, której ofiarą pada nierównie więcej Polaków. Zasady chrześcijańskie nie dopuszczają mordu politycznego". Tezę o politycznych, a nie antysemickich przyczynach przemocy Hlond powtórzył w rozmowie z prezesem Amerykańskiej Federacji Polskich Żydów Józefem Tenenbaumem.

Na prośby o zredagowanie listu pasterskiego poświęconego relacjom z Żydami prymas miał odpowiadać negatywnie. Według relacji Dawida Kahanego podczas jednej z takich prób „zwrócił memorandum przez swojego sekretarza oraz odmówił spotkania z żydowską reprezentacją" (nie znaleziono jednak opisu tego wydarzenia z punktu widzenia kurii).

Czy Hlond był obojętny na los Żydów? W homilii z października 1945 r. mówił: „Dla wyznawców Chrystusa, ale i dla Żydów, nastał okres terroru, nieprawdopodobnego okrucieństwa, niewolnictwa, obozów i komór gazowych". Miesiąc później, podczas otwarcia bazyliki w Gnieźnie snuł refleksję o zburzonej Świątyni Jerozolimskiej, która „pozostała tęsknym wspomnieniem rozproszonego po świecie narodu żydowskiego, który wiedziony nostalgią za utraconą ojczyzną staje pod resztkami murów Świątyni, zapłakany łzami swej okrutnej niedoli".

4 lipca 1946 r. mieszkańcy Kielc, funkcjonariusze bezpieki i żołnierze dokonali mordu 37 żydowskich mieszkańców domu przy ul. Planty 7. Pogrom wstrząsnął opinią publiczną w Polsce i za granicą. Prymas, przynaglany przez innych biskupów, widzących, że władze chcą odpowiedzialność za tragedię zrzucić na Kościół, wydał (na konferencji dla dziennikarzy amerykańskich) słynne oświadczenie – dziś wskazywane przez środowiska żydowskie jako kolejny dowód na jego antysemityzm.

„Kościół katolicki zawsze i wszędzie potępia wszelkie mordy. Potępia je też w Polsce bez względu na to, przez kogo są popełniane i bez względu na to, czy popełniane są na Polakach czy na Żydach, w Kielcach lub innych zakątkach Rzeczypospolitej" – podkreślił. Zaraz jednak zastrzegł: „Przebieg nieszczęsnych i ubolewania godnych wypadków kieleckich wykazuje, że nie można ich przypisać rasizmowi. Wyrosły one na podłożu całkiem odmiennym, bolesnym a tragicznym". Następnie opisywał działania kurii kieleckiej w celu powstrzymania pogromu już podczas jego trwania.

Potem padły znamienne słowa: „W czasie eksterminacyjnej okupacji niemieckiej Polacy, mimo że sami byli tępieni, wspierali, ukrywali i ratowali Żydów z narażeniem własnego życia. Niejeden Żyd w Polsce zawdzięcza swe życie Polakom i polskim księżom. Że ten dobry stosunek się psuje, za to w wielkiej mierze ponoszą odpowiedzialność Żydzi, stojący w Polsce na przodujących stanowiskach w życiu państwowym, a dążący do narzucenia form ustrojowych, których ogromna większość narodu nie chce". To wtedy podkreślił, że

OGŁOSZENIA

**W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia** w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 468/17/S z wniosku Beaty Panasiewicz o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Klosce (Kloska), c. Józefa i Marii, ur. 1 lutego 1888 r. w Dobromile, zm. 23 marca 1968 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ulicy Bogusławskiego 7/3A.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze,** I Wydziale Cywilnym, toczy się postępowanie z wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Inspektorat w Jeleniej Górze o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Beacie Pociecha, z d. Bodziony, zm. 18. czerwca 2014 r. w Wałbrzychu i ostatnio stale zamieszkałej w Kamiennej Górze.

Wzywa się spadkobierców po Barbarze Beacie Pociecha, zmarłej 18 czerwca 2014 r. w Wałbrzychu, by w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia przystąpili do udziału w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku – pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt I Ns 1102/15.

NAC

*Powitanie prymasa Polski kard. Augusta Hlonda (na pierwszym planie w pelerynie) i biskupa przemyskiego ks. Anatola Nowaka (podaje pierścień do ucałowania) przez duchowieństwo i mieszkańców Przemyśla, wrzesień 1930 r.*

podczas wojny uratował życie wielu Żydom.

Prof. Libionka nie ma wątpliwości: – Wojna i Holokaust nie wpłynęły na zmianę stosunku Hlonda do Żydów. Jego wypowiedzi oficjalne i nieoficjalne nie wskazują, żeby się tą tematyką przejmował i interesował.

Kilka miesięcy po pogromie, w odpowiedzi na wezwania Watykanu, by polski Episkopat potępił te wydarzenia, Hlond napisał, że ani biskupi nie widzą takiej potrzeby, ani wierni by tego nie zrozumieli. Jeśli jednak papież „dla powodów, o których nie wiemy", obstawałby przy swojej sugestii, prymas prosił, aby mógł w przyszłości, w razie czego, zdystansować się od własnego oświadczenia, jako wymuszonego. – Wygląda to jak przyzwolenie na zawieszenie nauczycielskiej misji Kościoła dla korzyści politycznych – zauważa prof. Libionka. – Trzeba też zauważyć, że w owym liście do Watykanu Hlond, opisując genezę pogromu, po raz kolejny poruszał się w schematach „Protokołów Mędrców Syjonu", wskazując na spisek żydowsko-komunistyczny.

Zupełnie inną interpretację dokumentu proponuje abp Henryk Muszyński: zauważa podobieństwo pierwszych jego zdań z treścią soborowej deklaracji „Nostra aetate": „Kościół (...) potępia każde prześladowania jakichkolwiek ludzi, (...) ubolewa nad wszelkimi aktami nienawiści, prześladowań, wszelkimi manifestacjami antysemityzmu, jakie miały miejsce w jakimkolwiek czasie i ze strony jakichkolwiek ludzi". „W tym względzie kard. Hlonda można uznać wręcz za prekursora II Soboru Watykańskiego i wypowiedzi Jana Pawła II, którego wyprzedził o pełne 40 lat" – podkreśla arcybiskup.

### Miserere mei

Silny ból powalił prymasa 13 października: zapalenie wyrostka robaczkowego. Dzień później trafił na stół operacyjny. Po stosunkowo nieskomplikowanym zabiegu przyszło powikłanie, według dokumentacji – zapalenie płuc. Lekarzy Hlond pytał: „panowie, co podacie jako powód mej śmierci?". 21 października przyjął namaszczenie chorych, nazajutrz zmarł.

W maju 2018 r. IPN na wniosek wicepostulatora wszczął śledztwo ws. podejrzenia zamordowania prymasa. Ks. Kozioł odnalazł raporty agentów i współpracowników bezpieki o krążących wśród duchowieństwa pogłosek o otruciu. Jeden z represjonowanych księży miał usłyszeć podczas przesłuchania pogróżkę: „My sobie damy radę ze wszystkimi. Myśmy pomogli zdechnąć Hlondowi".

Ciało prymasa, zgodnie z jego wolą, pochowano w ruinach warszawskiej katedry. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Proszę powiedzieć Ojcu Świętemu, że mu byłem zawsze wiernym. *Miserere mei Deus*. Odpocznę trochę". © MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIA

**Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli,** I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 485/17 toczy się postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Naczelnika Urzędu Skarbowego w Stalowej Woli z udziałem Katarzyny Mareckiej o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Mirosławie Mareckim, s. Kazimierza i Krystyny ur. 26 kwietnia 1965 r. w Kraśniku, a zm. 16 stycznia 2017 r. w Stalowej Woli i tam ostatnio stale zamieszkałym.

Wzywa się wszystkich spadkobierców po Janie Mirosławie Mareckim, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o nabyciu spadku.

**W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód** w Lublinie z siedzibą w Świdniku w sprawie sygn. akt I Ns 471/17 toczy się postępowanie z wniosku Piotra Widzińskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Stanisławie Podgórskim, s. Jana i Heleny, zm. 18 stycznia 2015 r. w Lublinie, ostatnio stale zamieszkałym w Piaskach Wielkich.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 6 miesięcy od opublikowania niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

PLESS.PL

*Procesja Bożego Ciała, Pszczyna 2018 r.*

# Pożywka dla memów

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

**Zdjęcie księdza, trzymającego monstrancję i jadącego kabrioletem podczas procesji Bożego Ciała, zaczęło żyć własnym, internetowym życiem. Prawie nikt nie pytał o kontekst, źródło, okoliczności. Dopowiadano za to własne historie.**

Dzień Bożego Ciała w mediach społecznościowych zdominowały dwa obrazy i toczące się wokół nich dyskusje. Pierwszy to film ukazujący księdza, który wiezie na procesji monstrancję z Najświętszym Sakramentem w czerwonym kabriolecie. Drugi to fotografia sprzed dziesięcioleci, na której widać kapłana idącego z Najświętszym Sakramentem (wiatykiem), na co wskazuje komża i stuła, oraz dwóch chłopów padających na kolana w błoto. Wokół drewniane chałupy, a przed nimi para wołów.

Te dwa obrazki uświadomiły mi, że teza o „potędze wizerunków" wypracowana przez Davida Freedberga w odniesieniu do obrazów, w czasach powszechnej dostępności do kamery i aparatu w smartfonie oraz zbiorowej pamięci, która nie zapomina nigdy – czyli internetu – nabiera nowego i bardzo niepokojącego znaczenia. Żyjemy już nawet nie w społeczeństwie spektaklu, jak niegdyś stwierdził Guy Debord, ale w świecie „tego, co zobaczone". „Wszystko, co było dotąd przeżywane bezpośrednio, oddaliło się w przedstawienie" – pisał Debord. A „przedstawienia" żyją własnym życiem, często niezależnym od tego, co przedstawiają. Czy da się jeszcze dotrzeć za ich pośrednictwem do prawdy o przedstawianej rzeczywistości?

### Własnym życiem

Zacznę od fotografii sprzed lat. Zdjęcie pokazujące księdza z wiatykiem i klękających ludzi to zdjęcie ikoniczne, takie, które jednym ujęciem wyraża sens, ideę, zjawisko. Dla człowieka wierzącego, który niejednokrotnie widział kapłana idącego do chorego z komunią, to zdjęcie jest czytelne i jednoznaczne. Owszem, może dzisiaj klękających jest mniej, ale i księży pieszo idących do chorych też coraz mniej. Najczęściej jeżdżą samochodem. Okazuje się jednak, że zdjęcie nie musi być wcale czytelne. Ktoś z dyskutantów zinterpretował to zdjęcie jako symboliczny wyraz relacji między owym klęczącym chłopem a księdzem, wychodząc widocznie z założenia, że owo na kolana padnięcie dotyczy księdza jako takiego, a nie księdza z komunią w bursie. „Z całym szacunkiem, ale sutanna nie czyni z faceta pana". I tak oto zdjęcie „eucharystyczne" stało się zdjęciem „socjologicznym", ilustrującym feudalne stosunki panujące w Kościele.

I drugi obraz. Ów nieszczęsny kabriolet z księdzem i monstrancją w jego rękach. Nie przeprowadzałem szczegółowego dochodzenia, jak do tej sytuacji doszło. Można jednak w sieci znaleźć wyjaśnienie stanu rzeczy: schorowany kapłan mający trudności z chodzeniem, bo – jak sam wyjaśniał w wypowiedzi dla wprost.pl – czeka go operacja kolana, i parafianie, którzy zorganizowali mu taką pomoc, bo akurat takie auto było dostępne. Film oczywiście nie zawiera w sobie kontekstu, nie jest opatrzony wyjaśnieniem. Film tylko ukazuje i – jak każdy obraz – uwodzi.

A ma czym uwodzić: czerwony kabriolet, w którym siedzi ksiądz, uruchamia wszystkie konteksty mówiące o bogactwie stanu duchownego. Przeczytałem, że film „zrobił kierowca białego mercedesa, który akurat wracał z myjni i sam nie był uczestnikiem procesji". Niestety, mało komu chce się teraz doczytać, jak było. Obraz pozostał i żyje własnym życiem, żywiąc hejterów, prześmiewców, stając się pożywką dla memów.

### Co zostało zobaczone

Freedberg w swojej monografii o potędze obrazu nawiązuje do traktatu „De pictura" Leona Battisty Albertiego z roku 1435. Otóż Alberti pisał, że reakcje na wizerunki opierają się na uruchomieniu potencjału odbioru tkwiącego w oglądającym i zachowującym się w określony sposób widzu, lub też na wymianie zachodzącej między dziełem a widzem. Kluczowe wydaje mi się owo „uruchomienie potencjału odbioru", które determinuje sposób oglądania, przekształcając „to, co pokazane" (*quod est demonstratum*) w „to, co zobaczone" (*quod est visum*). Horacy dodaje: „słabiej wzrusza umysły to, co wchodzi uszami, niż to, co podpada pod wierne oczy i co widz sam sobie opowiada".

Ano właśnie. Ile „sami sobie opowiadamy", oglądając ten obraz i ten film? Wspomniany komentator zdjęcia „opowiedział sobie" całą antyklerykalną narrację. Twórca filmu o księdzu w kabriolecie przypuszczalnie „opowiedział sobie" narrację o rozbijaniu się księży drogimi samochodami. Okazuje się bowiem, że do „czy-

MARTIN MARTINČEK / SLOVENSKÁ NÁRODNÁ GALÉRIA

*Z wiatykiem, Czechosłowacja, ok. 1965 r.*

tania" obrazów podchodzimy z określoną matrycą interpretacyjną, z całym pre-tekstem, który w nas tkwi. Jak teraz te umysły wzruszyć prawdziwą narracją o tych wizerunkach? I która jest prawdziwa? Szczególnie dobrze pokazała ten problem dyskusja o kabriolecie. Jedni – bardzo krytycznie – czytali ten obraz w perspektywie Franciszkowego wezwania do ubóstwa księży, inni – z o wiele większym zrozumieniem – widząc w nim przede wszystkim wyraz troski lokalnej wspólnoty o zdrowie księdza lub też szacunku dla Najświętszego Sakramentu, któremu godzi się ofiarować jedynie to, co najlepsze. Interpretacja zależy od indywidualnej optyki patrzącego.

### Uwodzenie

Jak zauważa Bernt Österman, obrazy mogą w określonych warunkach zmieniać historię, a nawet ją deformować. W tym przypadku mamy do czynienia z autonomią obrazu rozumianą jako władza poznawcza w stosunku do historii. I tak oto obrazy „panują" nad historią: autonomicznie ją kreując albo decydując o jej znaczeniu. Widać to bardzo dobrze na obu przytoczonych przykładach. Jeden obraz może stać się historią feudalnych relacji w Kościele, drugi – bogactwa tegoż Kościoła. Czyżby więc rację miał św. Izydor, który w swoich „Etymologiach" pisał: „*Pictura autem dicta quasi fictura; est enim imago ficta, non veritas*"? Izydor odwołuje się tutaj do gry słów *fictura – pictura*. Przy czym *pictura* to oczywiście „namalowany obraz", słowo *fictura* jest bardziej wieloznaczne, pochodzi bowiem od czasownika *fingo*, który oznacza zarówno „tworzyć", jak i „zmyślić" (stąd polskie „sfingować", czyli „sfałszować, upozorować"). *Fictura* jest więc zmyślonym wyobrażeniem, kłamstwem, fikcją. Obraz – mówi Izydor – daje złudne wyobrażenie, że jest prawdziwy, tożsamy z rzeczywistością, a w gruncie rzeczy jest fikcją.

Historia fotografii przywołuje wiele przykładów zdjęć, które zaczęły opowiadać coś zupełnie innego niż *de facto* przedstawiały. Dlatego wieloznaczna otwartość obrazu domaga się krytycznej interpretacji ze strony słowa. Obraz trzeba „domknąć", inaczej grozić nam może uwiedzenie nieprawdą. Obraz zaś zacznie żyć swoim drugim, internetowym życiem, w którym niewielu dopyta o kontekst, źródło, okoliczności jego powstania lecz da się uwieść już nawet nie jemu samemu, tylko własnej narracji, z którą do tegoż obrazu podchodzi.

W „Społeczeństwie spektaklu" Debord pisał: „Spektakl nie jest zbiorem obrazów, ale społecznym stosunkiem między ludźmi, nawiązywanym za pośrednictwem obrazów". Stare powiedzenie „Jak cię widzą, tak cię piszą" nabiera w naszych czasach nowego sensu. Nie chodzi już o wrażenie wywołane wyglądem zewnętrznym, a nawet nie o dyktat wszechobecnej wizualności, ale właśnie o owo subiektywne „widzenie", które determinuje nasz stosunek do świata i ludzi. Subiektywna „prawda obrazu" zaś nie musi być wcale „prawdą rzeczy". ©

# Mieszkanie z widokiem na przyszłość

DOROTA BIDZIŃSKA

**Od dwudziestu lat ks. Józef Krawiec i strzelecka Barka pomagają zagrożonym bezdomnością. Teraz barkowicze chcą dać dobry start wchodzącym w dorosłość wychowankom domów dziecka i ośrodków wychowawczych.**

Moje jest to z najładniejszym widokiem z okna – mówi.

Za chwilę je zobaczę. Nowe mieszkanie Krzysztofa: prosty pokój z aneksem kuchennym i łazienką. Wyjrzę przez okno na łany dojrzewającego zboża. – Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że mogę skończyć szkołę, mogę mieć piątkę z matematyki, że znajdę pracę na stałe i że będę miał swoje mieszkanie, to w życiu bym mu nie uwierzył – dodaje.

Po sąsiedzku wprowadza się Sebastian.

– Miałem ciężkie życie – opowiada. – Zwłaszcza w okresie dorastania, kiedy zacząłem się buntować. Narobiłem głupot, trafiłem do kryminału. Tam poznałem ks. Józefa Krawca. To dzięki niemu odkryłem, że nie jestem do niczego, że mam swoje zalety. Skończyłem szkołę, zdobyłem zawód: monter mechanik. Teraz zdobywam uprawnienia w zawodzie technika elektryka. Mam pracę. Zaręczyłem się. Niedługo ślub. Do nowego mieszkania wprowadzę się razem z żoną.

Dom św. Antoniego to dziewięć osobnych mieszkań przeznaczonych na start dla młodych ludzi, wychowanków domów dziecka lub ośrodków wychowawczych, którzy po osiągnięciu dojrzałości muszą się usamodzielnić i pójść na swoje. Budynek powstał przy gospodarstwie w Doryszowie, jednym z czterech domów należących do Stowarzyszenia Pomocy Wzajemnej „Barka" w Strzelcach Opolskich. Od dwudziestu lat w domach tych powstają wspólnoty, które gromadzą ludzi w trudnej sytuacji życiowej, zagrożonych bezdomnością lub niezdolnych do samodzielnego życia. Inicjator i współtwórca strzeleckiej Barki ks. Józef Krawiec jest kapelanem więziennym. Jak wspomina, do stworzenia pierwszego domu i zamieszkania w nim razem z potrzebującymi skłoniła go pewna wizyta.

Na plebanii odwiedził go były więzień. Właśnie wyszedł na wolność, przyszedł podziękować, przyniósł mu w prezencie jakąś piracką kasetę. W trakcie rozmowy wspomniał, że nie bardzo ma się gdzie podziać. W pierwszym impulsie ksiądz chciał go zaprosić do siebie, ale potem pomyślał o czterech innych księżach, którzy z nim mieszkali. Nie chciał ich narażać na nieprzyjemności, a za uczciwość swojego gościa nie mógł przecież ręczyć.

To wtedy pomyślał, że jeśli chce naprawdę pomóc więźniom, musi zrobić kolejny krok. Razem z grupą bezdomnych zamieszkał na terenie zrujnowanej Stadniny Koni w Doryszowie. Wspólnymi siłami wyremontowali dom. Dziś w każdym z czterech domów Barki mieszka po dwadzieścia osób, w tym także ci, którzy po odbyciu kary nie mają dokąd wracać.

Samodzielne mieszkania dla młodych to w Barce nowy pomysł. I choć, jak zaznacza ks. Krawiec, są obawy, jak to miejsce będzie funkcjonować, silniejsze jest przekonanie, że jest ono wyjątkowo potrzebne.

### Skok w dorosłość

Dla większości młodych ludzi osiemnaste urodziny to przede wszystkim duża impreza z legalnie wypitym alkoholem i zafundowany przez rodziców kurs na prawo jazdy. Oprócz tego w ich codziennej sytuacji niewiele się zmienia. Tymczasem dla podopiecznych placówek opiekuńczo-wychowawczych osiemnastka często wiąże się z koniecznością opuszczenia ośrodka i rozpoczęciem samodzielnego życia. Życia, w którym od początku wszystko układa się pod górkę.

Jednym z największych wyzwań jest znalezienie mieszkania. Wsparcie finansowe, które dostają, nie wystarcza na wynajęcie czegokolwiek, a gminy nie dysponują odpowiednią liczbą mieszkań socjalnych. Jak pokazuje raport NIK z 2014 r., „Pomoc w usamodzielnianiu się pełnoletnich wychowanków pieczy zastępczej", warunki bytowe w tych mieszkaniach pozostawiają bardzo wiele do życzenia: „Pełnoletniej wychowance rodziny zastępczej zaproponowano mieszkanie w starym drewniaku – relacjonuje pracownik PCPR w Zgierzu. – Brak było w nim płyty fundamentowej, co powodowało dużą wilgoć w domu, a do tego z uwagi na położenie przy trasie tramwaju odczuwało się każdorazowe wstrząsy mieszkania przy jego przejeździe". Kolejne mieszkanie, które jej zaproponowano, było tak zniszczone, że według oceny rzeczoznawcy doprowadzenie go do warunków mieszkalnych kosztowałoby ponad 50 tys. zł. „Standardem jest też to, iż otrzymywane mieszkania są wyposażone jedynie w instalację wodociągową, czasami z odpływem. Brak jest w nich toalet i łazienek" – dodaje.

Szczególnie dramatyczna sytuacja miała miejsce w Katowicach, gdzie z powodu

ANDRZEJ KERNER / FOTO GOŚĆ

*Ks. Józef Krawiec na budowie Domu św. Antoniego w Doryszewie, lipiec 2017 r.*

braku mieszkań socjalnych usamodzielnionym wychowankom zaproponowano miejsca w noclegowni dla bezdomnych.

Brak dachu nad głową sprawia, że młodzi decydują się na powrót do środowiska rodzinnego. Tego samego, z którego przed laty zostali zabrani z powodu niewydolności wychowawczej ich rodziców. Tam nie tylko nie otrzymują potrzebnego wsparcia, ale czują się zobligowani, by swoim skromnym zasiłkiem zasilać budżet bezrobotnych, uzależnionych, zadłużonych rodzin. Czasem powrót do rodzinnego domu oznacza powrót do traumatycznych wspomnień z dzieciństwa, od których trudno się odciąć.

Autorzy raportu NIK przytaczają m.in. wypowiedź młodej kobiety: „Miałam przypadek, że moja opiekunka zaproponowała mi mieszkanie socjalne w Z., tam, gdzie mieszkają moi rodzice. Powiedziałam, że nie chce mi się mieszkać blisko nich, ze względu na złe wspomnienia i poczucie zagrożenia, podkreśliłam, że rozpoczynam naukę w szkole w D., i chętnie przyjęłabym tam mieszkanie, ale otrzymałam odpowiedź, że jest to niemożliwe i muszę sobie poradzić sama, skoro nie chcę ich przydzielonego mieszkania w Z.”.

W Domu św. Antoniego przy strzeleckiej Barce sam czynsz jest bardzo niski (wynosi ok. 130-150 zł – tyle potrzeba, żeby utrzymać w dobrym stanie budynek), a lokatorzy płacą przede wszystkim za zużycie prądu i wody. Są to koszty nieprzewyższające ich skromnego budżetu, a równocześnie pozwalające nauczyć się rozsądnego gospodarowania zarobionymi pieniędzmi. Każde z mieszkań wyposażone jest w osobny licznik. Zasilane są prądem na kartę. Jeśli któryś z mieszkańców zaniedba opłaty, po prostu będzie zmuszony ponieść tego konsekwencje – dopóki nie zapłaci, nie będzie miał prądu ani ogrzewania. Równocześnie nieopłacone rachunki nie będą powodować rosnącego zadłużenia.

### Trochę serca

Bliskie położenie obok domu wspólnoty Barki ma sprawić, że w trudnych sytuacjach młodzi ludzie będą mogli liczyć na pomoc sąsiadów. Mieszkańcy Domu św. Antoniego to osoby, które wcześniej spędziły trochę czasu we wspólnocie, nauczyły się w niej odpowiedzialności i obowiązkowości, zawiązały przyjaźnie. To wsparcie emocjonalne jest tym bardziej ważne, że według raportu NIK i niezależnych badań ewaluacyjno-diagnostycznych dotyczących sytuacji usamodzielniających się wychowanków placówek, zrealizowanych w 2012 r. przez Martę Abramowicz, Annę Strzałkowską i Tomasza Tobisa, właśnie tego najbardziej brakuje wchodzącym w dorosłość młodym.

„Myślę, że gdyby panie w PCPR były bardziej przyjaźnie nastawione do takich osób jak ja, chciałyby się bardziej zaangażować w nasze problemy, nie myślały, że jesteśmy gorsi i nic nie warci, okazałyby trochę serca i współczucia, a przede wszystkim zwykłej pomocy w napisaniu chociażby podania lub ukierunkowały na rozwiązanie problemu, moglibyśmy czuć się bardziej bezpieczni i potrzebni i czuć, że komuś na nas zależy” – opowiada anonimowa respondentka, cytowana w raporcie NIK.

Choć systemowa pomoc zakłada opracowanie przez każdego wchodzącego w dorosłość wychowanka indywidualnego planu usamodzielnienia i wsparcie opiekuna usamodzielnienia, okazuje się, że wymogi te mają charakter wyłącznie formalny. W większości programów usamodzielnienia pojawiają się te same standardowe zapisy, które w żaden sposób nie odnoszą się do sytuacji konkretnych wychowanków. Młodzi tworzą je wyłącznie po to, by uzyskać finansowe wsparcie – zgodnie z przepisami posiadanie zatwierdzonego indywidualnego planu jest warunkiem koniecznym dla uzyskania świadczeń. Opiekunem usamodzielnienia zostaje przypadkowa osoba, np. pracownik Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, który wypełnia swoją rolę wyłącznie *pro forma* i nie angażuje się w życie podopiecznego. Czasem takim opiekunem zostaje wychowawca z domu dziecka, który mimo dobrej woli nie ma czasu na pełne zaangażowanie się w to zadanie. Często młodzi jako opiekuna wskazują biologicznego rodzica. Mają nadzieję, że ich relacje z matką lub ojcem tym razem ułożą się dużo lepiej. Tymczasem spotyka ich rozczarowanie.

Raport „Sytuacja psychospołeczna i materialna usamodzielnionych wychowanków placówek opiekuńczo-wychowawczych” wspomina o jednym z respondentów, który „zamieszkał w domu rodzinnym, z którego – jak to ujął – »wyrzucił« ojca, ale mimo że mieszka tylko z rodzeństwem, marzy o wyprowadzce z tamtego miejsca, ponieważ nie jest w stanie znieść ↦

↦ tamtego środowiska i nachodzących go co jakiś czas rodziców. Jako jedyny spontanicznie mówi: »Wolałbym być dzieckiem, niczym się nie przejmować, matka by mi się nie dobijała do drzwi, brata bym nie musiał utrzymywać«".

### Od rudery do rekuperatora

Patrząc dziś na dom w Doryszowie, trudno wyobrazić sobie jego początki w 1998 r. Dziurawy dach i pokrzywy do połowy elewacji. Brak toalety i łazienki.

– Nie było prądu – opowiada ks. Józef – więc wieczorami siadaliśmy przy jednej świeczce i gadaliśmy, bo nic innego nie było do roboty. Fajne to było!

Każdy kolejny dom, który przejmowali, był w stanie ruiny. Naprawiali go własnymi rękami.

Trudno też uwierzyć, że na początku wcale nie byli tu mile widziani.

– Pamiętam, że początkowo, gdy pojawił się pomysł na dom Barki, u nas na wsi dużo było obaw i niechęci. Ludzie bali się o swoje dzieci, które wracają tędy ze szkoły. Nie chcieli, żeby spotykały po drodze byłych więźniów – opowiadają mieszkańcy z sąsiedztwa. Dziś zupełnie spokojnie siedzą u barkowiczów w ogródku, a ich dzieci swobodnie biegają po terenie Doryszowa.

Ks. Józef wspomina, że te doświadczenia były dla niego szczególnie trudne. Jako kapłan zawsze był serdecznie zapraszany, mile widziany. Wtedy po raz pierwszy poczuł na własnej skórze, co znaczą słowa „my was tutaj nie chcemy". Ale zaraz dodaje, że te same osoby, które wtedy tak głośno protestowały, potem okazały im dużo serca. Że gdy już tutaj zamieszkali, nigdy nie doświadczyli żadnych przykrości od sąsiadów. Wręcz przeciwnie, dostali bardzo dużo pomocy.

Ta okazała się szczególnie potrzebna w 2014 r., kiedy w jednym z domów Barki, w Kaczorowni, wybuchł pożar. Budynek był akurat pusty i nikomu nic się nie stało, ale dwunastu mieszkańców, w tym sam ks. Józef, straciło wówczas dach nad głową i wszystkie rzeczy osobiste.

– Tak, było nam ciężko, ale też mocno przekonaliśmy się wtedy, jakie to cudowne, kiedy w cierpieniu człowiek nie zostaje sam – mówi z przekonaniem ks. Józef.

W 2016 r. ks. Józef Krawiec otrzymał Nagrodę im. ks. Tischnera za działalność na rzecz osób wykluczonych. Przy okazji wręczenia nagród w „Tygodniku Powszechnym" ukazał się reportaż o nim i o strzeleckiej Barce (do czytania na powszech.net/barka). W ten sposób o istnieniu tego miejsca dowiedział się Grzegorz Król, przedsiębiorca, wiele lat temu związany ze Strzelcami Opolskimi jako prezes firmy McBride. Postanowił, że przekaże Barce fundusze na realizację konkretnego dzieła. Tak zrodził się pomysł na Dom św. Antoniego.

– Można więc powiedzieć, że „Tygodnik" okazał się *spiritus movens* tego dzieła – śmieje się ks. Józef.

Dzięki wsparciu Grzegorza Króla i pomocy lokalnych firm budowlanych, które podarowały materiały i robociznę, powstał nowoczesny budynek, z doskonałymi parametrami termoizolacyjnymi i nowoczesnym systemem rekuperacji – wentylacji z odzyskiem ciepła. Dom, który posłuży na długie lata.

– Tylko w jednej kwestii nie mogliśmy z ks. Józefem dojść do zgody – mówi ze śmiechem Grzegorz Król. – Przy wyborze patrona dla domu. Ksiądz proponował św. Franciszka, ja upierałem się przy św. Antonim. Więc skoro już powstał Dom św. Antoniego, to chyba nie mamy wyjścia, jak postawić kolejny, tym razem imienia Biedaczyny z Asyżu.

### Rodzina

Razem z przyszłymi mieszkańcami Domu św. Antoniego, barkowiczami i ich przyjaciółmi gromadzimy się na mszy świętej. Piękna kaplica z surowymi kamiennymi ścianami, kamiennym ołtarzem i reprodukcją krzyża św. Franciszka z kościółka San Damiano mieści się w dawnej piwnicy na węgiel, w domu w Doryszowie. Trochę tu ciasno. Trzeba mocniej wcisnąć się w kąt, żeby sąsiad, wstając z klęczek, nie uderzył głową o niski strop. Siedząc w ławkach, ocieramy się o siebie ramionami. Słychać najmniejszy szmer, nawet głębszy oddech kogoś stojącego obok. Ta wymuszona bliskość jest dla mnie symbolem tego, jak wyobrażam sobie życie mieszkańców Barki. W domach, gdzie wspólną przestrzeń dzielą ludzie z burzliwą przeszłością, o różnych, nieraz bardzo trudnych doświadczeniach. Razem próbują stworzyć coś na kształt rodziny.

– Jestem nerwowy – przyzna potem w rozmowie jeden z nich. – Jak ktoś mnie wkurzy, to po prostu mi odwala.

Ks. Józef bezwiednie krzywi się, kiedy słyszy, że ktoś nazywa mieszkańców Barki „podopiecznymi" lub „wychowankami". On mówi o nich zawsze „siostry" i „bracia". Jak to w rodzinie, zdarzają się między nimi sprzeczki, ale jest też dużo ciepłych uczuć.

– Ach, Janek, te twoje ciasta! – rzuci ktoś z uznaniem podczas wspólnego posiłku.

– No, młody, daj mi tu ogórka – powie dryblas z tatuażami, z dziwną mieszanką szorstkości i czułości w głosie, a „młody" uśmiechnie się od ucha do ucha, zadowolony, że na coś może się przydać.

– Jak tam, chłopaki? Przerzuciliście już swoje graty? – zagada ktoś do Krzysztofa i Sebastiana.

Do Sebastiana puszczą oko: – No, no. Tylko się urządzicie, a po ślubie „w każdym kątku po dzieciątku".

– Ej, nawet sobie nie żartuj. W rodzinie mojej narzeczonej podobno zdarzały się już bliźniaki.

Zaśmieją się.

– A zresztą, czemu by i nie bliźniaki? – doda po chwili z uśmiechem, wyraźnie rozluźniony. – Może to i podwójna robota. Ale za to dwa razy więcej do kochania!

© DOROTA BIDZIŃSKA

OGŁOSZENIE

**Sąd Rejonowy we Wrześni,** I Wydział Cywilny, pod sygnaturą I Ns 1445/15 prowadzi postępowanie z wniosku Gminy Września o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Szymańskiej z d. Owczarzak, zm. 22 czerwca 2012 r. we Wrześni, ostatnio stale zamieszkałej we Wrześni.

Sąd wzywa spadkobierców wyżej wymienionej, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Korzystałam z raportu NIK „Pomoc w usamodzielnianiu się pełnoletnich wychowanków pieczy zastępczej" z 2014 r. oraz raportu z badań ewaluacyjno-diagnostycznych „Sytuacja psychospołeczna i materialna usamodzielnionych wychowanków placówek opiekuńczo-wychowawczych" Marty Abramowicz, Anny Strzałkowskiej i Tomasza Tobisa, Gdańsk 2012.

SZYMON

# Hołownia:
## *Bieda XXI wieku*

Porażająca wiadomość na stronie katowickiej „Gazety Wyborczej". 55-letnia matka popełniła samobójstwo, zabijając też swoją 31-letnią, chorą na porażenie mózgowe, niezdolną do samodzielnej egzystencji córkę, którą się opiekowała. Matka zmarła natychmiast, u córki prawdopodobnie nie zadziałały przedawkowane leki. Śledczy twierdzą, że mogła umierać nawet parę dni. Sąsiedzi – jak zwykle – nic nie słyszeli ani nie widzieli. Zaalarmował ich wydobywający się przez drzwi fetor.

W pożegnalnym liście kobieta napisała, że powodem dramatycznego kroku były problemy finansowe, pewnie jakieś długi. Chyba otrzymywała świadczenie pielęgnacyjne (obecnie wynosi ono 1477 zł), córka miała rentę (pewnie – z zasiłkiem pielęgnacyjnym – do tysiąca złotych).

Trudno wyobrazić sobie bardziej wstrząsającą glosę do niedawnego protestu w Sejmie. Wołania rodziców osób niepełnosprawnych o finansowe wsparcie, które pozwoli im opłacić coś spoza triady: leki – pieluchy – jedzenie; z może choć trochę mniejszym przerażeniem pozwoli pomyśleć o tym, co się stanie z niezdolnym do samodzielnego życia dzieckiem, gdy rodziców zabraknie. Wiadomo, jak sprawa się skończyła, jak potraktowało protestujących nasze państwo, które przeznacza żywe miliardy na idiotyzmy w postaci „strzelnic w każdym powiecie", „rejsów narodowych", „patriotycznych ławeczek", lotnisk trzy razy większych od Frankfurtu w szczerym polu pod Żyrardowem albo na wymyślone nagle pod publikę (dziwnym trafem zbiegło się to z rządową „aferą nagrodową") dopłaty szkolne po 300 zł na dziecko, a nie ma na bezpośrednie ratowanie godności naprawdę najsłabszych obywateli.

Zasadne będzie tu też pytanie: gdzie byli wspomniani sąsiedzi? Gdzie była parafia tych pań (być może były odwiedzane po kolędzie)? Czy naprawdę nikt nic nie wiedział (mało prawdopodobne, skoro sąsiedzi przekazali reporterom, że matka była bardzo zżyta z córką i z oddaniem się nią opiekowała)? Czy może jednak – jak prawie zawsze – zabrakło uważności, cierpliwości?

Ta tragedia pokazuje coś jeszcze: czas na dobre przedefiniować pojęcie biedy. Mam wrażenie, że tu, na bogatej Północy, naszą czujność usypia tkwienie w przekonaniu, że bieda to wyłącznie zawleczone przez głupią ludzkość do XXI wieku obrazy z wieku XIX: śmierć z głodu, z zakaźnych chorób. To zewnętrzny stan człowieka, który z miejsca woła o pomstę do nieba. Zgoda, ludzi w takiej kondycji wciąż mamy na świecie miliony (mniej, niż mieliśmy jeszcze 30 lat temu, ale wciąż zatrważająco, zawstydzająco dużo). Rzecz jednak w tym, że np. w Europie raczej nie umiera się dziś z głodu czy z powodu epidemii koszmarnych chorób (to może jeszcze zmienić ruch antyszczepionkowy, ale na razie rozsądek zwycięża).

Bieda w tej części świata to zwykle dramaty ludzi, którzy w pogoni za nadzieją nabrali kredytów i teraz nie są w stanie ich obsłużyć, bo nawet jeśli coś zarobią – wszystko zżerają odsetki. To koszmar totalnej samotności w tłumie, w obcym mieście, do którego wyjechało się za chlebem, gdzie po pracy nie ma do kogo otworzyć gęby. To cierpienie ludzi, którzy poddani presji morderczej konkurencji i tysięcy decyzji do podjęcia dziennie – zwyczajnie rozchodzą się w szwach, wpadając w nałogi, choroby psychiczne czy podejmując decyzję o samobójstwie. Liczba samobójstw popełnianych rocznie na świecie za chwilę zrówna się z liczbą ludzi umierających rokrocznie z głodu.

Pewnie dokładnie tak samo mają inne osoby, prowadzące podobną jak ja działalność czy jakoś tam rozpoznawalne: dostajemy tygodniowo kilka–kilkanaście próśb o pomoc. Nikt nigdy nie prosi o jedzenie, ubranie, wodę. Najczęstsze są rzecz jasna prośby o pieniądze na specjalistyczne leczenie. W drugiej kolejności: prośby o wyciągnięcie z finansowych tarapatów, przez które egzystencjalna podłoga wyjechała ludziom spod nóg.

Sam doświadczyłem w życiu różnych finansowych zakrętów, więc gdybym dysponował kapitałem, dajmy na to, rodzeństwa Kulczyków, zaraz ustanowiłbym specjalny fundusz pomagający ludziom w takich sytuacjach stanąć na nogi. Wiem dobrze, że większości takich sytuacji nie rozwiązują wcale zaawansowane kursy mieszania w pustej szklance, że najbardziej efektywnym rozwiązaniem kłopotu wynikającego wprost z braku pieniędzy bywa zorganizowanie owych pieniędzy. Lecz kapitału Kulczyków niestety nie posiadam, jak większość z nas.

To jednak, co zrobić można, zrobić trzeba. Po pierwsze więc – otworzyć swoją wrażliwość na biedę tych, których nieszczęście wyłapiemy w tłumie czasem tylko po subtelnych zmianach w zachowaniu, wtrąconym tu czy ówdzie zdaniu. Te dyskretne sygnały mogą być zwiastunami bólu wcale nie mniejszego (i tak samo potencjalnie śmiertelnego) niż ten, którego doświadczają głodni w Kongo, uchodźcy w Bangladeszu.

Po drugie – gdy ma się taką możliwość: przy parafiach, firmach, placówkach samorządów – trzeba tworzyć nie tylko fachowe ośrodki walki z biedą XIX-wieczną (powtórzę: jaki to wstyd, że jeszcze ją mamy), jak kuchnie i schroniska, ale i z tą rodem z XXI wieku: ambulatoria psychologiczne, fundusze oddłużeniowe, grupy sąsiedzkiego czy środowiskowego monitorowania i wsparcia.

Jeśli Bóg i ludzie pozwolą, wraz z Yahwe Caritas, dobroczynną organizacją założoną przez katolików z diecezji Wenzhou na mocno uprzemysłowionym Wschodzie Chin, moja fundacja Dobra Fabryka spróbuje uruchomić za parę miesięcy takie właśnie małe ambulatorium psychologiczne, w którym wsparcia będą mogły szukać osoby wycieńczone pracą, próbami utrzymania licznej rodziny (systemu emerytalnego tam nie ma), koniecznością konkurowania na morderczym rynku – nieważne, czy katolicy, buddyści, czy ateiści. Samarytanin bandażowałby dziś pewnie nie tylko krwawiące ciało, ale i poharataną *psyche*. Nie ma znaczenia: Katowice, Salt Lake City (USA to kraj o bodajże największych rozwarstwieniach społecznych na świecie) czy Szanghaj: codziennie korzystamy z tego świata globalnie, globalna powinna więc też być nasza odpowiedzialność. To piękna rzecz: zaprosić człowieka do stołu. Musimy też jednak zadbać o tych, którzy nie mają już dość napędu, psychicznej siły, by do niego podejść, by się samoocalić, by dostrzec nadzieję wystarczającą, aby nadal żyć. ©

# WSZYSTKIE FAULE MOSKWY

Mówi się: „W Rosji poeta to więcej niż poeta”. Również sport to w Rosji więcej niż sport.

ANNA ŁABUSZEWSKA

SEFA KARACAN / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

*Władimir Putin i prezydent FIFA Gianni Infantino (po prawej) wizytują stadion na Łużnikach. Moskwa, wrzesień 2017 r.*

Czym więc jest sport we współczesnej Rosji? To świadectwo globalnej potęgi. A także okazja do złomotania wrogów putinowskiej władzy. Oraz element wojny hybrydowej Rosji z resztą świata. Dlatego również XXI Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej 2018 będą nie tylko turniejem sportowym, lecz także areną walki prezydenta Putina o prestiż. Czy to się uda?

### Wszystko w porządku

Był grudzień 2010 r., gdy Rosja otrzymała od FIFA prawo do organizacji piłkarskich mistrzostw świata w 2018 r. Prezydentem był wówczas Dmitrij Miedwiediew, w którym zachodni partnerzy Kremla pokładali nadzieje na zliberalizowanie polityki zagranicznej i wewnętrznej, ocieplenie stosunków, większe otwarcie.

Mijał już wszystkim powoli kac wywołany wojną w Gruzji (sierpień 2008 r.), w której Rosja oderwała od tego kraju dwie prowincje: Abchazję i Osetię Południową. Zachodni biznesmeni robiący interesy w Rosji przystąpili do szeroko zakrojonej ofensywy na rzecz przywrócenia we współpracy z Moskwą zasady *business as usual* – wszystko w porządku. Zaskakującą – mimo wszystko – decyzję gremium FIFA o przyznaniu organizacji mundialu przyjęto w Moskwie rzecz jasna z radością. Potraktowano ją jako kolejny wyraz uznania.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden wątek – będzie powracał wielokrotnie w opowieści o rosyjskich mistrzostwach. W 2010 r. głównym przegranym w pojedynku o organizację imprezy okazała się Wielka Brytania – państwo ostro krytykujące politykę Putina. Jeszcze wtedy nie opadł pył bitewny nad sprawą otrucia Aleksandra Litwinienki (brytyjskie śledztwo ustaliło, że Litwinienko został otruty promieniotwórczym polonem przez wysłanych z Moskwy do Londynu funkcjonariuszy FSB). Zaraz potem rozpętała się kolejna afera szpiegowska, których w historii stosunków rosyjsko-brytyjskich było wiele. A w przeddzień decyzji o przyznaniu organizacji mundialu 2018 w światowej prasie ukazało się wiele materiałów na temat korupcji w FIFA. Wskazywano w nich, że ówczesny przewodniczący światowej federacji Sepp Blatter został kupiony przez Putina. W Moskwie wzruszono ramionami: a gdzie dowody?

Wrócimy jeszcze do tego tematu.

### Tracąc Ukrainę

Putin rozgrywał własną partię. Poza meczem z Wielką Brytanią oraz – szerzej – z Europą, była jeszcze newralgiczna rozgrywka z Ukrainą oraz o Ukrainę.

Legenda głosi, że w 2007 r. przewodniczący ukraińskiego związku piłki nożnej z pomysłem zorganizowania wspólnych mistrzostw europy w 2012 r. poleciał do Moskwy. Ale Kreml był wtedy rozżalony na Ukrainę po pomarańczowej rewolucji i propozycję odrzucił, podkreślając – w firmowym stylu – że jeżeli Rosja zechce zorganizować turniej piłkarski, to poradzi sobie sama.

W świetle wydarzeń, które nastąpiły potem w stosunkach rosyjsko-ukraińskich – Majdan, przygarnięcie przez Rosję zbiegłego eksprezydenta Janukowycza, aneksja Krymu, agresja na wschodnią Ukrainę, narastająca wrogość – można się zastanowić, czy tamta odmowa Putina nie przyczyniła się do pogorszenia relacji między Moskwą i Kijowem. Chyba zabrakło mu wyobraźni, górę wzięła urażona ambicja. A może ta sprawa pokazała tylko dobitnie, że ukraińsko-rosyjski rozbrat już nastąpił, i jedynie go przypieczętowała? ↦

W każdym razie akces Rosji, by zorganizować piłkarskie mistrzostwa świata, był w tym kontekście ważnym zagraniem. Putin najwyraźniej postanowił wyrównać rachunek choćby w ten sposób. Ukraina dla Rosji, dla myślenia jej elit rządzących, to nie tylko sąsiad. Putin przy każdej okazji powtarza, że Ukraińcy to bracia, że wraz z Białorusinami i Rosjanami tworzą jeden naród, że niepodobna go rozdzielić. W rosyjskich programach informacyjno-publicystycznych najgorętsze dyskusje wywołuje nieodmiennie temat Ukrainy i jej proeuropejskich dążeń. Temperatura tych debat wskazuje, że gorączka nadal nie spada, że ta rana w rosyjskim sercu się nie goi. I że ciągle żywe są nadzieje, iż poobijana na drodze do Europy Ukraina pokornie wróci w ramiona stęsknionej Matki Rosji.

Na razie nie wróciła i nie zanosi się, aby w najbliższym czasie chciała. W przeddzień mundialu prezydent Putin pospieszył ogłosić obawę, że Ukraina może szykować podczas turnieju prowokacje, np. rozpocząć ofensywę na Donbas. I odradził takie akcje, bo „będą przykre konsekwencje"...

### System państwowego dopingu

Kontrowersje wokół decyzji FIFA o przyznaniu mundialu Rosji powracały w ostatnich latach wielokrotnie. Bo też powodów do tych kontrowersji Rosja dostarczała nieustannie.

Zacznijmy od wielkiej afery dopingowej. W lutym 2014 r. w rosyjskim Soczi odbyły się zimowe igrzyska olimpijskie. Nikt z ekspertów nie dawał Rosji szans na wygranie klasyfikacji medalowej – typowano, że zajmie w niej piąte-szóste miejsce. Tymczasem zdobyła pierwszą lokatę.

Dwa lata po igrzyskach wyszły na jaw niedozwolone metody stosowane przez rosyjską ekipę olimpijską. Do nagłośnienia afery przyczyniła się niemiecka telewizja ARD, która wyemitowała kilkuczęściowy film „Doping Top Secret", poświęcony dopingowi w rosyjskim sporcie. Oliwy do ognia dolał Grigorij Rodczenkow, szef rosyjskiej agencji antydopingowej, który w obawie o własne życie uciekł na Zachód (chyba miał powody – dwie osoby z kierownictwa rosyjskiej agencji zmarły w tajemniczych okolicznościach).

Po ucieczce Rodczenkow opowiedział mediom, że rosyjscy olimpijczycy koksowali pod czułym okiem trenerów, że niemal połowa rosyjskich medali w Soczi została zdobyta nieuczciwie, że stosowano przemyślny system zamiany próbek moczu, że plan został opracowany w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, a zaakceptowany na najwyższym szczeblu politycznym.

Afera miała opłakane dla rosyjskiego sportu skutki: część olimpijczyków podejrzanych o doping zdyskwalifikowano dożywotnio lub na długi czas, część pozbawiono medali, zabroniono im udziału w igrzyskach itd. Rosja prowadziła intensywny lobbing, by przywrócić prawo startu zawodnikom, trenerom i działaczom. W niektórych przypadkach to się udało. Np. do udziału w mundialu dopuszczono drużynę narodową Rosji, której zawodnicy też byli podejrzewani o stosowanie dopingu.

Komentatorzy używali sobie niepospolicie na tym podejrzeniu: „Skoro oni na dopingu grają jak nogi stołowe, to jak by grali bez wzmacniaczy?". Faktycznie, Sborna (jak popularnie określa się rosyjską drużynę narodową) zajmuje odległe, bo 70. miejsce w rankingu FIFA, i ostatnimi czasy nie dawała kibicom powodów do zadowolenia. Choć nie brakuje głosów, że losowanie grup było tak łaskawe dla gospodarzy, że nie wypada im nie wyjść z fazy grupowej.

ANDRIJ JERMOŁENKO ART X4

Ukraiński artysta Andrij Jermołenko stworzył serię antyplakatów mundialowych pod hasłem „FIFA War Cup". Zestawił też listę powodów **do zbojkotowania mundialu przez cywilizowany świat.**

### Uśmiechnięty jak kibic

A jeśli już mowa o kibicach – to kolejna z kontrowersji, jakie pojawiły się na horyzoncie w trakcie przygotowań do rosyjskiego mundialu.

Rosyjscy ultrasi wielokrotnie sprawiali kłopoty na rodzimych stadionach. Krewkim młodzieńcom w klubowych szalikach czasem nie wystarczało zdemolowanie stadionu – przenosili bitwy na ulice. Do haseł wsparcia dla umiłowanej drużyny czy pohańbienia drużyny przeciwnej dopisywano niekiedy hasła rasistowskie i ksenofobiczne.

Socjolodzy rosyjscy od lat twierdzą, że środowiska kibolskie mają „kryszę" (patronat) w służbach specjalnych, które realizują polecenia Kremla w tym zakresie. Poszlaki są: w razie potrzeby energię kibiców najwyraźniej kanalizowano zgodnie z odgórnym zaleceniem. Próbkę tej metody można było zaobserwować podczas mistrzostw Europy we Francji w 2016 r.: w Marsylii doszło do regularnej bitwy z udziałem rosyjskich ultrasów, którzy wyżyli się na znienawidzonych kibicach z Wielkiej Brytanii.

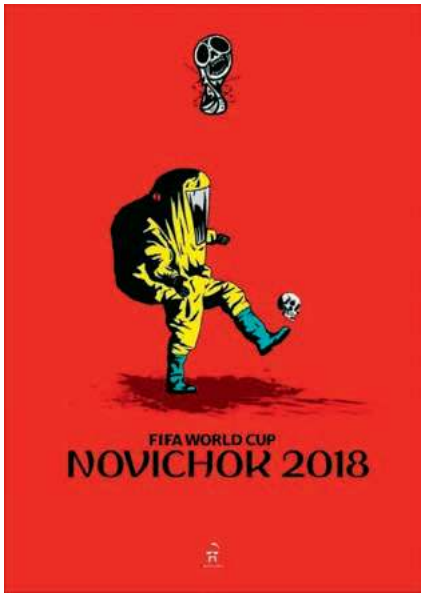

Do dziś jest to dla rosyjskich kibiców powód do chwały: dali Brytolom, zadawnionym wrogom, nieźle popalić. Burdy były szeroko komentowane w sieci. Zacytujmy taki komentarz: „Przemoc, jakiej dopuścili się rosyjscy kibice w Marsylii, to jeszcze jeden argument na rzecz twierdzenia, że przyznanie organizacji mundialu 2018 Rosji to wielki błąd skorumpowanej FIFA. Jak można przeprowadzić mistrzostwa w kraju, gdzie antyamerykańska i antyeuropejska propaganda wywołuje nienawiść do wszystkiego, co inne. Nie, to nie jest miejsce na mistrzostwa".

Teraz, w przeddzień mundialu, w brytyjskiej prasie pojawiło się kilka ciekawych artykułów poświęconych rosyjskim kibicom. Zdaniem publicysty dziennika „Guardian" Kreml, który latami podgrzewał nastroje wśród skrajnie prawicowych środowisk kibolskich, kontrolował je i wykorzystywał do własnych celów, teraz może nie dać sobie rady z agresywnymi kibicami. Dżin został wypuszczony z butelki i nie ma zamiaru tam powrócić.

Z kolei rosyjskie media państwowe od pewnego czasu prowadzą kampanię na rzecz stworzenia pozytywnego wizerunku rodzimych wielbicieli piłki. W każdym materiale podkreśla się, że cudzoziemscy kibice nie powinni się bać o własną skórę, gdyż spotkają się jedynie z życzliwym przyjęciem. Gospodarzom wszak zależy, aby pokazać rumianą, dobrotliwą twarz Rosji, kraju pełnego niespożytej energii, otwartego na świat, nowoczesnego i uśmiechniętego.

### „Russia no criminality"

Właśnie: skorumpowana FIFA, o której pisali komentatorzy po kibolskiej demolce na Euro 2016, to jeszcze jeden wątek związany z organizacją mistrzostw w Rosji.

Decyzja o przyznaniu tego prawa Rosji zapadła w chwili, gdy FIFA wypisała sobie na sztandarach wspieranie idei futbolowych tam, gdzie nie są one jeszcze silne. W Rosji piłka nożna jest wprawdzie bardzo popularna, ale infrastruktura była zdecydowanie niewystarczająca, aby zorganizować imprezę rangi mistrzowskiej.

Do sprawy budowy mundialowych obiektów za chwilę powrócimy. Najpierw o korupcji.

W maju 2015 r. wybuchła wielka afera korupcyjna w FIFA, aresztowano kilku ważnych działaczy. Rosyjscy politycy okazali się bardzo tym zaniepokojeni – dostrzeżono w tym zagrożenie dla prawa do organizacji mistrzostw przez Rosję. Media pękały od publikacji, że Rosja kupiła sobie prawo do mundialu.

Ówczesny przewodniczący federacji Sepp Blatter (w wyniku afery w końcu utracił stanowisko) był postrzegany jako sojusznik Moskwy. Deklarował, że „sport i polityka powinny być rozdzielone". Podobne deklaracje składał Putin. A jednak obaj w chwili kryzysu spotkali się na poufnych rozmowach w rezydencji rosyjskiego prezydenta w Nowo-Ogariowie. W spotkaniu brał też udział Witalij Mutko, wówczas członek komitetu wykonawczego FIFA, a potem minister sportu, pod skrzydłami którego wyrosła wielka afera dopingowa. Pytany wtedy przez dziennikarzy o kulisy afery korupcyjnej w FIFA, Mutko próbował wypowiedzieć się światowo, przekonująco i po angielsku: „*Russia no criminality*" – wybąkał, cały w pąsach.

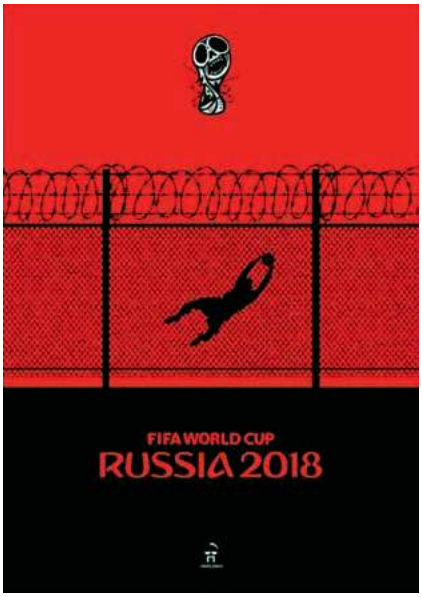


Ale w 2015 r. chodziło nie tylko o afery z kupowaniem decyzji FIFA. Doszły jeszcze kontrowersje polityczne. W 2014 r. Rosja anektowała Krym i dokonała agresji na wschodnią Ukrainę; w lipcu 2014 r. nad Donbasem został zestrzelony samolot Malaysia Airlines z 298 osobami na pokładzie. Wielu polityków twierdziło, że w związku z tym należy odebrać Rosji organizację rozgrywek, jako że mistrzostwa nie mogą odbyć się w kraju prowadzącym wojnę. Świat zachodni wprowadził sankcje.

Rosja konsekwentnie się broniła, twierdząc, że nie jest stroną w toczącej się na Ukrainie wojnie (i nazywając ją „domową"), oraz zapewniając, że z zestrzeleniem samolotu nie ma nic wspólnego. W tej grze FIFA wspierała Moskwę, powołując się na zasadę apolityczności.

Nerwowo zrobiło się znów przy wymianie władz federacji piłkarskiej. Ale następca Blattera, Gianni Infantino, z dziecięcą radością ściskał prawicę Putina, pozwalał mu się zapraszać na imprezy sportowe do Rosji, odwiedzał szkółki piłkarskie i wyuczył się kilku słów po rosyjsku, aby w oficjalnych wystąpieniach zrobić dodatkową przyjemność gospodarzom. O odwołaniu mundialu nie było ze strony FIFA mowy.

### Bojkot? Jaki bojkot?

Ukraiński rysownik Andrij Jermołenko stworzył serię antyplakatów mundialowych pod hasłem „FIFA War Cup". Nawiązują one stylistyką do oficjalnej symboliki mistrzostw. Artysta zestawił też listę tematów, z których każdy, jego zdaniem, powinien stanowić powód do zbojkotowania rosyjskiego mundialu przez cywilizowany świat.

I tak, logotyp mistrzostw przedstawił w obudowie z drutu kolczastego – to protest przeciw przetrzymywaniu przez Rosję więźniów politycznych. Osobny plakat poświęcony jest ukraińskiemu reżyserowi Olegowi Sencowowi, skazanemu w Rosji w sfingowanym procesie na karę 20 lat kolonii karnej (od kilku tygodni Sencow prowadzi głodówkę protestacyjną). Dalej: aneksja Krymu, rozpętanie wojny w Donbasie przy udziale rosyjskiej armii, wojna ↦

↦ w Syrii, zestrzelenie malezyjskiego samolotu cywilnego, otrucie eksagenta rosyjskich służb specjalnych Siergieja Skripala i jego córki Julii...

Zatrzymajmy się przy dwóch ostatnich tematach.

Pod koniec maja Międzynarodowa Grupa Śledcza potwierdziła, że pocisk, którym zestrzelono samolot Malaysia Airlines, został odpalony z zestawu przeciwlotniczego typu „Buk", należącego do 53. Brygady Przeciwlotniczej armii rosyjskiej. Holandia i Australia, których obywatele zginęli w katastrofie, oficjalnie oskarżyły Moskwę o udział w zestrzeleniu samolotu, co było konsekwencją pogwałcenia przez Rosję norm prawa międzynarodowego. Znowu zabrzmiały wezwania do zbojkotowania mundialu – jako sankcji za zbrodnię, do której sprawca nie chce się przyznać. Ale na razie na wezwaniach się skończyło.

Kwestia bojkotu została też częściowo – by nie powiedzieć: śladowo – włączona w sprawę sankcji Wielkiej Brytanii po otruciu rodziny Skripalów. Londyn oskarżył o tę zbrodnię Moskwę i wywołał reakcję dyplomatyczną (nastąpiło wydalenie rosyjskich dyplomatów z Wielkiej Brytanii i brytyjskich z Rosji; potem dołączyły kolejne kraje). Premier Theresa May zapowiedziała, że na mundial do Rosji nie wybierze się żaden brytyjski polityk ani członek rodziny królewskiej. Do „dyplomatycznego" bojkotu dołączyła Islandia, a także pojedynczy politycy z Japonii, Australii, Szwecji, Danii i Polski. Ale drużyny Anglii i Islandii pojadą do Rosji.

Rosyjska telewizja pokazuje ostatnio dzień w dzień, że na mundial wybierają się i piłkarze, i ich rodziny, i kibice, nawet z wrogo nastawionej Wielkiej Brytanii. Chęć wzięcia udziału w święcie sportu jest większa niż chwilowe polityczne nieporozumienia – tak przekonują komentatorzy.

### Mundial potiomkinowski

Gdy Rosji przyznawano prawo do organizacji mundialu, w kraju brakowało odpowiedniej infrastruktury. Organizatorzy w trybie pilnym stworzyli więc „plan ośmioletni": miały powstać nowe stadiony, lotniska, dworce, linie kolejowe, połączenia drogowe, baza hotelowa.

W 2010 r. rosyjska gospodarka niezbornie dźwigała się z kryzysu, który mocno dotknął ją dwa lata wcześniej. Budowa obiektów na mistrzostwa miała rozkręcić koniunkturę i zapewnić Rosji wzrost. Ale nic się nie rozkręciło. Do tego doszły następne problemy: przede wszystkim trwały spadek cen ropy na światowych rynkach i dotkliwe międzynarodowe sankcje po 2014 r., które znacznie ograniczyły inwestycje. Z kolei niejasna sytuacja po wzajemnych sankcjach, jakimi Turcja i Rosja obłożyły się po zestrzeleniu rosyjskiego samolotu nad Syrią, sprawiła, że tureckie firmy budowlane – od lat obecne w Rosji – musiały się na pewien czas wycofać, co spowodowało opóźnienia w oddaniu obiektów do użytku.

Z ambitnych planów wypadały więc kolejne inwestycje mundialowe. Np. nie powstała droga szybkiego ruchu Moskwa–Petersburg, stacje metra, obwodnice, szybka kolej do Kazania, nie zbudowano też większości planowanych hoteli. W Wołgogradzie miała być wymieniona nawierzchnia ulic – tego też nie udało się przeprowadzić. Rosyjska prasa opozycyjna podnosiła, że nie wystarcza pieniędzy na planowane obiekty, bo dla Putina ważniejsze jest zbudowanie mostu z Rosji kontynentalnej na Krym. Ten najdłuższy w Europie most powstał i niedawno, w połowie maja, został otwarty z pompą.

Po drodze na mundial przytrafiały się też różne przygody. Bunt i rwetes na całą Rosję podnieśli pracownicy sfery budżetowej, których przymusowo zagoniono do budowy opóźnionego stadionu w ramach czynu społecznego. Pieniądze gdzieś się rozeszły, więc budowniczowie stadionu odmówili pracy za darmochę.

Po rosyjskim internecie od tygodni krążą zdjęcia przysłoniętych wielkimi płachtami fasad starych budynków w Samarze i Niżnym Nowogrodzie. Miały być wyremontowane, ale jak to w rosyjskich bajkach bywa, na dobrych chęciach się skończyło. Przeto włodarze miast wpadli na pomysł, aby schować ruinę za zasłoną.

A żeby nie było ponuro, na lipnych frontonach namalowano okieneczka i sylwetki witających gości mieszkańców. Tradycje księcia Potiomkina mają się w Rosji dobrze.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

# Węgierska Realpolitik

DOMINIK HÉJJ

**Działania Orbána coraz mocniej uderzają w interesy Polski. Ale ze względu na deklarowany sojusz PiS i Fideszu politycy z obu partii o tym nie mówią. Choć trudno sądzić, że nie są tego świadomi.**

Szef węgierskiej dyplomacji Péter Szijjártó podróżował ostatnio do Rosji, USA i Niemiec, próbując godzić sprzeczne kierunki. Jego spotkania miały dwa główne tematy: Ukraina i energetyka.

Z polskiej perspektywy jednym z problemów jest spór Budapeszt–Kijów, który eskaluje. Jego zarzewiem była ustawa o edukacji, przyjęta w 2017 r. przez ukraiński parlament. Budapeszt twierdzi, że godzi ona w mniejszość węgierską na Zakarpaciu (i liczył na polskie wsparcie, ale War-

MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

*Ministrowie spraw zagranicznych Péter Szijjártó i Jacek Czaputowicz, Warszawa, 17 maja 2018 r.*

szawie udało się porozumieć w tej sprawie z Ukrainą).

W konsekwencji Węgry blokują rozmowy z Kijowem w ramach NATO i Unii – to faktyczne weto wobec wszelkich inicjatyw proukraińskich coraz bardziej niepokoi Zachód. Ostatnim krokiem było memorandum premiera Viktora Orbána, w którym wzywał partnerów do rewizji relacji z Ukrainą – państwem, które uważa za upadłe (jego ton podchwyciły kremlowskie media). Memorandum pojawiło się w chwili, gdy Ukraińcy zapewnili, że ustawa edukacyjna nie będzie obowiązywać aż do 2023 r.

### Zamiast dywersyfikować

O memorandum Orbána poinformowano w czasie majowego Zgromadzenia Parlamentarnego NATO w Warszawie. Szef polskiego MSZ Jacek Czaputowicz mówił tam, jak ważna jest pomoc dla Ukrainy. Podobne przesłanie przywiózł sekretarz stanu USA Mike Pompeo. Po spotkaniu z ministrem Szijjártó, Pompeo mówił też o konieczności przeciwdziałania szkodliwym wpływom Rosji w Europie Środkowej.

Tymczasem można by zapytać, czy to właśnie Budapeszt nie realizuje rosyjskich interesów w tej części Europy. Oczywiście z zastrzeżeniem, że sam ma z tego korzyści i traktuje to jako zgodne z węgierską racją stanu (co jednak powinno być równie alarmujące).

Wcześniej minister Szijjártó wziął udział w szczycie ekonomicznym w Petersburgu. Spotkał się tam nie tylko z ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem, ale też z szefami dwóch rosyjskich firm: Rosatomu i Gazpromu.

Z Gazpromem podpisano porozumienie na rok 2019; padały zapewnienia o efektywnej współpracy z Rosją, która zapewni dostawy energii na najbliższe lata. Z kolei Rosatom rozbuduje węgierską elektrownię atomową w Paks (prace ruszą w 2020 r.).

Dwuznaczne stanowisko Budapeszt zajmuje wobec drugiej nitki Gazociągu Północnego (Nord Stream 2), której powstanie Polska krytykuje. Węgrzy czynią też wszystko, by przyłączyć się do budowy Gazociągu Południowego – kolejnego rosyjskiego projektu energetycznego. Zamiast dywersyfikować, coraz bardziej uzależniają się więc od rosyjskiej energii – argumentując, że to się opłaca, bo zapewnia niskie ceny.

### Wpływy na Bałkanach

Orbán jest też coraz bardziej aktywny na Bałkanach, w szczególny sposób: swą pozycję buduje „namaszczonymi" przez siebie politykami. Postrzega ten region jako tygiel kulturowy i etniczny, który został niesprawiedliwie podzielony – jak Węgry po I wojnie światowej.

Ostatnio Orbán poparł lidera słoweńskiej opozycji, konserwatystę Janeza Janšę. Jego partia SDS wygrała na początku czerwca wybory (w kampanii Janšy istotną rolę odgrywały hasła antyimigracyjne). W Budapeszcie głośno jest o tym, że oligarchowie, którzy stanowią filar prorządowych mediów na Węgrzech, przejmują słoweńskie media, budując imperium informacyjne sprzyjające Janšy.

Kolejnym terenem aktywności jest Macedonia, gdzie Orbán popiera Nikołę Gruewskiego i jego opozycyjną WMRO-DPMNE. Gdy Gruewski był w latach 2006-16 premierem, słynął z autorytarnych metod. Także tu węgierski biznes inwestuje w media (mechanizm, kopiowany z Węgier, polega na całkowitej kontroli przekazu).

Wprawdzie partia Gruewskiego nie jest przeciwna członkostwu Macedonii w NATO i Unii, ale *de facto* blokuje je, nie godząc się na zmianę nazwy państwa (to punkt sporu z Grecją), a także wyznaje ideę „Wielkiej Macedonii".

### Bez sentymentów

Mogłoby się wydawać, że obszarem wspólnym dla Węgier i Polski będzie obronność: w priorytetach rządu Orbána jest budowa – nie rozbudowa, lecz właśnie budowa – nowej armii.

Tyle tylko, że realizacja tego celu znów skłania do pytań: na poziomie sojuszniczym (Orbán stwierdził ostatnio, że obrona Węgier nie jest zadaniem NATO ani Unii, lecz „naszym własnym", tj. Węgier), praktycznym (węgierskie śmigłowce mają być modernizowane... w Rosji) oraz finansowym (wydatki na armię to zaledwie 1,1 proc. PKB – to nieco mniej niż w Niemczech).

Budapeszt prowadzi politykę zagraniczną na miarę państwa większego niż to, jakim jest – w myśl hasła Viktora Orbána „Uczyńmy Węgry wielkimi". Utrzymuje relacje z potencjalnie wykluczającymi się partnerami, starając się czerpać z tego korzyści i realizując swoje partykularne interesy. Szuka też nowych regionalnych partnerów, angażując w nich kapitał. Wbrew deklaracjom o sojuszu, jego polityka coraz częściej jest sprzeczna z interesami Polski.

Ale Orbán nie jest sentymentalny. ©

ANGELO CARCONI / EPA / PAP

*Premier Giuseppe Conte otwiera pierwsze posiedzenie nowej rady ministrów, 1 czerwca 2018 r.*

# Tak, jesteśmy populistami

PAWEŁ BRAVO

**Włosi mają nowy rząd, a strefa euro ma perspektywę nowego kryzysu: niestabilność jej trzeciego co do wielkości kraju może wywołać kryzys gorszy niż grecki.**

Rzecz działa się w Rzymie, nie mogło więc zabraknąć antyku. „Porozumieliśmy się z Ruchem Pięciu Gwiazd, żeby walczyć z Europą, jak niegdyś Ateny i Sparta sprzymierzyły się przeciw Persji" – tak w debacie nad wotum zaufania dla nowego włoskiego rządu mówił poseł Ligi, jednej z dwóch tworzących go formacji.

Liga, choć formalnie jest mniejszościowym partnerem w tej koalicji, wskazywana jest jednak jako ta, która uzyskała większy wpływ na oblicze nowego rządu. Już kilka lat temu porzuciła przymiotnik „Północna", wyczuwając, że łatwiej teraz łowić głosy, kierując złość wyborców nie na leniwe włoskie Południe, lecz na Brukselę.

Unia to „niemiecka klatka" – mówił jeszcze w 2017 r. Matteo Salvini, szef Ligi, a dziś wicepremier i szef MSW w nowym gabinecie. Relacjonując swą rozmowę z Viktorem Orbánem zapewniał wtedy, że wespół z nim jest gotów pracować „nad zmianą reguł Unii Europejskiej".

### Inspiracje i obietnice

Nacisk na złagodzenie sankcji wobec Rosji – i traktowanie jej jako strategicznego partnera – to też wkład Salviniego w nową politykę Włoch. Choć premier Giuseppe Conte (prawnik bez doświadczenia politycznego, będący marionetką w rękach Ligi i Pięciu Gwiazd) zapewniał w *exposé* NATO, że jego kraj nadal chce w nim być „jak najlepiej" (przy czym użył łacińskiego cytatu z Liwiusza), słowa te brzmiały blado. W przeciwieństwie do mocno artykułowanego otwarcia na reset z Moskwą („sankcje szkodzą bowiem społeczeństwu obywatelskiemu Rosji").

Rosja pojawiła się w *exposé* Contego ponownie, gdy wyznał: „Czerpię inspirację ze słów Dostojewskiego o Puszkinie, gdy przyznaję z dumą, że jesteśmy populistami, jeśli słowo to oznacza wsłuchiwanie się w głos ludzi... i jeśli antysystemowość oznacza dążenie do wprowadzenia nowego systemu". Wprawdzie w mowie, jaką pisarz wygłosił z okazji odsłonięcia pomnika poety, trudno odnaleźć konkretne słowa, które miały inspirować Contego, ale warto zauważyć, że wizje Dostojewskiego na temat nowego uniwersalizmu – idącego z Moskwy na ratunek Europie – robią ostatnio karierę. Wcześniej mowę pisarza cytował (tym razem dokładnie) prezydent Francji, w trakcie konferencji z Putinem w Sankt Petersburgu.

W swym programie koalicyjnym Liga i Pięć Gwiazd porzuciły najostrzejsze hasła przeciw wspólnej walucie. Skupiają się na konkretnym rozdawnictwie: niski podatek liniowy (to Liga), gwarantowany dochód obywatelski (tego chcą „gwiaździści"), niższy wiek emerytalny, podwyżka świadczeń. Eksperci wyliczają, że może to kosztować ponad 100 mld euro – w sytuacji, gdy kraj już jest zadłużony po uszy.

### Gorzej niż w Grecji?

Reakcje giełd i liderów Unii wskazują, że nowy rząd w Rzymie traktowany jest jako ryzyko dla euro i dla spójności Unii (i tak marnej). *Spread*, czyli różnica oprocentowania między 10-letnimi papierami skarbowymi Włoch i Niemiec, poszybował prawie do 300 punktów (gdy już sto kilkadziesiąt uznawanych jest za poziom alarmowy dla wypłacalności państwa). Z kolei oprocentowanie krótkoterminowych obligacji włoskich przebiło w ubiegłym tygodniu greckie – to znaczy, że inwestorzy spodziewają się gorszego tumultu w Rzymie niż ten, który spowodował niemal wyrzucenie Aten ze strefy euro.

Jeszcze zanim te wskaźniki zaczęły skakać, Günther Oettinger – unijny komisarz ds. budżetu – wyraził nadzieję, że perturbacje na rynkach finansowych wskażą Włochom, na kogo warto głosować. Został zrugany przez swych kolegów (bo pachniało to „ingerencją" Unii, której na poziomie oficjalnym stara się ona unikać), choć miał rację. To, że zadłużenie kraju ogranicza jego suwerenność, Włosi zawdzięczają głównie sobie. Choć z drugiej strony „grupa trzymająca władzę" w strefie euro zbyt długo przymykała oczy na to, że nie da się mieć wspólnej waluty bez koordynacji fiskalnej, i że gospodarki Włoch i Niemiec różni zbyt wiele, by nie owocowało to ogromną nierównowagą (na korzyść Berlina). Teraz strefa euro stoi wobec groźby, że niestabilność trzeciego co do wielkości jej kraju wznieci pożar, który ugasić będzie trudniej niż ten grecki.

Cała nadzieja Brukseli – i po części Waszyngtonu (choć niektórzy, jak Steve Bannon, pomagali włoskim populistom) – w tym, że ta koalicja szybko się rozpadnie. Wszak sojusz Aten i Sparty szybko przerodził się w wyniszczającą oba kraje jatkę – wojnę peloponeską. ©℗

DUMITRU DORU / EPA / PAP

*Lider Ruchu Godność i Prawda Andrei Năstase. Kiszyniów, lipiec 2017 r.*

# Cios dla kartelu

PIOTR OLEKSY

**Merem stolicy Mołdawii został właśnie jeden z liderów proeuropejskiej opozycji, Andrei Năstase. Zaskakujący wynik tych wyborów zmienia polityczny układ w kraju.**

Od ponad dwóch lat mołdawska polityka jest wyjątkowo stabilna, wręcz nudna. Rządzi formalnie prozachodnia większość parlamentarna, zbudowana przez Vlada Plahotniuca – głównego oligarchę i szefa Partii Demokratycznej. Pozornie jej rywalami są prorosyjski prezydent Igor Dodon i Partia Socjalistów, z której Dodon się wywodzi. Ale w istocie oba obozy współpracują, by utrzymać ten duopol. Tożsamościowe rozdarcie społeczeństwa, które od lat jest prawie równo podzielone między zwolenników integracji z Rosją i Zachodem, tylko temu sprzyjało.

**UKŁAD ZAMKNIĘTY.** Kartel Plahotniuc-Dodon od dawna już przygotowuje się do wyborów parlamentarnych, planowanych na jesień 2018 r. Głosami posłów z obu obozów wprowadzono mieszaną ordynację, zgodnie z którą połowa parlamentu będzie wybierana w jednomandatowych okręgach. Socjaliści, którzy mają dziś największe poparcie, zdobyliby większość miejsc wybieranych w systemie proporcjonalnym plus odpowiednią liczbę z tych okręgów. Gorsza jest sytuacja rządzącej Partii Demokratycznej: popiera ją najwyżej 13 proc. wyborców, a Plahotniuc cieszy się rekordowym, bo aż 96-procentowym brakiem zaufania.

Partia Plahotniuca liczyła jednak, że zachowa swoją pozycję w parlamencie dzięki okręgom jednomandatowym. W tym celu chciano wykorzystać sprawdzone metody szantażu i przekupstwa politycznego. Liczono zwłaszcza na zaangażowanie lokalnych liderów, którzy formalnie mieliby startować jako niezależni (aby nie kojarzono ich z niepopularnym oligarchą), a po wejściu do parlamentu wsparliby frakcję Plahotniuca.

Przedterminowe wybory w Kiszyniowie miały być sprawdzianem dla tego systemu. Wieloletni mer stolicy Dorin Chirtoacă został rok temu aresztowany pod zarzutem korupcji i odtąd miastem rządziła formalnie niezależna komisarz Sylvia Radu. Startowała teraz na urząd mera jako apolityczny menadżer, choć trudno było kryć, że wspiera ją Plahotniuc.

Jednak spodziewano się, że Radu bez problemu wejdzie do drugiej tury, gdzie zmierzy się z kandydatem socjalistów Ionem Cebanem. A w tym momencie miał zadziałać czynnik geopolityczny: prorosyjski polityk jeszcze nigdy nie wygrał w Kiszyniowie.

**SUKCES NIESPODZIEWANY.** Andreiowi Năstase, kandydatowi trzech partii proeuropejskiej opozycji, nikt nie dawał szans. Ale system się nie sprawdził: Radu nie ↦

↦ przeszła do drugiej tury, a w niej wygrał Năstase.

Do polityki wszedł on wiosną 2015 r.: został jednym z liderów Ruchu Godność i Prawda, który wyprowadził ludzi na ulice w akcie gniewu, wywołanego przez tzw. kradzież stulecia – pod rządami proeuropejskiej (formalnie) koalicji z trzech banków zniknął miliard dolarów. Spowodowało to załamanie poparcia dla rządu, ale nie przyniosło realnej zmiany władzy. Jeden z oligarchów, Vlad Filat, trafił do więzienia, a drugi – właśnie Plahotniuc – stał się hegemonem na scenie politycznej.

Wprawdzie Ruch Godność i Prawda przekształcił się w partię, ale stracił impet. Po tym, jak wybory prezydenta kraju przegrała Maia Sandu (liderka drugiej z prozachodnich partii opozycji, współpracująca z Năstasem), po tej stronie sceny politycznej zapanowały marazm i pesymizm. Zdawało się, że duopol demokraci-socjaliści jest nie do ruszenia.

Na niespodziewany sukces Năstasego złożyło się więc wiele czynników. Przede wszystkim wyborcy w stolicy są bardziej świadomi politycznie niż na prowincji. Badania pokazują, że głównym źródłem informacji jest dla nich internet, gdy w reszcie kraju króluje telewizja, zdominowana przed kanały należące do Plahotniuca. Kiszyniowianom nie spodobały się ich ataki na Năstasego, szczególnie gdy na siłę starano się znaleźć brudy w jego życiu prywatnym. Duże znaczenie miało też wsparcie ze strony Mai Sandu, która cieszy się dużym zaufaniem.

**SZANSA NA PRZEBUDZENIE.** Jeszcze niedawno wielu stawiało krzyżyk na proeuropejskiej i antyoligarchicznej opozycji. Teraz w jej szeregach panuje optymizm. To jej pierwsze realne zwycięstwo i cios dla kartelu Plahotniuc-Dodon. Tym bardziej że kandydat socjalistów przegrał też wybory w Bielcach, drugim największym mieście kraju, tradycyjnie prorosyjskim. Zwyciężył tam kandydat partii prorosyjskiej, lecz antysystemowej.

Sukces Năstasego może obudzić rzesze rozgoryczonych Mołdawian, którzy dotąd odwracali się od polityki. Z kolei Zachód, który do tej pory wspierał rząd, nie postrzegając proeuropejskiej opozycji jako alternatywy, otrzymał sygnał, że warto zrewidować tę postawę. Jest więc cień szansy, że mołdawska polityka przestanie być więźniem geopolityki.

© PIOTR OLEKSY

# Amerykański czas niepewności

JAN SMOLEŃSKI

**Z anteny stacji ABC zniknął popularny serial „Roseanne". Ale nie zniknie problem, o którym opowiadał: upadek Środkowego Zachodu. Tego regionu w Stanach, którego mieszkańcy masowo popierają Trumpa.**

Czy w kilka godzin można doprowadzić do zdjęcia z telewizyjnej ramówki programu, który cieszy się ogromną popularnością? Można: dowiodła tego Roseanne Barr, aktorka grająca główną rolę w amerykańskim serialu „Roseanne" (znanym też polskiej publiczności) i zarazem jego współtwórczyni.

„Gdyby bractwo muzułmańskie + planeta małp miały dziecko = vj". Takim przemyśleniem Barr podzieliła się nocą z 28 na 29 maja na swoim profilu w serwisie Twitter.

Już wczesnym rankiem stacja ABC, emitująca ten *sitcom*, podjęła decyzję o zakończeniu produkcji serialu.

Słowa Barr były adresowane do Valerie Jarret (to ona, „vj", miała być owocem złączenia dżihadysty z małpą). Pani Jarret była doradczynią prezydenta Obamy, jest Afroamerykanką, a urodziła się w Iranie. Obelgę wobec niej odebrano powszechnie jako szokującą – i grającą na najgorszych rasistowskich stereotypach.

Mimo to błyskawiczna reakcja szefostwa ABC wprawiła Hollywood w zdziwienie. Niedawne wznowienie serialu, po dwóch dekadach przerwy, okazało się wielkim sukcesem: pierwszy odcinek dziesiątego już sezonu przyciągnął przed telewizory ponad 18 mln widzów. Prace nad kolejnym sezonem miały zacząć się właśnie 29 maja.

Samo w sobie wydarzenie to nie byłoby jeszcze może aż tak zaskakujące. W ostatnim czasie, na fali ruchu #metoo, wymierzonego w zjawisko molestowania, społeczeństwo – przynajmniej w USA – przywykło chyba do szybkich końców wielkich karier. Roseanne Barr nie jest pierwszą osobą, która traci pracę przez rasistowskie wybryki.

A jednak jest to sprawa niezwyczajna.

### Produkt swoich czasów

Serial „Roseanne" trafił do Polski w latach 90. XX w. i zyskał tu fanów. Jednak w USA był on autentycznym fenomenem. Jego niebywała popularność polegała na tym, że – aby pożyczyć frazę z „Misia" Barei – był prawdą ekranu o swoich czasach.

Był to pierwszy *sitcom*, który opowiadał o losach klasy pracującej ze Środko-

wego Zachodu (w USA *working class* oznacza nie tylko pracowników ciężkiego przemysłu, lecz także pracowników sektora usług czy wykwalifikowanych pracowników fizycznych). A więc produkt czasów, w których sytuacja klasy pracującej w niczym nie przypominała już tłustych lat fordyzmu (o nich opowiadali np. animowani „Flinstonowie": operator brontokoparki Fred sam utrzymywał rodzinę i mógł sobie pozwolić na dom i auto).

Do upadku tego regionu przyczyniły się deindustrializacja, niszczenie związków zawodowych (głównie za prezydentury Ronalda Reagana, republikanina), a gwóźdź do trumny wbił w latach 90. Bill Clinton (prezydent demokrata) i wprowadzone przezeń zmiany w systemie zabezpieczeń społecznych oraz deregulacja rynków finansowych, które pozwoliły Wall Street wyssać resztki bogactwa wyprodukowanego na Środkowym Zachodzie za czasów fordyzmu.

Gospodarka tego regionu upadała. Stabilne zatrudnienie w przemyśle zastępowały mniej stabilne prace w sektorze usług. Nowe zakłady nie były w stanie oferować podobnych pakietów dodatkowych, w tym kluczowych w USA ubezpieczeń zdrowotnych. W efekcie koszty życia rosły, ale płace za tym nie nadążały. Kompensowano to ułatwieniami w dostępie do kredytów (co miało się zemścić). Powszechnym doświadczeniem, w którym mogli się odnaleźć ludzie ze Środkowego Zachodu, nie były już społeczny awans i stabilizacja, lecz rosnąca niepewność.

### Straszne słowo „foreclosure"

Serial traktuje o perypetiach rodziny Connerów ze stanu Illinois. Poznajemy ich, gdy tytułowa Roseanne pracuje w fabryce plastiku, a grany przez Johna Goodmana jej mąż Dan jest budowlańcem na samozatrudnieniu.

Dan i Roseanne to typowi przedstawiciele klasy pracującej z Pasa Rdzy (jak nazywa się ten region). On w jeansach lub spodniach khaki i kraciastej flanelowej koszuli, otwierający piwo po powrocie do domu. Ona wiecznie żująca gumę, w jeansach i za dużej bluzie, wyprawiająca rano dzieci do szkoły, a po pracy gotująca kolację. Oboje są lekko złośliwymi (ona przy tym pyskata), lecz sympatycznymi, w głębi duszy dobrymi i dającymi się lubić grubasami z trójką dzieci.

Już w pierwszym odcinku dowiadujemy się, że Dan ma problemy z pracą. Gdy pod koniec pierwszego sezonu nowy menadżer fabryki – zwracający się do pracownic per „złotko" seksista, czerpiący przyjemność z upokarzania podwładnych – ustanawia niewykonalne normy, pracująca w tej samej fabryce siostra Roseanne, Jackie, z żalem wspomina ich dawne marzenia, z których żadne się nie spełniło. „Jakim cudem 20 lat później siedzimy w takiej spelunie i zastanawiamy się, jak utrzymać robotę, której nienawidzimy, za 8 dolarów za godzinę, z czego i tak nie da się wyżyć, a mimo to harujemy, żeby wyrobić normę, której wyrobić się nie da, bo inaczej nas wywalą?" – pyta rozżalona Jackie.

Connerowie bez przerwy mają kłopoty finansowe. Gdy Dan namawia sfrustrowaną Roseanne, by odeszła z fabryki, ona przypomina, że stracą wtedy nie tylko jej zarobki (istotne wobec niepewnego zatrudnienia męża), ale też ubezpieczenie zdrowotne i prawo do zasiłku dla bezrobotnych. Ich fundusz na opłacenie college'u jednej z córek świeci pustkami, a syn wygrywa konkurs ortograficzny, gdyż potrafi przeliterować – zbyt dobrze znane mu, jak na młody wiek – słowo „*foreclosure*". Oznacza ono zajęcie domu przez bank na skutek niespłacania rat.

### Rodzina z Pasa Rdzy

Serial dotykał też przemian kulturowych, których doświadczała klasa pracująca (głównie biała) mieszkająca na Środkowym Zachodzie. Roseanne musi pogodzić się z faktem, że jej córka chce zacząć współżycie seksualne ze swoim chłopakiem, i prosi ją o pomoc w zdobyciu tabletek antykoncepcyjnych. Gdy z kolei Nancy, przyjaciółka głównej bohaterki, mówi, że jest lesbijką, Roseanne i Jackie nerwowo śmieją się, biorąc to za dowcip. Kiedy okazuje się, że Nancy nie żartuje, Roseanne, by wybrnąć z krępującej sytuacji, z zawadiackim uśmiechem nastolatki pyta: „I co? Robiłyście już to?". W innym odcinku Connerowie dowiadują się, że syn nie chce pocałować dziewczynki w szkolnym przedstawieniu, bo jest czarna. Dan przyznaje – przed samym sobą i przed synem – że nieświadomie mógł mu przekazać rasowe stereotypy.

Rodzina Connerów – ze swym podziałem ról domowych i uprzedzeniami, które muszą przepracowywać – może wydać się tradycyjna, ale z pewnością nie jest konserwatywna. Nie darzy ciepłymi uczuciami ↦

JEFF SWENSEN / GETTY IMAGES

*Wiec wyborczy Donalda Trumpa w Erie, położonym w tzw. Pasie Rdzy. Pensylwania, sierpień 2016 r.*

↦ przedsiębiorców czy polityków, którzy tym pierwszym rozdają zwolnienia podatkowe.

I choć, jak to w sitcomie, nawet problemy finansowe czy wynikające z uprzedzeń momenty zakłopotania kwitowane są żartami lub śmiechem „z puszki", to właśnie dzięki nim mieszkańcy Pasa Rdzy, do których serial był kierowany, mogli się w nim odnaleźć. Wraz z bohaterką Roseanne mogli te problemy przeżywać i poprzez serial przepracowywać swoje doświadczenie nieziszczonego amerykańskiego snu.

### „Cześć, żałośnico!"

Polityki długo tu nie było. Ale w reaktywowanym po niemal 21 latach serialu nie dało się od niej uciec – i to nie tylko dlatego, że po wygranej Trumpa stacja ABC zdecydowała się zwrócić do grupy społecznej, którą wcześniej spisano na straty (gospodarczo, kulturowo i politycznie). Tajemnica sukcesu Trumpa tkwi bowiem w poparciu biednych wyborców ze Środkowego Zachodu, wcześniej naturalnego elektoratu Partii Demokratycznej. Choć w 2016 r. w całym stanie Illinois wygrała Hillary Clinton, stało się tak tylko dzięki głosom Chicago – bo południowa część tego stanu, gdzie toczy się akcja serialu, masowo poparła Trumpa.

Popularność obecnego prezydenta na Środkowym Zachodzie ma źródła w tych samych procesach, które tworzyły społeczno-gospodarcze tło dla wcześniejszych sezonów „Roseanne". Tymczasem w ciągu 20 lat nieobecności serialu na ekranie doszły kolejne problemy – skutki kryzysu, który zaczął się w 2008 r.: bankructwa firm i wzrost bezrobocia, prywatne upadłości i eksmisje, cięcia wydatków na usługi publiczne. O ile Nowy Jork odbił się szybko (dziś ceny nieruchomości i premie bankierów są wyższe niż przed 2008 r., także dzięki pomocy publicznej), to Środkowy Zachód wciąż się podnosi. W swej wizji upadku Stanów Trump odwołał się właśnie do tego, czego jego mieszkańcy doświadczają od dawna, a o czym milczały elity obu głównych partii.

W dziesiątym sezonie – pierwszym po reaktywacji serialu – Connerowie, starsi o 20 lat, nadal mają trudności finansowe. Roseanne i Dan są na emeryturze, ich ubezpieczenie nie pokrywa koniecznych leków. Ona ma depresję, on spędza godziny w garażu, pijąc podłe piwo. Dorosłe córki mają problemy ze znalezieniem i utrzymaniem sensownej pracy, a syn żołnierz właśnie wrócił z wojny w Syrii.

Choć nazwiska Trumpa i Clinton nie padają ani razu, wiadomo, kto kogo popiera. Jackie przychodzi do Roseanne w koszulce z napisem „Paskudna kobieta" (tak Trump nazwał kiedyś Clinton), krzycząc „Cześć, żałośnico!" (mianem „bandy żałośników" Clinton określiła sympatyków Trumpa). A podczas modlitwy przed jedzeniem Roseanne dziękuje Bogu za uczynienie Ameryki znowu wielką (aluzja do hasła Trumpa).

### Problemy nie zniknęły

Taki serial mógłby – gdyby go kontynuowano – służyć jako społeczny wentyl bezpieczeństwa. W lekki i zdystansowany sposób mógłby opowiadać dalej historię rodziny, w której spór polityczny toczy się przy rodzinnej kolacji. Dzięki zabawnym, choć nie prześmiewczym żartom z politycznego zacietrzewienia Jackie i jej siostry *sitcom* mógł stać się wspólną płaszczyzną dla zwolenników i przeciwników Trumpa – bez udawania, że różnice da się przemilczeć, a Amerykanów ponad nimi zjednoczyć.

W dobie największej od stulecia polaryzacji – objawiającej się wzajemną niechęcią godną fanatyków drużyn piłkarskich – taka płaszczyzna, dzięki której obie strony wspólnie śmieją się z tego, jak się nie zgadzają, mogłaby być nie do przecenienia. Serial mógł też pozwolić na to, by Amerykanie stanęli twarzą w twarz z losami mieszkańców Pasa Rdzy. Wybory w 2016 r. pokazały, że potraktowanie ich jako koniecznych ofiar przemian było kosztownym błędem. Mógł, ale Roseanne Barr jednym tweetem doprowadziła do zdjęcia go z anteny. Gratulacje, jakie ABC otrzymała po tej decyzji, pozwalają sądzić, że serial nie wróci do ramówki.

Tymczasem, jak zauważyła jedna z komentatorek, choć serial zniknął, to nie zniknęły problemy, które go zrodziły. Dochodzą słuchy, że ABC szuka sposobu, by produkować coś podobnego i znów przyciągnąć widzów ze Środkowego Zachodu. Istotnym pytaniem jest to, czy substytut „Roseanne" odegra taką samą rolę jak serial z Barr – czy będzie już tylko mało ambitną rozrywką przy niezbyt inteligentnych dowcipach. © JAN SMOLEŃSKI

TP

Już w następnym wydaniu drugi Magazyn Conrad

CONRAD FESTIVAL

a w nim PROGRAM
oraz GOŚCIE tegorocznej edycji!

**weź, czytaj i przyjdź!**

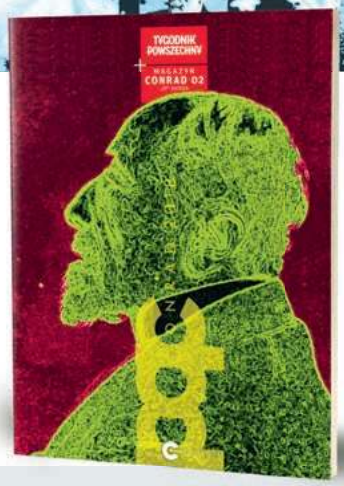

ANDRZEJ

# Stasiuk:
## *Psi posłaniec*

Siedzę na werandzie i patrzę, jak pada deszcz. Czasem ustaje i przez chmury prześwieca błękit. Na tle jasnej zieleni czasem błyśnie żółty płomyk. To wilga polatuje wśród drzew. Jest ostrożna i trudno ją zobaczyć. Ale słychać ją całe dnie. Jej głos na tle ptasiego harmidru, ćwierku i skwiru brzmi jak melodia, która ma koić smutek i sprowadzać uśmiech.

No więc siedzę sobie, patrzę, jak chmury płyną nad Uhercem, i zastanawiam się, skąd przychodzą psy i dokąd odchodzą. Zjawiają się niby przypadkiem, a potem ich istnienie splata się z naszym życiem tak mocno, że nie jesteśmy w stanie odróżnić ich samych od naszych uczuć. Wchodzimy w psią skórę, a one wślizgują się w naszą? Czujemy się jak zdrajcy, ponieważ wiemy, że nigdy nie będziemy w stanie odwzajemnić ich wierności, przywiązania i miłości? Dlatego w myślach je uczłowieczamy? Deszcz rzeczywiście ustał. Z chmur nad Uhercem prześwieca słońce i zrobiło się cieplej. Chaotyczny ptasi chór miesza się teraz z brzęczeniem owadów. Proszę: trzy stopnie więcej i już następuje wskrzeszenie entomologicznego wszechświata, wcześniej w tym względzie panowała wręcz grobowa cisza. Tak więc siedzę i rozważam filozoficznie, skąd na przykład przyszedł Mużin.

Zobaczyłem go w światłach auta, późnym wieczorem na leśnej drodze. Ledwo trzymał się na nogach. Leżał śnieg i był mróz. Wysiadłem i poszedłem mu naprzeciw. Kucnąłem, a on trącił mnie w dłoń zimnym nosem. Był czarny i wychudzony. Wyszedł z ciemności. Zupełnie jak Murzyn dwadzieścia parę lat temu we śnie. Był tylko młodszy i na pierwszy rzut oka chyba rasowy. „Dokąd idziesz?" – zapytałem. „Nie wiem. Naprawdę nie wiem" – odpowiedziały jego oczy. Poszedł za mną do auta. Otworzyłem tylne drzwi. Próbował wskoczyć, ale nie miał sił i musiałem mu pomóc. Zasnął natychmiast i spał w cieple jeszcze przez dwie godziny, zanim nie załatwiłem swoich spraw, zastanawiając się jednocześnie, skąd przyszedł. Dosłownie i w przenośni.

Tej pierwszej kwestii nie dało się ustalić, chociaż próbowaliśmy na wszystkie sposoby, powoli jednak przyzwyczajając się do myśli, że z nami zostanie. Pewnego razu stanął przy furtce starszy mężczyzna. Był smutny, miał opadający wąs, okulary i zieloną kamizelkę z kieszeniami. „Zginął mi pies – powiedział. – Poszedł na polowaniu. Nie widział pan?". Serce mi zamarło, bo Mużin zrobił się już nasz. Miał swoją miskę, swoje miejsce na fotelu, zaprzyjaźnił się z Cujką na zabój. Pozostawione na chwilę same potrafiły w zabawie obrócić dom w perzynę, bo cóż to jest na przykład ściągnąć narzutę z kanapy i rozerwać ją na dwoje? Dla tak dobranej pary to jest nic. „Znalazłem niedawno jednego" – powiedziałem półgębkiem. Mężczyzna ożywił się i nawet wąs mu się nieco uniósł. Gwizdnąłem i zza domu wypadły dwa diablęta: rude i czarne. Twarz znowu mu posmutniała i pokręcił głową. „Nie – powiedział. – Mój był taki trochę pomiędzy". Popatrzył mi w oczy zza grubych szkieł i powiedział: „Bo pan wie, jak to jest, gdy pies zginie...". Rozłożyłem bezradnie ręce, a on odwrócił się i trochę zgarbiony poszedł w stronę starej terenówki.

No i to był chyba znak, że Mużin ostatecznie zostaje. Wyobrażałem sobie, że jest wcieleniem tamtego sprzed lat. Że został posłany jako znak z psich zaświatów. Chociaż wcale nie przypominał tego, który go posłał. Owszem, był czarny. Poza tym jednak rasowy. Gończy słowacki. Jedyna rasa, którą jak na razie udało się Słowakom wyhodować. Łeb ma trochę za duży, ogon trochę za długi, jedno i drugie jakby mu ciążyło, dlatego profil jego postaci ma nieco falisty, wężowy zarys. Przytył, zadomowił się i najchętniej leży na kanapie. W dodatku dobrze wychowany, bo potrafił i „łapa", i „siad". Najchętniej by nas nie opuszczał nawet na chwilę. Nawet gdy wyjdzie za furtkę, to tylko trochę się pokręci i zaraz wraca. Ledwo uszedł z życiem przed obcym i wielkim światem, więc jest ostrożny. Podchodzi, kładzie głowę na kolanie i czeka na dotyk. Mógłby tak spędzać całe godziny. Czeka tylko na znak, na spojrzenie, by się zbliżyć.

Na posłaniu, które ma na werandzie, leży owcza skóra i stara wełniana narzuta. Nawet w ciepłe dni wczołguje się pod nią i śpi przykryty z głową jak dziecko, które boi się ciemności. Cujka nigdy na to nie wpadła, chociaż pomysłów ma dość. Ale on – widać – nie może zapomnieć mrozu i mroku, przez które brnął najpewniej ku śmierci. Tak. Myślę sobie, że tamten Murzyn go posłał, żeby stanął na mojej drodze. Ledwo żywy, w światłach auta, jak zjawa. Po co? Żeby mi dać szansę na dobry uczynek? Ale czy psy w ogóle wiedzą, co to są dobre albo złe uczynki? Nie mam pojęcia. Może po to, by dać znak, że psy nigdy nie odchodzą na zawsze, że nawet gdy już ich nie ma, to ich duchy wciąż strzegą swoich panów.

Dlatego chcę mieć je obok. Niedaleko domu rośnie dzika grusza. Już nie owocuje, ale każdej wiosny kwitnie na biało. Tam leżą. Grzanka, która umarła ze starości. Sybir, który umarł na nerki. Bidul, który zginął w walce. Teraz jest pogodny poranek i srebrzy się rosa. Wilga i kukułka odzywają się nad ich grobami. ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze,** I Wydziale Cywilnym, toczy się postępowanie pod sygn. akt I Ns 226/17 z wniosku Tomasza Ciski, przy udziale Danuty Nawrot, Marka Nawrota, Grzegorza Nawrota, Małgorzaty Nawrot, Katarzyny Płaczek, o stwierdzenie nabycia spadku po Jacku Boczula, s. Andrzeja i Danuty, zm. 19 lutego 2014 r. w Jaworze i ostatnio stale zamieszkałym w Bolkowie.

Wzywa się spadkobierców po Jacku Boczula, s. Andrzeju i Danuty, zm. 19 lutego 2014 r. w Jaworze i ostatnio stale zamieszkałym w Bolkowie, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze, I Wydziału Cywilnego, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

*Venancio Ramos z reprezentacji Urugwaju po finałowym meczu na Mundialito. Montevideo, 10 stycznia 1981 r.*

# MUNDIALITO

Prawie 40 lat temu Urugwaj, rządzony przez dyktaturę, zdobył nieformalny tytuł piłkarskiego mistrza świata. Teraz nawet FIFA nie chce o tym pamiętać. Oto historia z uniwersalną puentą.

SZYMON OPRYSZEK Z MONTEVIDEO

Był koniec roku 1980, gdy Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej (FIFA) – „właściciel" futbolowych mistrzostw świata – zorganizowała w Urugwaju niezwykłe rozgrywki: turniej mistrzów.

Przyjechały drużyny, które na mundialach zdobywały złoty puchar (zrezygnowała tylko Anglia), a także drużyna Holandii (wówczas dwukrotny srebrny medalista). Na słynnym Estadio Centenario w stołecznym Montevideo rywalizowało wielu słynnych piłkarzy: Argentyńczycy Diego Maradona, Daniel Passarella i Mario Kempes, Włosi Carlo Ancelotti, Claudio Gentile i Gaetano Scirea, a także Brazylijczyk Sókrates czy Niemiec Karl-

IMAGO / EAST NEWS

Heinz Rummenigge. Futbolowi bogowie tamtych czasów. Zawody transmitowała włoska telewizja, należąca do Silvia Berlusconiego (magnata medialnego, który w latach 90. wejdzie do włoskiej polityki).

Dziś w internetowych archiwach FIFA oraz Urugwajskiego Związku Piłki Nożnej nie ma nawet wzmianki o tym turnieju. Gole, które wtedy padły, rzadko są wspominane. Gdyby zapytać kogoś w Montevideo o tamten sukces Urugwaju – bo turniej wygrała drużyna gospodarzy – zapada kłopotliwe milczenie. Właściwie dlaczego?

Oto historia o dwuznacznych związkach między polityką, biznesem i futbolem. Warto ją przypomnieć przed mundialem w Rosji.

### Rodzinne tabu

Kilka lat temu dwaj scenarzyści, Sebastián Bednarik i Andrés Varela, postanowili nakręcić film dokumentalny o „Mundialito", jak nazwano ten turniej.

– Kiedy rozgrywano zawody, mieliśmy po pięć lat. Dziś wszyscy w Urugwaju wiedzą, że był taki turniej, ale nikt nigdy do niego nie wraca. To jak rodzinne tabu, o którym nie mówi się przy wspólnym stole – opowiada dziś Varela.

Filmowcy postanowili wrócić do demonów przeszłości: do przełomu lat 70. i 80. XX w., gdy rządy w Urugwaju przejęła wojskowa dyktatura. Na prezydenta mianowano Aparicia Méndeza, parlament rozwiązano, zawieszono prawa obywatelskie, zakazano lewicowych partii.

O urugwajskiej juncie nie mówiło się zbyt wiele – ani wtedy, ani potem. Statystyki jej ofiar – zabitych, zaginionych bez wieści, wsadzonych do więzienia – były mniejsze niż w innych krajach Ameryki Łacińskiej. Bardziej przemawiała do wyobraźni skala tego, co działo się w Argentynie lub Chile.

Z Urugwaju emigrowało wtedy, z obawy przed represjami, zaledwie (jak na warunki latynoskie) 300-400 tys. ludzi. Tyle tylko, że było to aż 10 proc. obywateli!

### Referendum legalizacyjne

Historia Urugwaju pokazuje, że piłka jest poręcznym narzędziem do promowania idei nacjonalizmu. W tym kraju imigrantów, którzy przyjechali za chlebem do Ameryki Południowej, połączyła ona klasy, języki, kultury.

Dlatego junta postanowiła wykorzystać sprawdzone metody z czasów złotej ery urugwajskiego futbolu, gdy starcia z Argentyną i Brazylią budowały narodową opowieść o wspólnym wrogu. Stąd pomysł na Mundialito.

Była jeszcze jedna okoliczność: na miesiąc przed Mundialito rozpisano – po naciskach USA – krajowe referendum.

Jego oficjalnym celem było zastąpienie konstytucji z 1967 r. nową ustawą zasadniczą. W istocie jednak referendum miało być narzędziem, które pozwoliłoby juncie zalegalizować niedemokratyczne rządy. Proponowano m.in. reformę konstytucji, która polegałaby na stworzeniu jednej partii, złożonej z polityków i przedstawicieli sił zbrojnych, którzy wybraliby kandydata na prezydenta.

Celem była więc „legalna" władza autorytarna.

Idący do urn obywatele mieli otrzymywać dwie karty do głosowania: jasnobłękitną (odpowiedź na „tak") i żółtą (odpowiedź na „nie").

### Piłka jak różdżka

Kluczem do tej historii jest zrozumienie specyfiki Urugwaju.

Kraj ten zajmuje powierzchnię równą połowie Polski, ale mieszka w nim niewiele więcej ludzi niż w województwie dolnośląskim: tylko 3,5 mln. Wciśnięty jest między dwóch gigantów (także piłkarskich): Argentynę i Brazylię.

Eduardo Galeano, słynny urugwajski pisarz i zarazem filozof futbolu (niech będzie wolno go tak określić), pisał o swojej ojczyźnie, że „piłka jest tutaj jedyną różdżką, w którą wierzą dzieci". Istotnie to fenomen: w kraju, w którym na jednego mieszkańca przypadają trzy krowy, „hoduje" się też pokolenia gwiazd światowego formatu. Z ostatniego rozdania wspomnieć można choćby o Luisie Suárezie, Diego Godínie czy Edinsonie Cavanim.

„Inne państwa mają historię, Urugwaj ma piłkę" – to z kolei zdanie przypisywane jest trenerowi Ondino Vierze i powtarzane jak mantra. Piłka i polityka przenikają się tu intensywniej niż gdzie indziej.

Wystarczy spojrzeć na listę prezesów Urugwajskiej Federacji Piłkarskiej, a zobaczymy, jak wielu przedstawicieli dwóch kluczowych partii politycznych w XX stuleciu – Białych i Kolorowych – zasiadało na tym prestiżowym fotelu.

Aktualny prezydent kraju, 78-letni dziś Tabaré Vázquez (z wykształcenia onkolog), też był przymierzany do roli prezesa rodzimej federacji, gdy kierował stołecznym klubem Progreso.

### Złota era

Wprawdzie piłkę do Urugwaju przywieźli Brytyjczycy, ale w kraju imigrantów nadano jej nowy szlif. To Urugwajczycy pierwsi zachwycili świat stylem gry zwanym pressingiem (polega na stałym naciskaniu na graczy przeciwnika), gdy na początku XX w. drużyna Urugwaju dwukrotnie wygrała Igrzyska Olimpijskie (rok 1924 i 1928). Wtedy do słowników weszło określenie „rundy olimpijskiej", którą wykonali zwycięzcy. Do dziś Urugwaj traktuje ją jako swój wynalazek.

W złotej erze tutejszego futbolu, tj. przed wybuchem II wojny światowej, krajowa reprezentacja zagrała w 11 finałach mistrzostw Ameryki Południowej ↦

SVEN SIMON / IMAGO / EAST NEWS

*Bramkarz Rodolfo Rodriguez z Urugwaju już z pucharem. Montevideo, 10 stycznia 1981 r.*

↦ (to odpowiednik dzisiejszej Copa America). Dziewięciokrotnie rywalem była Argentyna, niewygodny sąsiad, hegemon z drugiego brzegu rzeki La Plata – te mecze miały wymiar ściśle polityczny. Z kolei w 1930 r. Urugwaj był nie tylko gospodarzem pierwszego światowego mundialu, ale w nim zatriumfował.

20 lat później w finale mundialu doszło do „Maracanazo" (brazylijskiej katastrofy): Urugwajczycy pokonali faworyzowanych Brazylijczyków – i to na „wrogim" stadionie w Rio de Janeiro. Dla Brazylii była to rzeczywiście prawdziwa katastrofa.

Tym bardziej, że gospodarze byli pewni zwycięstwa. Słynną Maracanę ozdobił napis „Hołd dla mistrzów świata", trybuny wypełniło 200 tys. widzów (do dziś światowy rekord), a Rio było przystrojone jak na karnawał. Koszulki z napisem „Brazylia – mistrz świata 1950" sprzedały się na pniu, zeszło ponad pół miliona sztuk. W gotowości była nawet orkiestra: miała odegrać marsz triumfalny „Brazylia mistrzem". Na przekór temu Urugwaj pokonał gospodarzy – i po raz drugi (także ostatni) wygrał mundial.

Dziś dzieci w szkole podstawowej na lekcjach patriotyzmu szybciej dowiadują się o triumfie w Rio niż o wygranych bitwach i romantycznych bohaterach z czasów walk o niepodległość spod hiszpańskiej dominacji. Tożsamość Urugwajczyków kształtowała się bowiem na stadionach, a zwieńczeniem mitu był właśnie mecz z 1950 r.

Stąd 30 lat później tak ważny symboliczny wymiar Mundialito.

### Brudne pieniądze

Turniej ten, nazwany wówczas przez FIFA „Małym Pucharem Świata", zorganizowano nie tylko 30 lat po Rio, ale też 50 lat po pierwszym światowym mundialu. Miał nawiązywać do tamtych dni chwały.

Co ciekawe, pomysł nie wyszedł od junty, lecz od biznesmenów powiązanych z Urugwajską Federacją Piłkarską.

– Główna różnica między Mundialito a mundialem z 1978 r. w Argentynie była taka, że junta argentyńska sama wymyśliła propagandową ideologię i cała organizacja była w jej rękach. Natomiast w Urugwaju to ludzie biznesu przekonali wojsko, że warto zrobić taki turniej. Bez pieniędzy nie ma rządów. Dlatego kluczem w tej historii są powiązania między brudnym biznesem, brudną polityką i brudnymi machlojkami FIFA – opowiada miejscowy historyk, zastrzegając sobie anonimowość.

Główną rolę odgrywał nieżyjący już grecki przedsiębiorca Ángelo Voulgaris (po latach skazany za związki z narkobiznesem). W Urugwaju prowadził kilka interesów, także o wątpliwej legalności. We wspomnianym dokumencie filmowym Voulgaris opowiadał np. o tym, jak za pół miliona dolarów ściągnął do Urugwaju sprzęt do transmisji w kolorze. Bo wraz z Mundialito nastał w Urugwaju czas kolorowej telewizji.

– Początkowo wojsko nie było zainteresowane, obawiano się obecności zagranicznych dziennikarzy – mówi historyk Eduardo Caetano. – Ale potem zrozumieli, jak wiele korzyści może dać turniej. Także tych wizerunkowych na świecie.

Gdy Voulgaris zaczął mieć problemy z inwestorami z USA, wraz z delegacją Urugwaju udał się do Berlusconiego. Ten kupił prawa do transmisji w Europie i dołożył się do organizacji rozgrywek. To był jego pierwszy zakup praw sportowych w Ameryce Łacińskiej i początek wielkiego imperium telewizyjnego (w internecie można dziś zobaczyć nagrania z ceremonii otwarcia imprezy czy finału).

Ważna była też rola FIFA. W filmie „Mundialito" były wieloletni przewodniczący FIFA João Havelange deklamuje przed kamerą: „Nie uprawiam polityki, tylko sport. Muszę szanować rządy, z którymi współpracuję, bez względu na to, czy są dobre, czy złe. Futbol we wszystkich krajach jest szanowany i pożądany, a ja zajmuję się futbolem".

W przemówieniu na rozpoczęcie turnieju Havelange zwrócił się do urugwaj-

skich oficjeli określeniem „Dobrzy ludzie” (zmarł w 2016 r., oskarżany o wielokrotne branie łapówek m.in. od piłkarskiej federacji brazylijskiej).

### Żółta kartka

Filmowiec Varela: – Ekshumowaliśmy trudny temat. I okazało się, że nikt nie chce być kojarzony z juntą. A przecież przez lata ci ludzie, także z FIFA, organizowali imprezy międzynarodowe, robili biznesy w futbolu i zarabiali dużo pieniędzy. Wtedy, w 1980 r., przygotowali scenę dla władzy, która chciała propagandowego święta i legitymizacji dla swych autorytarnych działań.

Jednak zanim ruszył turniej, obywatele mieli poznać wyniki referendum.

Wcześniej reżim był pewien wygranej w tym *quasi*-plebiscycie, ze względu na bardzo optymistyczne (dla niego) sondaże. Dlatego pozwolił nawet, aby liczenie głosów odbywało się jawnie, przed kamerami – pewna sukcesu junta chciała uniknąć oskarżeń o jakiekolwiek oszustwa. Tymczasem, ku zdziwieniu rządzących, 57,2 proc. obywateli zagłosowało na „nie”. W futbolowym żargonie: pokazali władzy żółtą kartkę.

Po opublikowaniu tego wyniku zupełnie innego kontekstu nabrały słowa oficjalnego hymnu Mundialito (w pierwszym wierszu nawiązującego do flagi państwowej): „Pod jednym słońcem i dziewięcioma paskami / Nasza ojczyzna będzie wspaniałym domem / Z Pucharem Świata Dajemy skarb Przyjaźni, pokoju i wolności”.

Historyk Caetano: – To był jedyny przypadek na świecie, gdzie rząd zaproponował taki plebiscyt i go przegrał. Po sondażach rządzący byli tak pewni zwycięstwa, że nie zaplanowali oszustwa. Ich przeciwnicy nie mogli uwierzyć, że wojsko nie sfałszowało wyników. Musieli spalić przygotowane już ulotki i plakaty, które potępiały oszustwo.

**Turniej piłkarski,** który miał być celebracją rządów junty, stał się buntowniczym krzykiem wolności i zbiorowym katharsis.

W nocy, która nastąpiła po dniu ogłoszenia wyników, nie wolno było świętować na ulicach. Wielu ludzi wyjechało więc w cichym proteście autami i uruchomiło wycieraczki, choć nie było deszczu.

Ale też nie było co świętować. Ówczesny partyzant i więzień junty, a potem prezydent José Mujica wspominał potem, że właśnie wtedy, w 1980 r., morale obywateli gwałtownie spadło. Mimo takiego wyniku referendum nie było widać szans na zniesienie autorytarnej władzy. Na porządku dziennym były aresztowania, kto mógł, uciekał z kraju.

Tuż po przegranym przez juntę głosowaniu zaczęły się bowiem najgorsze represje. Zakazano masowych zgromadzeń, a wszelkie imprezy, jak np. mecze lokalnych lig, były autoryzowane przez wojsko.

Władza wciąż wierzyła, że Mundialito uratuje jej twarz w świecie.

### Zbiorowe katharsis

Zaczął się turniej. Urugwaj gładko wyszedł z grupy – zwyciężył 2:0 w meczach z Holandią, a potem z Włochami – i wszedł do finału. Historyk futbolu Luis Prats: – Te zwycięstwa były uczciwe, niewypaczone przez arbitrów. Ale należy pamiętać, że nasi piłkarze przez trzy miesiące przygotowywali się do turnieju, podczas gdy ich rywale byli w trakcie sezonu piłkarskiego.

Kiedy w finale reprezentacja gospodarzy pokonała 2:1 Brazylię (takim samym stosunkiem bramek jak 30 lat wcześniej na Maracanie), na trybunach zawrzało. Po ostatnim gwizdku kibice wręcz ryczeli: „Nie, nie, nie!”. Tłum zgromadzony pod stadionem krzyczał: „Tak się kończy, tak się kończy dyktatura!” .

Potem ulicami Montevideo ruszył pochód, który stał się pierwszym wielkim publicznym aktem przeciw dyktaturze. Międzynarodowa prasa relacjonowała go szerzej niż futbolowy triumf gospodarzy.

– To było katharsis dla Urugwaju – zamyśla się filmowiec Varela. – Jak mówił jeden z bohaterów naszego filmu: każdy Urugwajczyk uwierzył, że należy nam się Puchar Świata za powiedzenie „nie” dyktaturze.

W następnych latach zwolniono więźniów i przywrócono swobody obywatelskie. Ostatecznie upadek reżimu przypieczętowały w 1985 r. wolne wybory prezydenckie.

W ten sposób Mundialito, które miało być celebracją junty i jej władzy, stało się buntowniczym krzykiem niosącym kres tyranii. Krzykiem wolności.

© SZYMON OPRYSZEK

**SZYMON OPRYSZEK** *pracuje jako reporter w Ameryce Południowej. Jesienią br. ukaże się książka autorstwa jego i Marii Hawranek pt. „Wyhoduj sobie wolność”, opowiadająca o Urugwaju, który dzięki odważnym reformom stał się udanym eksperymentem społecznym.*

TP

**W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK**

poświęcony Festiwalowi Kultury Żydowskiej w Krakowie

Tematem przewodnim Festiwalu będzie w tym roku Syjon – rozumiany jako sposób zakorzeniania się w świecie i budowania lokalnej wspólnoty.

- Dyrektor Festiwalu Janusz Makuch opowiada o tegorocznej edycji i o jego dorobku.
- Rozmowa z prof. Michałem Galasem poświęcona jest historii polskiego syjonizmu.
- Edwin Seroussi i Kajetana Prochyra piszą o muzyce żydowskiej tworzonej w Izraelu i poza nim.
- Marcin Wicha opowiada o niezakorzenieniu jako podstawowym doświadczeniu nowoczesności.

Zapraszamy do lektury dodatku i na Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie (22.06–01.07.2018)!

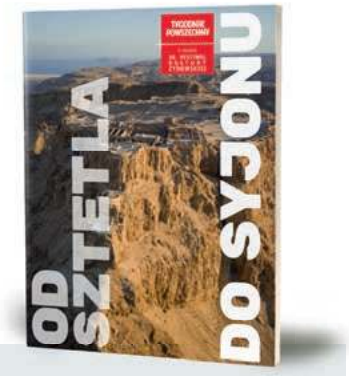

*Instalacja Roberta Indiany „Od jednego do zera" w londyńskim City, centrum finansowym miasta, 2013 r.*

# A JAKA JEST TWOJA LICZBA ERDŐSA?

W kwietniu 2004 roku naukowiec William Tozier sprzedał pewną liczbę na eBayu za 1031 dolarów. Konkretnie była to liczba pięć.

ŁUKASZ LAMŻA

Matematycy kochają liczby. Cóż, z tego żyją. Kiedy jednak pojawi się liczba opisująca ich samych jako naukowców; ba, liczba informująca o prestiżu i sławie; liczba, która dzieli uczonych na lepszych i gorszych... Dopiero wtedy matematycy naprawdę wariują.

### Ekscentryk i jego liczba

Wszystko zaczęło się od Węgra Paula Erdősa (wym. „Erdysz"; 1913-96). Należał on do najbardziej produktywnych matematyków XX w. Był ekscentrykiem; pośród wielu dziwactw szczególnie słynął z nomadycznego trybu życia. Wszystko, co posiadał, mieścił w jednej walizce, z którą stawał w drzwiach coraz to nowych przyjaciół i współpracowników ze słowami „Mój mózg jest otwarty!", po czym mieszkał u nich parę dni, pijąc absurdalne ilości kawy, dyskutując o matematyce i opracowując twierdzenia oraz ich dowody. Gdy

RICHARD BAKER / GETTY IMAGES

już wyprał wszystkie swoje ciuchy i spisał wszystkie uzyskane wyniki, przenosił się dalej. Skutkiem kilku dekad takiego stylu pracy było opublikowanie ponad 1500 artykułów naukowych – co stanowi niepobity do dziś rekord w historii tej dyscypliny – których współautorami było łącznie 511 różnych matematyków.

W 1969 r. matematyk Casper Goffman opublikował artykuł zatytułowany „A jaka jest twoja liczba Erdősa?". Opisał w nim sieć relacji ekscentrycznego uczonego – już wtedy rozpoznawalnego na całym świecie – definiując liczbę Erdősa, będącą nieformalnie długością łańcucha współpracowników prowadzących od danego uczonego do Erdősa. Sam węgierski matematyk ma tę liczbę równą zero. Każda z 511 osób, które za jego życia opublikowały wspólnie z nim artykuł, może poszczycić się liczbą Erdősa równą jeden – i ta lista jest już zamknięta. Ktoś, kto nie należy do tego grona, za to opublikował tekst naukowy wspólnie z członkiem prestiżowej pięćsetki, ma liczbę Erdősa równą dwa (w lipcu 2015 r. było 11 009 takich osób). I tak dalej. Naukowcy, którzy nigdy nie współpracowali ani z Erdősem, ani z jego współpracownikami, ani ze współpracownikami jego współpracowników (i tak dalej), mają nieoznaczoną liczbę Erdősa (lub, jak chcieliby inni, nieskończoną).

### Kup pan piątkę

Coś, co zaczęło się jako niewinny żart, z czasem okryło się patyną powagi. Amerykańskie Towarzystwo Matematyczne oferuje dziś na swojej stronie kalkulator liczby Erdősa, która w światku matematyków ma już prestiż porównywalny do standardowej miary dorobku naukowego, jakim jest indeks Hirscha (zob. kolejny artykuł Piotra Wasylczyka). Niektórzy naukowcy umieszczają „swoją liczbę" w CV. To właśnie w tej atmosferze William Tozier, matematyk zajmujący się sieciami społecznymi, postanowił „sprzedać" na eBayu coś bardzo szczególnego: okazję na szybki awans do grona szanowanych matematyków. Ponieważ on sam jest dumnym posiadaczem czwórki, współautorstwo artykułu z Tozierem oznaczałoby automatyczne uzyskanie piątki. Opis aukcji informował, że zwycięzca, który musi być matematykiem, wygrywa kilkadziesiąt godzin współpracy nad wybranym problemem, którego efektem miałoby być powstanie artykułu. Gdyby udało się go opublikować w czasopiśmie naukowym, zwycięzca aukcji stałby się piątką.

Tozier pisał później, że aukcja powstała spontanicznie, pewnego ranka, gdy – jak twierdzi – nie zdążył jeszcze wypić dość kawy, aby trzeźwo myśleć. Ot, zabawny eksperyment społeczny. Odzew był jednak potężny. W ciągu zaledwie kilku dni jego skrzynkę mailową zalały zgłoszenia od dziesiątków matematyków amatorów, którzy od lat marzyli o pracy naukowej, ale nie mieli odwagi albo umiejętności, aby wejść w świat akademii. Aukcję wygrał anonimowy kupiec, którym okazał się José Burillo, matematyk z Politechniki w Barcelonie. Burillo, sam szczycący się liczbą Erdősa 3, ogłosił publicznie, że nie ma zamiaru skorzystać z oferty Toziera, a aukcje tego typu są skandaliczne, niesmaczne i podważają ideę autentycznej współpracy naukowej. Skruszony Tozier przeznaczył pieniądze z aukcji na założenie organizacji non-profit zajmującej się kojarzeniem ze sobą matematyków amatorów z pracownikami uniwersytetów, aby ułatwiać młodym naukowcom wchodzenie w świat akademicki.

### Sześć stopni do sławy

Sama idea liczby Erdősa jest kusząca – oto jedna prosta liczba szybko informująca o tym, jak blisko serca danej dziedziny znajduje się wybrana osoba. Idea ta jest ponadto uniwersalna.

W styczniu 1994 r. aktor Kevin Bacon rzucił w trakcie wywiadu dla czasopisma „Premiere": „jeśli podasz mi nazwisko kogoś z Hollywood, to albo sam z nim pracowałem, albo pracowałem z kimś, kto z nim współpracował". Z czasem przerodziło się to w grę towarzyską, początkowo zatytułowaną „Kevin Bacon jest centrum wszechświata", a potem „Sześć stopni Kevina Bacona", polegającą na doprowadzeniu zadanej aktorki bądź aktora do Kevina Bacona w maksymalnie sześciu krokach, „skacząc" po parach aktorów występujących w tym samym filmie. Bacon z czasem stał się twarzą teorii socjologicznej, określanej jako „sześć stopni oddalenia", zgodnie z którą dwie dowolnie wybrane osoby (spośród całej ludności Ziemi) są oddzielone od siebie przez najwyżej sześć różnego typu relacji międzyludzkich. W 2009 r. National Geographic Channel zaprosił Bacona do roli narratora filmu dokumentalnego „The Human Family Tree" na temat jedności genetycznej ludzkości, a on sam założył organizację charytatywną Six Degrees, której zasadnicza idea jest taka, że każda osoba w potrzebie na Ziemi jest tak naprawdę naszym względnie bliskim znajomym.

Długo można by wymieniać kolejne wcielenia liczby Erdősa. Ot, w szachach funkcjonuje liczba Morphy'ego wyznaczająca długość łańcucha partii szachowych łączącego każdego zawodnika z jednym z najsłynniejszych arcymistrzów z końca XIX wieku, Paulem Morphym. Dużo zabawniejsze są jednak mieszanki, z których najsłynniejszą jest liczba Erdősa-Bacona, będąca sumą liczby Erdősa i liczby Bacona danej osoby. Samo posiadanie oznaczonej wartości tej liczby oznacza, że należy się do wyjątkowo ekskluzywnego klubu: trzeba bowiem być równocześnie na tyle znaczącym matematykiem, żeby wejść w sieć współpracy naukowej tej dyscypliny, oraz na tyle znaczącym aktorem, że ma się wejście w świat Hollywood. Największy powód do chwały mają oczywiście ci, których liczba Erdősa-Bacona ma wartość najmniejszą.

Jedną z pierwszych osób, dla których wyznaczono jej wartość, jest aktorka Danica McKellar, którą polscy widzowie (zwłaszcza ci, którzy oglądali telewizję w latach 90.) mogą kojarzyć jako Winnie Cooper z „Cudownych lat". McKellar jest z wykształcenia matematyczką i może poszczycić się liczbą Erdősa 4, zaś jako aktorka oddalona jest od Kevina Bacona o zaledwie jedną osobę, co oznacza liczbę Bacona 2 – stąd jej sumaryczna liczba Erdősa-Bacona równa się 6. Tę samą wartość osiąga wielu słynnych naukowców – tak słynnych, że na pewnym etapie swojego życia występowali w telewizji i filmach. „Szóstkami" są choćby Richard Feynman i Carl Sagan. Z drugiej strony, liczba Erdősa-Bacona ujawnia, że wielu słynnych aktorów skrycie realizuje swoje pasje naukowe, jak choćby Natalie Portman (siódemka) czy Colin Firth (szóstka).

### Dziwny przypadek Stephena Hawkinga

Co da się rozwinąć, da się też wynaturzyć. Cóż bowiem powiedzieć o liczbie Erdősa-Bacona-Sabbath, której trzeci człon informuje o bliskości danej osoby do zespołu Black Sabbath? Członkowie Black Sabbath, do których należy również Ozzy Osbourne, od końca lat 60. współpracowali z setkami muzyków, pełniąc niejako rolę Paula Erdősa hard rocka. Nie tak trudno jest więc znaleźć się w gronie osób ↦

↦ o skończonej wartości liczby Sabbath; jakże niezwykłego połączenia talentów trzeba jednak, aby trafić do tabeli rankingowej liczby Erdősa-Bacona-Sabbath!

Absolutnym rekordzistą w tym nietypowym zestawieniu jest zmarły niedawno Stephen Hawking, którego ósemka tylko potwierdza jego reputację „człowieka w centrum wszechświata". Nieco zaskakujący może jednak wydać się wkład poszczególnych członów w ten wspaniały wynik. Hawking opublikował szereg prac, które wprowadzają go w świat matematyki czystej, ale – co ciekawe – jego liczba Erdősa to nieprzesadnie prestiżowa czwórka. Współpraca z Pink Floydami przy płycie „Division Bell" – Hawking użyczył swojego charakterystycznego głosu do utworu „Keep talking" – gwarantuje mu natomiast liczbę Sabbath równą 2 (dla dociekliwych: David Gilmour, jeden z pięciu Floydów, nagrał kiedyś wersję „Smoke on the water" wspólnie z Tonym Iommim z Black Sabbath; Gilmour ma więc liczbę Sabbath równą 1, a Hawking, współpracując z nim, zasłużył na dwójkę). Pozostałe dwa punkty pochodzą od liczby Bacona: Hawking pojawił się wraz z Johnem Cleese'em na londyńskim show pt. „Monty Python Live (Mostly)" w lipcu 2014 r.; Cleese grał zaś rolę barmana w filmie „The Big Picture" z 1989 r., w którym gwiazdą był już Kevin Bacon. Uff... Dodajmy jednak, że zaledwie jeden ząbek niżej, z liczbą Erdősa-Bacona-Sabbath równą 9, jest Brian May, gitarzysta Queen, z wykształcenia astrofizyk.

Istnieją oczywiście propozycje, aby jeszcze bardziej rozszerzyć liczbę EBS, dodając do niej choćby liczbę Shusaku (wiodącą do słynnego gracza w go Shūsaku Hon'inbō) albo liczbę Vanderbilta (nazwaną tak od brydżysty Harolda Vanderbilta). W pewnym momencie żart się jednak wyczerpuje, a osoby poszukujące prawdziwie interdyscyplinarnej rozrywki mają do dyspozycji coś znacznie lepszego niż ciągi liczb: 26 lipca w Kalkucie rozpoczynają się wszak mistrzostwa świata w szachoboksie. Zawodnicy rozgrywają 11 rund: parzyste na ringu, nieparzyste na szachownicy. Zapowiada się ciekawy finał. Obecny mistrz świata wagi ciężkiej, Jeet Patel z Indii, podobno ostro trenuje lewy prosty i wariant Najdorfa obrony sycylijskiej.

© ŁUKASZ LAMŻA

# Publikuj albo giń

PIOTR WASYLCZYK

**Międzynarodową walutą w świecie akademickim są publikacje naukowe. Jak na globalnym tle wygląda zasobność rodzimych uczonych?**

Na stronie www.natureindex.com można łatwo sprawdzić, ile publikacji w 68 najlepszych czasopismach z nauk fizycznych, chemicznych, nauk o życiu i nauk o Ziemi ukazało się w 2016 r. i skąd pochodzą ich autorzy. Z Polski było takich prac 208, co daje nam 24. miejsce na świecie. Statystycznie do wytworzenia każdej z nich potrzeba 500 polskich badaczy oraz 48,5 mln dolarów z krajowego budżetu na naukę. Dla porównania w USA, Wielkiej Brytanii i Holandii na jedną wysokiej klasy publikację przypada około 100 naukowców, w Wielkiej Brytanii kosztują one 14,3 mln dolarów za sztukę, a w Chinach 62,6 mln dolarów.

To oczywiście tylko zabawa – wielu naukowców publikuje znakomite prace w innych dziedzinach, niektórzy nie publikują wcale (bo np. zajmują się badaniami dla przemysłu albo wojska), czasopisma wybrano arbitralnie, a budżety państw na naukę nie są wydawane jedynie na badania kończące się publikacjami. Jednak w technokratycznym modelu zarządzania nauką, który dominuje w większości państw, to właśnie publikacje stały się swoistą walutą, którą można wymienić na awanse (i związany z nimi prestiż), aparaturę czy wynagrodzenia członków zespołów badawczych (dzięki zdobyciu grantu).

### Miliony artykułów rocznie

Konieczność wytwarzania i zapewnienia obiegu owej publikacyjnej waluty doprowadziła do powstania swoistego ekosystemu, złożonego z naukowców (którzy muszą publikować), wydawnictw czasopism i książek naukowych (których głównym celem jest zarabianie pieniędzy), redakcji (którym zależy na zdobywaniu i utrzymywaniu prestiżu), armii recenzentów (składającej się z samych naukowców) oraz dostawców baz danych, które pozwalają wydobyć rozmaite dane bibliometryczne (jak wspomniany Nature Index). Pod koniec 2014 r. na świecie ukazywało się około 28 tys. recenzowanych czasopism naukowych w języku angielskim (oraz kilka tysięcy w innych językach, w tym blisko 2,5 tys. po polsku), publikujących łącznie blisko 2,5 mln artykułów rocznie. Zarówno liczba czasopism, jak i publikowanych prac rośnie w ostatnim czasie w tempie około 3 proc. rocznie, a niektóre dane wskazują na to, że wzrost ten przyspiesza. Paradoksalnie w tej układance niewielką rolę odgrywa czytelnik. Tak długo, jak nie zapłaci wydawcy za dostęp do publikacji albo nie zechce jej zacytować w swojej pracy, jego rola w tym systemie wzajemnych zależności jest właściwie nieistotna.

Owe miliony artykułów nieuchronnie generują potężny szum informacyjny. W rezultacie chyba żaden naukowiec nie ma już złudzeń, że jest w stanie śledzić wszystkie publikacje ze swojej, nawet bardzo wąskiej dziedziny.

Badanie obejmujące lata 1996–2011 wskazuje na sumaryczną liczbę ponad 15 mln autorów publikacji, przy czym zaledwie 150 tys. z nich (czyli mniej niż 1 proc.) opublikowało w tym okresie przynajmniej jeden artykuł rocznie. Ta najaktywniejsza część wygenerowała jednak 42 proc. wszystkich publikacji i aż 87 proc. tych, które bardzo często cytowano.

Raport Nielsen BookScan wskazuje, że w Wielkiej Brytanii w latach 2005-14 sprzedaż książek naukowych – na które nacisk kładzie się w humanistyce – spadła o 13 proc. (z 4,34 do 3,76 mln rocznie). Przy czym liczba tytułów wzrosła z 43 tys. do 63 tys., co oznacza, że średnio sprzedaż jednego tytułu spadła ze 100 do 60 egzemplarzy. W lingwistyce, gdzie spadek był szczególnie widoczny, jeden tytuł sprzedaje się obecnie średnio w 13 egzemplarzach (przed dekadą w 50). Wśród pozycji zgłoszonych do ewaluacji brytyjskich uczelni (w ramach Research Excellence Framework) blisko połowa nie sprzedała się w ani jednym egzemplarzu! W Polsce nie prowadzi się takich statystyk, ale można przypuszczać, że wyniki nie różnią się znacząco od brytyjskich – znakomita większość monografii naukowych ląduje w najlepszym razie na półkach bibliotek, gdzie, nie niepokojone przez nikogo, dokonują żywota. Jednocześnie w wielu dyscyplinach opublikowanie książki jest nadal uznawane za niezbędny element rytuałów przejścia, takich jak zdobycie samodzielności badawczej (habilitacja) czy tytułu naukowego (profesura).

MEYER PFUNDT / BIPS / GETTY IMAGES

*W Państwowym Archiwum Patentów, Berlin 1955 r.*

**INDEKS HIRSHA** (h) pozwala oszacować, ile i jak dobrych prac opublikował naukowiec. Indeks równy x oznacza, że x-owa publikacja na liście uporządkowanej malejąco według liczby cytowań była cytowana co najmniej x razy. Np. Indeks h równy 5 oznacza, że autor ma na koncie co najmniej pięć takich publikacji, z których każda została zacytowana przynajmniej pięć razy.

**IMPACT FACTOR** (IF) jest wskaźnikiem różnicowania czasopism, wyliczanym co roku jako stosunek liczby cytowań artykułów opublikowanych w danym periodyku do całkowitej liczby opublikowanych artykułów w dwóch poprzedzających latach. Najwyższy IF mają uznane czasopisma medyczne, np. „New England Journal of Medicine" (50), „Lancet" (44), oraz ogólnonaukowe tygodniki: „Nature" (38) i „Science" (około 35).

## Co mierzą wskaźniki

W 1979 r. Donald T. Campbell opublikował artykuł, w którym rozważa m.in. wpływ wykorzystania rozmaitych wskaźników ilościowych na proces podejmowania decyzji. W przypadku publikacji naukowych (choć o nich Campbell nie pisze) interesujące mogą być np. związki między wysokim impact factorem (IF – patrz ramka) czasopisma, w którym publikujemy, a awansem na wyższe stanowisko czy uzyskaniem środków na finansowanie badań. Okazuje się, że tego typu zależności prowadzą nieuchronnie do zwyrodnienia systemu i w efekcie wskaźniki zaczynają „mierzyć same siebie". Naukowcy, zamiast podnosić jakość badań, podejmować odważne, nowe tematy, skupiają się na działaniach, które prowadzą do uzyskania pożądanych (przez system) efektów – publikacji w czasopismach z wysokim IF – co w wielu przypadkach bynajmniej nie jest tożsame.

Opublikowanie artykułu w czasopiśmie klasy „Science" można porównać ze zdobyciem Mount Everestu, a publikacje w wielu przeciętnych, szczególnie tych wydawanych w Polsce, pismach to spacery na Gubałówkę. Czy zatem można te codzienne przechadzki na tygodniowych wczasach w Zakopanem zsumować i porównać ze zdobyciem ośmiotysięcznika? Obecny system wymusza często takie podejście, promując w ten sposób ilość, a nie jakość.

Wielu naukowców obrusza się słysząc o wskaźnikach bibliometrycznych i jest skłonna traktować je jako bezużyteczny (albo wręcz szkodliwy) wymysł urzędników. Według danych opracowanych przez prezesa PAN prof. Jerzego Duszyńskiego, z 365 osób, które otrzymały nominacje profesorskie w 2016 r., 280 miało indeks Hirscha (h – patrz ramka) mniejszy lub równy 10, w tym 155 mogło „pochwalić się" h=0. Wydaje się, że nie wszyscy z nich to autorzy bestsellerowych monografii pogardzający artykułami w czasopismach, rzeźbiarze (od których nikt nie oczekuje publikowania), badacze partykuły „iżby" (którym naturalnie trudniej dostać się na łamy anglojęzycznych periodyków) oraz uczeni zajmujący się badaniami tak tajnymi, że nie wolno się o nich nawet zająknąć w publikacjach.

O ile z niewielkim publikacyjnym dorobkiem można piąć się w Polsce po szczeblach naukowej kariery, o tyle zdobycie międzynarodowego grantu czy pracy na zagranicznej uczelni wymaga najczęściej przedstawienia solidnej listy prac opublikowanych w rozpoznawalnych na świecie wydawnictwach. Pamiętać o tym powinni zwłaszcza opiekunowie osób zaczynających swoją naukową przygodę. ©

**PIOTR WASYLCZYK** *(h=14) jest adiunktem na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego i Research Associate in Biomedical Engineering na University College London. Jesienią nakładem PWN ukaże się jego (oraz Piotra Siudy) książka „Publikacje naukowe. Praktyczny poradnik dla doktorantów, studentów i nie tylko".*

„TP" 20 / 2018

## Pobożne babcie gasną powoli

W związku z publikacjami, również w „TP", na temat starości i starzenia się społeczeństwa naszła mnie refleksja na temat prostego, codziennego przemijania. To przemijanie starych kobiet, których imiona znowu stają się dziś modne. Antoniny, Marie, Franciszki, Zofie. Nigdy nie poddawały się trendom: trzeba walczyć, żyć, domknąć domowy budżet. Dom, działka, dzieci. To przez lata był ich cel. We wszystkim, co robiły, przyświecała im rodzina. Teraz powoli gasną. Choć jeszcze tli się w nich życie, jedną nogą są już po drugiej stronie. Wierzą, że czeka tam na nie dawno zmarły mąż, przedwcześnie zmarłe dzieci i dobry Bóg. Porządek dnia odmierza im rytm modlitwy. Zakonny tryb narzuciły sobie same. Gdy nad ranem budzi je ból połamanych osteoporozą żeber, nie patrzą na zegarek. Wiedzą, że to czas na godzinki. Potem rytuał jak u sióstr Łazarza – nakładanie szmat. Najlepiej te z dobrej tetry. Miękkie, dobrze wchłaniające maści i balsamy. Coraz słabsze, same przed sobą wstydzą się swojej niedołężności. Jedzą w ukryciu, bo źle dopasowane sztuczne zęby sprzyjają mlaskaniu. Wyniszczony, aluminiowy widelec drży w wykręconych palcach. Pali je zgaga i wstyd, że są nieestetyczne przy jedzeniu. Takie dobre obiady robiły dawniej. Dziś nie chcą jeść. Zasuszają się. Podświadome anorektyczki. Jak średniowieczne ascetki przedkładają modlitwę nad obiad. Bo już piętnasta. Jak jeść, kiedy wybiła Godzina Miłosierdzia Bożego? W zniszczonych palcach przekładają wyświechtane różańce. Pachnione sztuczną różą, takie „od Ojca Świętego", te z Częstochowy, Kalwarii, Lichenia... Oczyma duszy już widzą swoje nagrobki, ale w głębi duszy nie chcą odejść. Maniakalnie łykają tabletki. Terapie umacniają wiarą. Łykają przepłacone nalewki sygnowane świętymi i zakonnikami. Suplementy beatyfikacji do kupienia za jedną piątą ich żebraczej emerytury po mężu. Swoich świadczeń nie mają. Zahukane przez teściów, mężów i ojców, nie pracowały zawodowo. Teraz, jeszcze przed wiecznym spoczynkiem, starają się odpoczywać. Ale odpoczynek je męczy. Nawet najlepsze siedzisko nie zamortyzuje bólu dziewięćdziesięciu paru lat trudnego życia. Czasem się uśmiechają, ale to uśmiech kwaśny jak winny ocet. Nie są same, ale dzieci i wnuki nie umieją towarzyszyć im w codziennym wygasaniu. Nikt nie zrozumie fascynacji wykrochmaloną garsonką przygotowaną na ostatni rejs. Ubraniem, które regularnie poddawane jest zabiegom upiększającym. Siebie odświeżyć już nie mogą, ale sukienki do trumny muszą być wiecznie młode. One same dziś przypominają swoje własne książeczki do modlitwy. Wyświechtane i pomięte. Pomarszczone jak wysłużone latami strony litanii. Spięte gumką codziennej rutyny, która chroni je przed rozsypką.

To ostatnie takie kobiety.

KATARZYNA KRZYŻAK

## TP *Kluby „TP" zapraszają*

**GOSZYCE – sobota, 16 czerwca, godz. 12.30**
Spotkanie „Świat Turowicza. Wobec zagłady". Dwór w Goszycach k. Krakowa.

**GRUDZIĄDZ – czwartek, 21 czerwca, godz. 17.30**
Spotkanie „Sprawiedliwa wśród Narodów Świata. Irena Sendlerowa według Anny Bikont". Biblioteka parafialna (ul. Kościelna 1).

**KRAKÓW – niedziela, 17 czerwca, godz. 18.00**
Spotkanie „Skąd się wziął na Ziemi człowiek: moment czy proces?". Gościem będzie prof. Jan Kozłowski. Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14).

**SŁUPSK – środa, 20 czerwca, godz. 17.00**
Spotkanie „Przemoc w Biblii". Gościem będzie ks. prof. Janusz Lemański. Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).

**SZCZECIN – środa, 20 czerwca, godz. 17.00**
Debata „Polska–Niemcy–Europa w myśli Stanisława Stommy". Gośćmi będą prof. Andrzej Friszke, Adam Krzemiński, dr Radosław Ptaszyński. Książnica Pomorska (ul. Podgórna 15/16, sala im. Z. Herberta).

**WARSZAWA – czwartek, 21 czerwca, godz. 19.00**
Spotkanie „Czytamy Tischnera". Gościem będzie Wojciech Bonowicz. Sala KIK (ul. Freta 20/24A).


30 Prenumerata POKOLENIA TYGODNIK POWSZECHNY

NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK" W PRENUMERACIE

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 339 zł | 369 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 209 zł | 229 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 109 zł | 119 zł |

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
dla osób poniżej 25. lub powyżej 65. roku życia
- Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

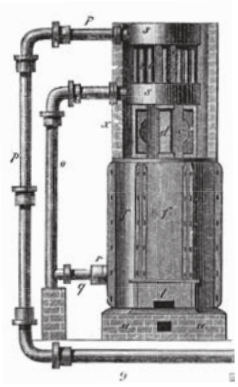

WALESKA Palowice 1830-1855
MARTA Katowice 1852-1928

# Śląskie.

PROJEKT OKŁADKI: JAN DYBAŁA | ATELIER S10

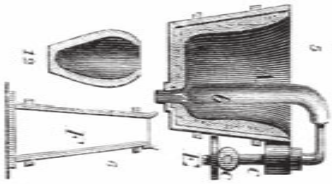

MATYLDA Świętochłowice | Lipiny 1827-1967
TERESA Ustroń 1792, 1837-1899
ZOFIÓWKA | Jastrzębie Zdrój 1969-1974
ANNA Pszów 1832-2004

EWA VON TIELE WINCKLER 1866-1930
SOPHIE CAROLINE VON DYHRN 1722-1793
FANNY SCHOEN-LAMPRECHT 1857-1917
WANDA TELAKOWSKA 1905-1985
MARIA GOEPPERT-MAYER 1906-1972
KATARZYNA SALOMONOWA II poł XVI w.


TYGODNIK POWSZECHNY
Nr 25/2018
DODATEK SPECJALNY
Redakcja: MICHAŁ SOWIŃSKI

BARBARA Grodziec 1823-1894
KATARZYNA Poręba 1888-1918
JOANNA Poręba 1829-1887

ROZALIA Piekary Śląskie 1885-1895
BARBARA - WYZWOLENIE Chorzów 1937-1970

# Labirynty industrii

BERTHA HEDWIG Zabrze 1862-1863
LAURA Siemianowice Śląskie 1836-1948

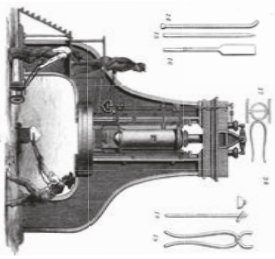

JOANNA SCHAFFGOTSCH z domu GRYZIK 1842-1910
MARIA KRYSTYNA HABSBURG-LOTARYŃSKA 1923
NORMA Katowice 1842-1943
PAULINA Jaworzno 1838

WANDA Ruda Śląska 1902
ANNA Ruda Śląska 1902
MARIA Ruda Śląska 1902
OTYLIA Ruda Śląska 1902
EWA Bytom 1868-70
KRYSTYNA Bytom 1868-70
TERESA Bytom 1888
JANINA Bytom 1892-94
JADWIGA Bytom 1908
ANNA Sosnowiec
BARBARA Bytom 1870
ELŻBIETA Chorzów 1913-14
HELENA Jaworzno 1837

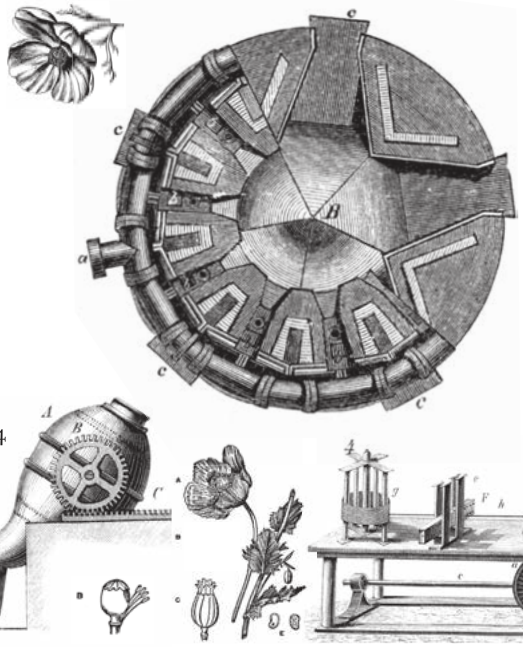

LEOPOLDYNA Brzęczkowice | Mysłowice 1808-1847
JOANNA Niemce | Sosnowiec 1822-1849
WILHELMINA Szopienice | Katowice 1834-1928
KONSTANCJA Lipiny | Świętochłowice 1847-1857
FANNY Bogucice | Katowice 1822-1833
EMMA Radlin 1858-1945
CHARLOTTE Czernica | Rydułtowy 1806
WANDA Ruda Śląska 1922-1938

W tej enigmatycznej formule nakreślona zostaje tajemnica doświadczenia życia, rozgrywającego się nie tylko w gramatyce. Życie to istnieje w różnych wymiarach czasu teraźniejszego, odciskając swoją obecność w świadomości i nieświadomości, jest też istotnym elementem przeszłości. Włada całą gamą emocji, które uzewnętrzniają się w różnych momentach i sytuacjach. Czy w tym labiryncie jesteśmy w stanie odnaleźć coś najważniejszego? Szczęście, miłość, nadzieję? W pytaniu tym znajdujemy pewną pułapkę, ponieważ „tego najważniejszego" nade wszystko poszukujemy w czasach niewinności, w czasach i wymiarach już mitycznych. Najczęściej także na tych utraconych wyspach nie odnajdziemy tajemniczych hortus conclusus, a raczej czarne ogrody, przysypywane prochami historii, skrywane przez ciemne mgły przeszłości. Jednak w głębi pamięci potrafimy odnaleźć obrazy, które wciąż przynależą do otaczającej nas rzeczywistości, do świata postindustrialnego krajobrazu.

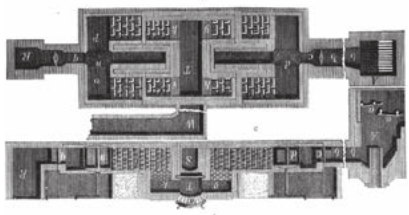

Pejzażu pełnego tropów i śladów. Świata tajemniczych labiryntów, rozpościerających się tuż przed naszymi oczami. Także tego świata, który drzemie i skrywa się pod naszymi stopami. Od ponad dwustu lat naznacza on kształt i charakter tej przestrzeni. Równocześnie te różne, dziś często tajemnicze budowle, szyby, hale fabryczne i podziemne tunele określane są kobiecymi imionami, jak w jakimś magicznym rytuale. Pamiętając o słowach Arystotelesa na temat różnych form emocji, dokonując parafrazy możemy stwierdzić: „miłość, ona pochodzi przecież od nimf".

© Marek Zieliński

ŚLĄSKIE TO ŚLĄSKA TAJEMNICA.


Śląskie.
Szlak Zabytków Techniki
Ars Cameralis Silesiae Superioris

# Niy ma gańba!

**Na Śląsku mieszkają ludzie potrafiący wykorzystać potencjał swojego regionu. Często też można się tu spotkać z pragmatycznym optymizmem i celebracją codzienności.**

**MICHAŁ SOWIŃSKI: Co to znaczy „być ze Śląska"?**

**OLGA DRENDA:** Identyfikacja ze Śląskiem, jak z każdym innym miejscem i społecznością, to sprawa intuicyjna, pozawerbalna. Opiera się na prostym, ale trudno definiowalnym poczuciu „bycia u siebie". Rozpoznaje się wtedy miejsca, znaki czy słowa jako swojskie. Na Śląsku czasami spotykam się z tą tożsamością rozwijaną świadomie – wraz z odkrywaniem historii rodziny czy nauką języka śląskiego. Ja dorastałam bardziej w orbicie języka polskiego i ogólnopolskiej kultury, więc śląskość przyswoiłam chyba przez osmozę. Kiedy wróciłam po dłuższym pobycie w Krakowie, pomyślałam, że najbardziej u siebie jestem właśnie tutaj.

**Coraz więcej ludzi uczy się języka śląskiego z własnej woli, czyli odwrotnie niż jeszcze dwie lub trzy dekady temu, kiedy raczej zacierano językowe ślady tej tożsamości.**

**OD:** Znam historię pewnego człowieka, który jako chłopiec pojechał do sanatorium w Rabce i przeżył to ciężko, bo on „godoł", a inne dzieci „mówiły", więc nikt go nie rozumiał. Nauczył się polszczyzny literackiej, ale kiedy wrócił do domu, znowu brzmiał dziwnie dla wszystkich. To przypowieść o typowych problemach ze śląską i polską tożsamością.

**Działa to też w drugą stronę – pojawia się lokalny nacjonalizm i absurdalna obsesja liczenia pokoleń.**

**OD:** To głupi i niebezpieczny fetysz – przede wszystkim przeczący faktom mówiącym o stuleciach osiedleń i migracji. Nie jesteśmy samotną planetą. Nawet jeśli ktoś ma tu rodzinę od XVI wieku, to jednak wciąż musiała ona skądś przyjechać.

**Nic nie mówisz dlatego, że Twoja śląskość jest bardziej skomplikowana?**

**ANNA CIEPLAK:** Pochodzę z Zagłębia i od dziecka czułam, że nie mogę powiedzieć, że jestem Ślązaczką, bo zaraz ktoś by się przyczepił. Trochę jak ten chłopiec na koloniach w Rabce, tyle że ze mnie śmiano się, bo nie umiałam „godoć". Później przeprowadziłam się do Cieszyna, gdzie okazało się, że nie jestem „stela", czyli stąd. Wszędzie nie tak! Ale to się zmienia. Śląsk kojarzy mi się przede wszystkim z najróżniejszymi odmianami lokalności, które wymagają cierpliwości i czasu na odkrycie. Sam Cieszyn ciągle mnie zaskakuje. Ma szczególną historię i własną odmianę śląskiej gwary, z wpływami czeskimi, niemieckimi, a nawet wołoskimi i słowackimi. Istotna jest na pewno obecność granicy polsko-czeskiej i relacje z sąsiadami, niestety nie zawsze dobre.

**Piekło małych różnic.**

**AC:** Czasem niebo, czasem piekło. Jaromír Nohavica śpiewa, że mamy nad głowami „Těšínské niebo". Moje książki dzieją się w Zagłębiu, więc przy okazji różnych spotkań miałam okazję zobaczyć, jak ten obszar widzą osoby spoza regionu. Wiele razy spotkałam się z frazą „śląskie miasteczko Będzin", która tutaj uchodzi za żart. W ogóle Zagłębie w prozie pojawia się rzadko – w przeciwieństwie do Śląska, z jego gwarą i wielokulturowością. Funkcjonuje za to wiele kawałów na temat Sosnowca czy etykiet typu „Czerwone Zagłębie", ale dla mnie to część fascynującego potencjału tego miejsca, które wymyka się kliszom. Nasz region jest w ogóle bardzo skomplikowany, a do tego dochodzi podział administracyjny, czyli województwo śląskie, który nie pokrywa się z podziałami historycznymi. Trwa dyskusja o Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii. Ile czasu zajęło samo nazwanie tego tworu!

**Absurdalne, że w 2018 r. na nasze życie tak silny wpływ mają podziały z XIX w.**

**AC:** Ale to może być interesujące przy tworzeniu lokalnych narracji. W Cieszynie odwołuje się do związków z Austrią. Mówi się o Małym Wiedniu i czuć mieszczańsko-kawiarniany sznyt: te wszystkie naleśniki cesarskie, kawa po wiedeńsku czy strudel jabłkowy.

**OD:** To mi się szalenie podoba, bo z kolei w moich okolicach często widuję starsze panie spotykające się przy piwie i ciasteczku, kulturalnie, na luzie, trochę na sposób czeski. W takim Krakowie rzecz nie do pomyślenia.

**Gdzie szukać starszych pań sączących piwko w ciągu dnia?**

**OD:** Najlepiej trochę na uboczu, zazwyczaj w miejscach nieco gorzej skomunikowanych z resztą Śląska – tam, gdzie silnie rozwinęła się lokalność, gdzie można usiąść sobie w ogródku. Nie jestem jakąś wielką biesiadniczką, ale śląskie szlagiery mają w sobie coś sympatycznego, rodzaj poczciwości, której nie ma w popkulturze reszty Polski.

**O czym śpiewa się przy śląskiej biesiadzie?**

**OD:** O tym, że życie jest fajne, że dobrze sobie odpocząć po pracy, że miło jest mieć urodziny. „Ogólnopolskie" disco polo jest bardziej agresywne, jak po pięciu napojach energetycznych, a szlagierów można słuchać z babcią.

**AC:** A gdzieś niedaleko od takiej biesiady można natknąć się na przykład na blackmetalową Furię. Założyciel zespołu w jednym ze swoich projektów nawiązuje zresztą do Teofila Ociepki z Grupy Janowskiej, a jego studio znajduje się przy Kopalni Węgla Kamiennego Wieczorek, gdzie kiedyś pracowali górnicy-mistycy związani z Grupą Janowską. O tym jest film „Angelus" Lecha Majewskiego.

**Śląsk od zawsze miał mocną scenę alternatywną.**

**AC:** To prawda. Pracownia przy Piastowskiej 1 i wszystko, co się wokół niej działo i dzieje, to jedno z moich najważniejszych skojarzeń ze Śląskiem i śląską kulturą, szczególnie tą z lat 70. To magiczna wysepka na mapie Polski.

**Na czym polega jej urok?**

**AC:** Wydaje się odklejona od codzienności, w głębokim PRL-u to był wyłom. Tutaj powstała grupa Oneiron, którą z początku tworzyli: Andrzej Urbanowicz, Henryk Waniek, Urszula Broll, Antoni Halor i Zygmunt Stuchlik. Z czasem udało im się wytworzyć krąg uczniów i sympatyków, do których należały wybitne osobistości świata artystycznego i naukowego, jak Zdzisław Beksiński, Józef Szajna czy Allen Ginsberg. Twórcy Oneironu nawiązywali do długiej tradycji śląskich mistyków, czerpali inspiracje z alchemii, filozofii Orientu, surrealizmu i psychodelików. W ubiegłym roku w ramach „Brzmienia Piastowskiej 1" młodzi muzycy związani z regionem podjęli w pracowni próbę udźwiękowienia „Czarnych kart" stworzonych przez Oneiron w latach 70. Małgorzata Borowska, która obecnie zajmuje się pracownią, stara się robić wszystko, żeby to miejsce żyło i tworzyło nowe opowieści.

**OD:** Albo taki Janosch, czyli filozof-proletariusz, barwna postać, też bardzo typowa dla kultury śląskiej. Grupa Janowska miała przecież podobną bazę. Albo Ryszard Broja, powstaniec śląski, górnik, który potem osiadł w Polanicy Zdroju i założył małe prywatne muzeum osobliwości. Andrzej Urbanowicz, który przybył do Katowic z Wilna, mówił, że musi być coś magicznego w tych przemysłowych oparach, skoro rezultatem jest tak bujna wyobraźnia.

**Na czym polega śląska wyobraźnia?**

**OD:** Myślę, że to – przynajmniej w przypadku artystów i pisarzy, o których wspominałyśmy wcześniej – często wyobraźnia samouka. W czasach wczesnego PRL-u, kiedy sztukę nieprofesjonalną próbowano kuratorować w służbie państwu, eksperci zżymali się, że malarze-górnicy inspirowali się przedwojenną niemiecką reklamą, broszurkami ezoterycznymi czy mieszczańskim landszaftem, ale przecież to były niesamowicie twórcze mutacje tych często banalnych źródeł. Jeszcze z dzieciństwa pamiętam wiele osób, zwłaszcza starszego pokolenia, które kultywowały tradycję edukacji na własną rękę. Bez planu, ale z wielkim szacunkiem dla wiedzy.

**Ostatnio śląska tożsamość jest na fali. Udało się złapać hipsterski wiatr w żagle. Biżuteria z węgla to dobry przykład szerszego zjawiska.**

**OD:** To zdecydowanie wypaliło, udało się wtórnie odkryć tę tożsamość i do tego nadać jej bardzo demokratyczny charakter. Śląskie gadżety widzę po prostu w użytku, i to niekoniecznie wśród hipsterów. Myślę, że to opowieść bardziej krzepiąca od obrazów „malowniczej biedy", którymi długo częstowały nas dokumenty, kino, fotografia. Tak jak wszędzie, niektórzy wciąż żyją tu biednie – nie ma co zaprzeczać – ale przez pewien czas dominowały obrazy ubogich dzieci, do tego stylizowane na czasy wiktoriańskie. A przecież w zaniedbywaniu ludzi przez kolejne rządy nie ma nic romantycznego, raczej wyrzut sumienia dla polityków. To było orientalizujące, niesprawiedliwe. Chwalenie się naszymi tradycjami wynalazczości, modernizmem, zabytkami czy mową to oczywiście również wycinkowy obraz, ale cieszę się, że pojawiają się na przykład śląskie wersje reklam, i że ogólnie „niy ma gańba".

**To ciężka praca wielu osób budujących poprzez design nową tożsamość.**

**OD:** Pamiętam, że kiedy zaczęła się moda na promocję miast, ktoś wpadł na pomysł, żeby województwo śląskie reklamować nieśmiesznymi gierkami słownymi. Jeszcze przed modą na suchary, więc hasło „Grube Rybnik" wywoływałoby zakłopotanie, nie śmiech. Ale przede wszystkim nie było w tym nic lokalnego, co przyjęłoby się tak jak dzisiejsze „tasze na maszkety".

**AC:** Zamek Cieszyn organizuje „Śląską Rzecz" – jedyny regionalny konkurs designu w Polsce. Jednak w budowaniu tożsamości największą rolę odgrywają inicjatywy oddolne i społeczne – przy udziale mieszkańców i entuzjastów. Przynoszą zwykle najwięcej świeżości, bo ludzie sami najlepiej wiedzą, co dla nich dobre. Tak w ostatnich latach zawiązały się grupy aktywistyczne Napraw Sobie Miasto czy Ośrodek Studiów o Mieście Gliwice. Tak też powstał festiwal Arteria w Częstochowie, Teatralna Maszyna Pszczyna czy Galeria Szara. W ten sposób tworzona jest Fabryka Pełna Życia w Dąbrowie Górniczej. Można wymieniać długo, ale wspólne dla tych wszystkich inicjatyw jest budowanie tożsamości z uwzględnieniem ludzi i ich wrażliwości, a nie tylko z perspektywy ekspertów od budowania marek.

**Co jest najcenniejszego na Śląsku z Waszej perspektywy?**

**OD:** Cenię sobie często występujące tu cechy charakteru – poczciwość, skromność i konkretność, a do tego mniejszą skłonność do traktowania życia jako gry o sumie zerowej. Z tego połączenia wychodzi pragmatyczny optymizm i sympatyczna celebracja codzienności. Ale osobiście Śląsk to dla mnie przede wszystkim doświadczenie natury. Mieszkając na granicy Mikołowa, Rudy i Katowic, żyję w lesie, ze stadem dzików pod domem. I to wcale nie jest wyjątkowe miejsce na Śląsku – same Katowice to 30 proc. lasu.

Śląsk jest pełen natury. Czasem przyroda przejmuje nieczynne zakłady pracy, których znikanie to osobna, dramatyczna opowieść o ciężko doświadczonych społecznościach. W ciągu kilku lat natura zawłaszcza ślady cywilizacji. Ale zieleń tutaj to również odpowiedzialne działania człowieka. Część Śląska otacza Leśny Pas Ochronny GOP. Sadził go również mój dziadek.

**AC:** Kilka lat temu sprowadziły się tutaj moje koleżanki z Warszawy – były zachwycone kontrastami i zdziwione, że w cieniu hut leży Pustynia Błędowska czy Pojezierze Dąbrowskie. Jednak najważniejsza dla mnie na Śląsku jest wspólnotowość, doświadczyłam jej w ramach wielu organizacji czy sieci – przemieszczając się od Zagłębia po Śląsk Cieszyński. Jest tutaj wiele charyzmatycznych postaci, które krążą poza konkretnymi miejscami. Pojawiają się z dobrą myślą i uruchamiają wyobraźnię, jak prof. Tadeusz Sławek. Do tego tradycja edukacji i pracy oddolnej przetrwała na Śląsku do dziś. Dlatego dla mnie Śląsk to osoby, które potrafią zobaczyć potencjał miejsc i ludzi – niezależnie od tego, czy są to Katowice, Cieszyn, czy Dąbrowa Górnicza.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

WOJCIECH ROJEK

**ANNA CIEPLAK** (ur. 1988) jest animatorką kultury, aktywistką miejską i pisarką; autorką powieści „Ma być czysto" (2016) i „Lata powyżej zera" (2017).

ADAM WALANUS

**OLGA DRENDA** (ur. 1984) jest dziennikarką i tłumaczką; autorką książki „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji" (2016).

JACENTY DĘDEK

Mieszkańcy osiedla przy kopalni Wieczorek spędzają wolne chwile w towarzystwie sąsiadów. Katowice, Nikiszowiec, 2003 r.

# Ja wybierając los mój, wybrałem... śląski

RYSZARD KOZIOŁEK

**Długo byłem nieświadomy, że pewna treść mojego życia, przeżywanego w ruchliwej krzątaninie zabawy, nauki i pracy na terytorium o promieniu nie większym niż 25 kilometrów, nosi nazwę „Śląsk".**

W dzieciństwie nikt tak nie określał mojej wsi u stóp Beskidów, między Bielskiem a Cieszynem. Dopiero jako nastolatek usłyszałem od rówieśników przygodnie spotkanych nad Bałtykiem, że jestem Ślązakiem. Poznali mnie po śladach mowy, choć mówiłem „czysto, po polsku". Pewnie zdradziła mnie gardłowa artykulacja samogłosek i lekkie przesunięcie akcentu na ostatnią sylabę. Pamiętam falę wstydu i niezdarny protest, że wcale nie! Że jestem spod Bielska-Białej, a Cieszyński to nie to samo, co Górny. Dziś, mimo nieprzerwanego kształcenia się w polszczyźnie literackiej, nie byłoby inaczej. Po 30 latach życia na Górnym Śląsku jeszcze łatwiej można usłyszeć w moich wypowiedziach dźwiękowe ślady pozostawione przez ludzi, których słucham i z którymi rozmawiam tu od lat.

Wgląd w zetknięcie się z własną śląskością zaczynam od mowy, ponieważ ona jako pierwsza wiąże nas z lokalnością, przenika i stygmatyzuje w okresie, kiedy nie mamy żadnej szansy oporu wobec języka dorosłych, których słowa powtarzamy przez pierwsze lata życia. Mowa mówi do nas, kiedy nie mamy żadnej innej, urodzeni bez języka. Dostajemy ostatecznie tylko jeden, nigdy w pełni nasz własny. Tylko ten jeden posiadamy, podczas gdy innych już się uczymy. Kiedy zyskujemy tego świadomość i zdolność oporu, zwykle jest już za późno.

W domu się „rządziło" (w Cieszyńskim) lub „godało" (na Górnym Śląsku), ale nie była to gwara czy język o spójnym słowniku i gramatyce. Mowa dziadków była już zmącona – przez kościół, w którym mówiło się polszczyzną Reja i Biblii Gdańskiej; przez kilka klas szkoły powszechnej; językiem radia i gazet. Dziadek Władek w fabryce mógł jeszcze mówić z majstrem po niemiecku lub czesku. Mama i tata mówili już inaczej, językiem mocniej ukształtowanym przez polszczyznę szkoły, pracy i mediów. Niemniej, mowa domowa mówiła do mnie językiem niejednorodnym, zmąconym wiekiem i wykształceniem domowników; światami, w których przebywali poza domem.

Śląskość była bliskim doświadczeniem, ale odległym słowem, za to „polskość" przyszła do mnie niemal w całości za sprawą języka. Najpierw poprzez czytaną mi przez mamę i babcię literaturę, a później dzięki samodzielnej lekturze książek, prasy i oglądaniu telewizji. W polszczyźnie zostałem opowiedziany i wyjaśniony jako członek tysiącletniej wspólnoty narodowej, której dzieje, święte miejsca, wielcy ludzie i wielkie księgi należały teraz do mnie. Przede wszystkim polszczyzna w niewyobrażalny wcześniej sposób poszerzyła granice domowej mowy. Nic dziwnego, że tym językiem chciałem mówić, a później badaniu jego najwspanialszych wytworów poświęciłem swoje zawodowe życie filologa.

Dla śląskiego nastolatka polskość miała jeszcze inną wartość. Życie na wsi nauczyło mnie, że nic tak łatwo nie przychodzi człowiekowi żyjącemu w małej wspólnocie jak separacja od innych społeczności, zamieszkiwanych przez „obcych". Ci z Jaworza, Rudzicy, Wapienicy, Grodźca nie byli „nasi", a wiejskie legendy mówiły, że żywią wobec nas złe intencje. Podobno niektórzy mieli nawet czarne podniebienia. Polskość była obietnicą gościnnej uniwersalności, wyzwolenia się od szajby podziału na tych „stela" (stąd) i „nie stela", od stygmatu gwary, braku ciągłości historycznej i państwowej. I schronienia się w czymś większym, co ostatecznie ujednolici moją zmąconą tożsamość. Przystępowało się tam po wyzbyciu się złego akcentu oraz dzięki znajomości polskiego języka symbolicznego, uczonego w szkole na języku polskim, historii i lekcjach wychowawczych; i w telewizji.

W apogeum miłosnego zauroczenia, czyli na studiach polonistycznych, pojawiła się bolesna świadomość, że wyparcie się języka domowego i przejście do polszczyzny było rodzajem zdrady. Silna odrębność kulturowa i historyczna Górnego Śląska, odczuwana i pojmowana dzięki wejściu w rodzinę żony, dała mi szansę zrozumienia, jak bardzo powszechna edukacja humanistyczna wyobcowała mnie z własnego doświadczenia kulturowego.

Wiedza o Polsce, której uczono w szkole podstawowej, była mieszaniną bajek i mitów. Indoktrynacji tej do dziś nie sposób się pozbyć. Znałem na pamięć dopływy Wisły i Odry, ale nie uczono mnie niczego o Jasieniczance, Bajerce czy Brynicy. Bliższe mi były dąb Sobieskiego, sosna Żeromskiego, limba Kasprowicza czy wierzba Chopina niż buk albo smrek rosnące w beskidzkich lasach.

Polski świat, jaki wyłaniał się ze szkolnej edukacji, nie miał nic wspólnego z naturalnym i społecznym światem, w którym żyłem. W kanonie polskiej literatury nie odnajdywałem śląskiego doświadczenia zbiorowego – pejzażu, lokalnej historii, obyczaju, chłopskiego luteranizmu, gwary, mitów i legend. Literackie scenariusze polskości były do odegrania w mowie, geście, stroju i scenografii „Pana Tadeusza" lub „Potopu", ale nie „Czarnej Julki" czy „Cholonka". Wystarczy zaznaczyć na mapie miejsca urodzenia klasycznych pisarzy polskich – Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa, Brunona Schulza, Witolda Gombrowicza, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza – aby zdać sobie sprawę, że ich światy dzieciństwa, podniesione do rangi polskiego uniwersum, nie leżą po mojej stronie Wisły, a nawet są od niej bardzo odległe.

Pierwsze reakcje na to, że mój świat nie stał się częścią historii literatury polskiej, były histeryczne. Odwiedzając rodziców mówiłem „po cieszyńsku", choć oni już tak nie mówili. Sprawdzałem, czy pamiętają znaczenie słów zapamiętanych z dzieciństwa: „kaltówa", „krupiczniok", „orstwia", „dzichta"; zmuszałem ich do opowieści o przeszłości. W perwersyjnym odwecie uczyłem się na nowo własnego języka domowego z użyciem (o zgrozo!) słownika. Marudziłem, 25-letni zgred, na nowoczesne zmiany w domu i okolicy. Słowem, uprawiałem agresywną nostalgię na zmianę z melancholią.

Gotowałem sobie stan chronicznej żałoby, ponieważ taki sposób myślenia o Śląsku nieustannie odtwarza jego stratę. Skoro trzeba na nowo nauczyć się własnej mowy, przypominać sobie lub poznawać sposób życia, jaki się wiodło, uczyć się przeżytej historii, cenić ulubione potrawy, estetyzować trudną urodę przemysłowo-naturalnego krajobrazu – to znaczy, że tłumaczy się sobie swój własny świat niczym obcą krainę zamieszkiwaną przez nieznany lud. W tej obsesji odzyskiwania powoli pojmowałem, że nieodwracalnie stałem się sobie obcy, odróżniony od siebie poprzez język, wykształcenie, miejski sposób życia, podróże, praktykowane liberalne wartości.

Po wielu latach życia na Górnym Śląsku jestem spokojniejszy. Zwłaszcza kiedy dotarło do mnie, że Śląsk przestał być już dziedziczonym losem, a w miejsce straty przeszłości przyszło większe dobro. Mam na myśli Śląsk jako formę życia, którą podziwiam i po części praktykuję. To coś głębszego niż utracony język; pejzaż industrialny, który właśnie znika na naszych oczach; dramaty wyborów politycznych, jakich musieli dokonywać moi przodkowie; wspólnota krzywdy ludzi eksploatowanych jak ziemia przez kolejne reżimy. Wskażę jedynie na trzy jej elementy, które mogłem obserwować, uczestniczyć w nich, a z czasem także współtworzyć.

#### 1. KONSERWATYWNY FEMINIZM

Od początku uderzyła mnie sprawcza siła śląskich kobiet z pokolenia mojej mamy i teściowej. Obszar ich wpływu był tak duży, że tradycyjnie męskie wartości, jak siła fizyczna, zawód i zarobione pieniądze, były czymś w rodzaju wkupu dającego mężczyznom prawo wstępu do sfery zarządzanej przez kobiety.

#### 2. MĄDRE RYTUAŁY

Na Śląsku polubiłem formy życia społecznego, które wcześniej napawały mnie głęboką niechęcią, jak stypy czy zjazdy rodzinne. Dzięki przymusowemu początkowo uczestnictwu zobaczyłem w nich rodzaj ćwiczeń w mądrej socjalizacji jednostki. W nagrodę otrzymałem to, co dotąd znajdowałem głównie w literaturze – możliwość obcowania z nieprawdopodobnymi ludzkimi oryginałami. Miałem, jak Hrabal, swojego wujaszka Pepina, i to niejednego.

#### 3. POWAGA PRZEŻYWANIA CODZIENNOŚCI

To było coś więcej niż znana mi luterska robotność. Cieszyńskie powiedzonko: „lepszy ożralec niż leniwiec" (lepszy pijak niż leń) mówi jasno, że pracowitość jest cnotą kardynalną i usprawiedliwia brak innych. Na Górnym Śląsku dobra robota zjawiła mi się jako składnik ogólnej porządności. Bycie „porządnym" nie oznaczało wyższości moralnej ani tępej pedanterii, ale wyznawany tu imperatyw ładu. Jest to rodzaj metafizycznej wręcz niechęci do bajzlu. Życie codzienne traktowane jako forma oporu przed kosmicznym bałaganem nabiera egzystencjalnej powagi i niezbędnej troski o innych. ©

**RYSZARD KOZIOŁEK** *(ur. 1966) jest pisarzem, literaturoznawcą, wykładowcą akademickim związanym z Uniwersytetem Śląskim, stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego".*

KULTURA

# JEST ŻYCIE NA WYSPIE

**MAŁGORZATA SZEJNERT, REPORTERKA:**

To przymus sprawił, że przedwojenna Polska wydawała się krainą szczęśliwości, demokracji, pokoju społecznego, a przecież taka nie była. Póki nie opowiemy swoich historii, nie ruszymy z miejsca.

**GRZEGORZ JANKOWICZ: „Wyspę węży", opowieść o polskich oficerach, piłsudczykach, izolowanych z rozkazu generała Sikorskiego w czasie II wojny światowej na szkockiej wyspie Bute, czyta się jak relację z odwiecznej walki plemion polskich. Melancholia, frustracja i sentymentalizm, poczucie odstawienia na boczny tor, sny o potędze, oskarżenia o zdradę wobec innych narodów, nieustanne kłótnie... Jak kiedyś, tak i teraz.**

**MAŁGORZATA SZEJNERT:** Moja książka jest głównie o tym, jak ludzie, którzy chcą przecież dobrze dla Polski, w większości są patriotami, nie mogą się porozumieć wskutek różnic w poglądach politycznych i rozmaitych zaszłości. Ci, którzy zdobyli władzę, nie są w stanie współpracować z tymi, którzy ją stracili. Nie szukają z nimi wspólnego języka. Rydz-Śmigły nie chce przyjąć Sikorskiego do służby czynnej ani w sierpniu, ani we wrześniu 1939 r. Potem to się odwraca. Kiedy generałowie Tadeusz Kasprzycki i Felicjan Sławoj-Składkowski zwracają się do Sikorskiego w Rumunii, by ich wziął do wojska, ten odpowiada pierwszemu, że ojczyzna nie chce jego usług, a drugiemu, że jedno tylko mu pozostaje: dać o sobie zapomnieć. Styl jest elegancki, ale obelżywy. To było kopanie głębokich podziałów, w sytuacji, która wymagała jedności.

**Dałoby się tego uniknąć, skoro ci ludzie, elita wojskowa i polityczna kraju, tak bardzo sobie nie ufali?**

Nie wiem, wiele o tym myślałam, ale nie potrafię tego ocenić.

**Uderzyło mnie to, że niemal wszystkie winy, które przypisują sobie przeciwnicy, były upraszczane i przykrawane do potrzeb politycznych.**

Ten mechanizm powraca. Wtedy przypisywano sanacji całkowitą winę za klęskę wrześniową. Pojawiło się także wiele zarzutów korupcyjnych, niepotwierdzonych, małostkowych. W rozrachunkach jakby nie zauważano, że po 17 września 1939 r. nie było już prawie możliwości działania. Ucieczka polskich władz do Rumunii traktowana była jako ucieczka z tonącego okrętu. A przecież wielu uciekało z nadzieją, że będą walczyć na innych frontach.

**Można to na chłodno ocenić z dystansu, ale wyobrażam sobie, że podówczas trudno było o taką postawę. Pułkownik Ludwik Bociański, który w akcie protestu przeciwko ucieczce władz targnął się na swoje życie, co prawda nieskutecznie, na oczach Rydza-Śmigłego, był przekonany, że jego gest jest słuszny. Opuszczenie kraju postrzegał jako rozwiązanie niehonorowe. Dlaczego tak bardzo lubujemy się w wymierzaniu sprawiedliwości ziomkom?**

Wiele przyczyn historycznych się na to złożyło. Choćby bardzo długo utrzymujący się feudalizm z nieszczęsną pańszczyzną, nie przez Polskę przecież zniesioną, tradycja samowoli szlacheckiej, rządy zaborcze, wątłość klasy średniej, wojny, okupacja, komunizm, zamęt moralny, ruina instytucji cywilnych, niemożność tworzenia społeczeństwa obywatelskiego, wieczna niedojrzałość. Polski katolicyzm, który zdawał egzamin w opresji, ale w okresach wolności nie umie się pohamować przed triumfalizmem, sprzyja nietolerancji narodowej i społecznej, pojmuje dosłownie rząd dusz. Sprawiedliwość ↦

**MAŁGORZATA SZEJNERT** (ur. 1936) jest reporterką i pisarką. Autorka wielu książek z dziedziny „literatura faktu". Przez prawie 15 lat prowadziła dział reportażu w „Gazecie Wyborczej". W 2010 r. jurorzy Nagrody Literackiej Gdynia przyznali jej specjalną Nagrodę Osobną za twórczość niepoddającą się klasyfikacjom. O jej najnowszej książce „Wyspa węży" pisał w „Tygodniku Powszechnym" nr 12/2018 Adrian Stachowski – tekst dostępny na powszech.net/wyspa-wezy.

TADEUSZ POŹNIAK / REPORTER

↦ wymaga zaufania do ludzi, polska historia nie sprzyjała temu przez wieki. Historia, a może i charakter Polaków? Ale przecież historia charakter kształtuje.

**Skoro zaszłości tak dotkliwie nas rozjątrzają, to może lepiej o tym wszystkim zapomnieć i skoncentrować się na przyszłości?**

Nie, bo zawsze coś prędzej czy później wybuchnie. Historię trzeba przepracować, ale w sposób uczciwy – zaczynając od badania faktów, a nie opinii. Musimy sami to zrobić, nikt nas w tym nie wyręczy. Twoja propozycja zapomnienia przekreśla sens mojej książki. To nie była przyjemna praca, byłam jednak pewna, że jest potrzebna.

**Kiedy zapominamy, kiedy rozpamiętujemy – to i tak jako wspólnota stoimy w miejscu?**

Jednak trzeba się uczyć. Myślę ze smutkiem, z jakich podręczników uczyło się moje pokolenie. Między innymi z historii WKPb („Krótki Kurs Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej »Bolszewików«"). Niby stare dzieje, choć kiedyś była to lektura obowiązkowa – stalinowskie czasy. Wielu wyrzuciło tę książkę, ja zachowałam. Czasem zaglądam. Na przykład na stronę 272: „Najazd jaśniepanów polskich na Kraj Radziecki". To pranie mózgów wywołało odwrotny skutek – przymus sprawił, że przedwojenna Polska wydawała się wielu krainą szczęśliwości, demokracji, pokoju społecznego, a przecież taka nie była. Póki nie opowiemy i nie przetrawimy swoich historii, nie ruszymy z miejsca.

**Ale przecież ciągle opowiadamy! Nierzadko z dbałością o fakty, krytycznie, z dystansem. Są książki, z których możemy czerpać nauki. Dla mnie taką opowieścią, inspirującą i otrzeźwiającą, jest tom esejów Witolda Wirpszy „Polaku, kim jesteś?". Może po prostu wszyscy piszą, a nikt nie czyta?**

Wiemy, jak smutno wyglądają dane o czytelnictwie w Polsce. A samo czytanie nie wystarczy. Trzeba się jeszcze uporać z tym, czego się dowiedziało o sobie. Ciekawam, czy ten tom Wirpszy jest w lekturach szkolnych? Moja wnuczka ma w lekturach „Quo vadis".

**Powinna być, ale niedoczekanie nasze. Wierzysz, że wyjdziemy kiedyś z impasu?**

**MAŁGORZATA SZEJNERT:**

Czuję niepokój. Jakby powoli zatrzaskiwały się okna w moim mieszkaniu. Sama biorę w tym udział: wyprowadziłam z domu telewizję, przestałam słuchać ulubionych dawniej programów radiowych.

Muszę w to wierzyć. Ale kiedy wyjdziemy? Trudno przewidzieć. Czy przewidywaliśmy wybuch Solidarności w 1980 r., a po dziewięciu latach zwycięskie wybory?

**Panująca w Polsce atmosfera polityczna skłania do snucia różnych wizji przyszłości. Jedni nimi straszą, inni za ich pomocą pocieszają. Czujesz niepokój, wsłuchując się w te głosy?**

Tak. Czuję go po raz pierwszy od 4 czerwca 1989 r. Jakby powoli zatrzaskiwały się okna w moim mieszkaniu i zaczynało brakować powietrza. Jakoś też biorę udział w tym zamykaniu: wyprowadziłam z domu telewizję, przestałam słuchać ulubionych dawniej programów radiowych. Ale za to chodzę na spacery – jak nazwał to jakiś polityk – biorę chorągiewkę i dołączam do tłumu spacerowiczów.

**Po raz pierwszy rozmawialiśmy o Twojej książce mniej więcej półtora roku przed jej publikacją. Wspomniałaś, że praca idzie wolno i chyba nic z tego nie wyjdzie.**

Trzykrotnie przechodziłam kryzys: podczas gromadzenia materiałów i podczas pisania. Początkowo wyobrażałam sobie, że wątek wuja Ignacego Raczkowskiego, który w 1940 r. trafił do obozu odosobnienia na wyspie Bute i w 1943 r. został na niej pochowany, będzie wyraźniejszy, że pomoże mi zbudować tę historię. Ale niewiele udało mi się o nim dowiedzieć z listów i dokumentów obozowych. Zagadka, która zapoczątkowała tę książkę, zbladła.

**Niewyrazisty bohater – przekleństwo reportera.**

Tak, a nie miałam już nikogo innego. Nie miałam w ogóle żywych bohaterów. Więc poddałam się (a był to rok 2012) i zaczęłam pisać książkę o Polesiu. Tam bohaterów nie brakowało. Nawet jeśli pochodzili z odległej przeszłości, wciąż byli żywi, bo zachowały się ich wspomnienia, z których można było wyczytać ich osobowość, temperament, spostrzegawczość. Każda z tych postaci miała swoją opowieść.

**Ale jednak wróciłaś do rozgrzebanego tematu.**

Gdy skończyłam książkę o Polesiu, pożałowałam swojej inwestycji w wyspę Bute. Wymyśliłam wtedy rozwiązania, które pozwoliły mi ten materiał historyczny przybliżyć do formy reportażu.

**Jak wysnuwałaś reportażowe nici z tego historycznego kłębka?**

Postanowiłam pojechać na wyspę, żeby zbudować, w miarę możliwości, obraz wojennego życia tam. Starałam się dowiedzieć, jak mieszkańcy pamiętają Polaków. Najpierw jednak zamówiłam w Brytyjskiej Bibliotece w Londynie mikrofilmy z wojennymi numerami „Butemana", tygodnika wydawanego na wyspie. Zajmował się wyłącznie lokalnymi sprawami. Pisał o cenach i reglamentacji żywności, o sporach sąsiedzkich, o wysokości trawy na polu golfowym, o ślubach i zgonach, o zaciemnianiu okien itd. To było dla mnie bardzo ciekawe. I zdumiewające. Nie pisali o wojnie na świecie. Nie poinformowali o śmierci generała Sikorskiego w katastrofie gibraltarskiej, mimo że mieszkało wśród nich tylu polskich oficerów (w sumie około półtora tysiąca).

**Do czego się to przydało?**

Ulepiłam z tych informacji tło życia na Wyspie. Zaczęłam od 1939 r., gdy jeszcze nie było tam Polaków. „Buteman" nie zauważył wojny, ale poinformował o niej pośrednio. Brytyjczycy w obawie przed nalotami niemieckimi ewakuowali dzieci i niepełnosprawnych z wielkich miast. Na wyspę trafiła wtedy ogromna fala przesiedleńców z Glasgow. Logistyka tego przedsięwzięcia była imponująca. Potem pojawili się Polacy.

**Czy charakter obozu był dla mieszkańców wyspy oczywisty?**

Długo nie zdawali sobie sprawy z jego faktycznej natury. Nawet dziś mamy problem z określeniem. Stacja zborna? Obóz internowania? Chyba najlepsze byłoby „miejsce odosobnienia". Nawet samo

słowo „obóz” tu nie do końca pasuje, bo kojarzy się jako jeniecki albo koncentracyjny.

Polacy początkowo witani byli jak bohaterowie. W „Butemanie” pada nawet fraza „nieszczęśliwa Polska”; więc bardzo serdeczne przyjęcie, współczucie. Swoją drogą właściciele pensjonatów i hoteli ków ucieszyli się z tak dużej liczby kulturalnych gości, którzy opłacają regularnie swój pobyt z oficerskiego żołdu. Zapanowała ogólna radość i ożywienie, urządzano wspólne koncerty, zapraszano gości na tańce i na brydża. Oficerowie podobali się młodym mieszkankom Bute, zamieszkanej głównie przez marynarzy, rybaków i rzemieślników. Po roku entuzjazm zaczął opadać, pojawiły się oznaki zobojętnienia, z czasem także zniecierpliwienia. Szkoci powoli uświadamiali sobie, że ci mili goście wcale gośćmi nie są, bo nie przyjechali tam na określony czas, a na jak długo – nie wiadomo. Trudno im było zrozumieć, że oficerowie w wieku kwalifikującym do walki siedzą na wyspie, gdy Brytyjczycy wysyłają na front swoich synów.

**Upiorna sielanka: wokół szaleje wojna, a panowie oficerowie z konieczności przechadzają się po ulicach sennego miasteczka. Były jakieś napięcia między wyspiarzami a Polakami?**

Mieszkańcy domyślali się, że to sprawa polityczna. Ale nie dochodzili tego. Nie mieli większych pretensji do Polaków. Dziwili się. Jeden stary człowiek powiedział mi: „Niektórzy ludzie mówili, że oni tu siedzą i nic nie robią. Ale sprawiedliwiej będzie powiedzieć: ci Polacy swoje przeżyli, nie ma czego im zazdrościć... Inni Polacy walczą nad Londynem i giną...”. Czasem w „Butemanie” pojawiały się kpinki. Dlaczego polscy oficerowie snują się po miasteczku tacy zmęczeni? To zmęczenie nauką języka angielskiego.

**A jak się wkręciłaś na wyspę?**

Najpierw wysłałam listy. Napisałam m.in. do autora przewodnika po Bute, do redakcji „Butemana”, do księdza katolickiego, do miejskiego archiwum. Redaktorka gazety opublikowała mój apel, by każdy, kto coś wie o Polakach, odwiedził mnie w hotelu. Pojawiło się kilka historii. Jedna była szczególnie dramatyczna i wypełniła cały rozdział książki. Dotyczy izolowanego na Bute pilota Gosiewskiego, którego żona i synowie zginęli płynąc z Li

**MAŁGORZATA SZEJNERT:**

Mieszkańcy Bute nie zdawali sobie sprawy, czym jest ten obóz. Sami mamy z tym problem. Nawet samo słowo „obóz” tu nie do końca pasuje, bo kojarzy się jako jeniecki albo koncentracyjny.

zbony do Anglii. Okręt został zatopiony przez Niemców, a zrozpaczony Gosiewski zginął w tajemniczych okolicznościach – prawdopodobnie zabił się w samolocie. Tych spotkań na wyspie było kilka, zrobiłam z nich interwały w książce, by nie dominowały w niej dokumenty. Chociaż im dłużej się grzebałam w archiwach w Londynie, tym więcej znajdowałam dokumentów naprawdę pasjonujących. Głównie donosów, bo oficerowie byli stale inwigilowani (donosy się zachowały w aktach Instytutów Sikorskiego i Piłsudskiego).

**Rozmawiałaś w Londynie z Krzysztofem Muennichem, synem pułkownika Tadeusza Muennicha, adiutanta Rydza-Śmigłego, wysłanego przez Sikorskiego na wyspę. Pamięta to miejsce (miał wtedy 16 lat)? Czy potępia twórców obozu?**

Nie. Mówił o tym jako o błędzie, który oceni dopiero historia.

**Wyspa nie boli już nikogo prócz Ciebie?**

Ta książka powinna być bolesna dla wszystkich Polaków.

**Kiedy się ukazała, odezwał się do Ciebie daleki, nieznany ci krewny Ignacego Raczkowskiego. Opowieść zyskała drugie życie.**

To był pan Romuald Girsztowt z Pruszcza Gdańskiego. Jego babka, z domu Raczkowska, była bliską krewną mojego wuja, jego rówieśnicą. Rodzinną siedzibą Raczkowskich były Miegiany na Litwie Kowieńskiej. To centrum Laudy sienkiewiczowskiej; wokół leżą miejscowości znane z „Potopu”. Rodzina doświadczyła konfiskaty majątku i zesłania po powstaniu styczniowym. Ojciec Ignacego, który powrócił z Syberii, został pochowany na cmentarzyku w Miegianach, otoczonym ciągle staranną opieką. Pamięć powstania jest tam żywa. Pan Girsztowt przysłał mi zdjęcia cmentarza, kościoła, w którym ochrzczono Ignacego, werandy domu jego rodziców, który już nie istnieje.

Część Raczkowskich długo trzymała się Miegian. Ignacy i Czesław, wnukowie zesłańca, opuścili Litwę i zaciągnęli się do Legionów. Historię Ignacego opowiadam w książce. Czesław, lekarz wojskowy, został zamordowany w Charkowie. Jego żona i dwóch synów powtórzyli zesłańczy los rodzinny. Jeden syn zmarł na tyfus, drugi wydostał się z Rosji i poległ pod Monte Cassino. Pan Girsztowt nie był pewien imion starszych przodków, więc porozumiał się ze swoim krewnym mieszkającym w Kownie. Tamten pojechał do Miegian i na cmentarzyku sprawdził imiona.

**Czy ci ludzie zostali w oficjalny sposób upamiętnieni?**

Kilka lat temu pan Girsztowt odkrył w Izdebkach na Podkarpaciu świeżo zasadzony dąb pamięci majora Czesława Raczkowskiego. Był zdziwiony tym odkryciem – dlaczego tam? Miejscowy proboszcz wyjaśnił, że parafianie chcieli uczcić ofiary mordu katyńskiego, ale w szczególny sposób – przez konkretną postać. Czesława Raczkowskiego wybrali na chybił trafił z listy katyńskiej. Dostałam od pana Girsztowta zdjęcie drzewka i postawionej obok tablicy z nazwiskiem brata mojego wuja.

**Książka jest kopalnią szczegółów, bardzo szczodrze obdarzasz nimi czytelników. Zainteresował mnie jeden z nich: pisząc o generałach podkreślasz, że po wojnie tylko dwóch wróciło do Polski. Dlaczego nie chcieli wracać?**

Innym generałom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie też nie było śpieszno do kraju pod władzą zależną od Moskwy. W 1945 r. znajdowało się na Zachodzie 127 polskich generałów. Wróciło dwudziestu.

Generałowie z Bute mieli szczególne obawy przed powrotem do Polski. Ich sytuacja wojenna była niejasna. Nie umieliby odpowiedzieć na proste pytanie: „co robiłeś w czasie wojny?”. Nie walczyli, nie mieli żadnych zasług bojowych. Pozostawały im wstyd i poczucie upokorzenia.

©℗ Rozmawiał GRZEGORZ JANKOWICZ

# Przypadki Paula Austera

JAN BALBIERZ

**Wszystko, co najważniejsze, nasze ciało, język, w którym mówimy, rodzina i kraj – tłumaczy w swoich książkach Paul Auster – dane nam zostało na mocy trudnych do zrozumienia i niezależnych od nas zbiegów okoliczności.**

Najnowsza powieść Paula Austera, „4321", różni się od wcześniejszych nie tylko objętością, ale i konwencją. Zamiast narracyjnie ekonomicznych, ugotowanych na twardo *quasi*-kryminałów, otrzymujemy liczącą 850 stron, prawie-że-realistyczną, osadzoną w latach 60. powieść.

W jednej z pierwszych scen „Przypadku" Krzysztofa Kieślowskiego studentka medycyny zagryzając wargi przygląda się kobiecemu ciału rozcinanemu przez chirurga na sali operacyjnej. „Ta baba uczyła mnie w podstawówce – powie chwilę później. – Bardzo mnie nie lubiła". To dopiero zapowiedź niespodzianych przypadków, które zdeterminują życie bohatera filmu, Witka. Drobne perypetie na stacji Łódź Fabryczna sprawią, że przeżyje on trzy zupełnie różne żywoty.

W „4321" losy urodzonego w 1947 r. w Newark (rok i miejsce urodzenia samego Austera) Archibalda Isaaca Fergusona opisane zostają w czterech wersjach. Siedem rozdziałów powieści to historia Fergusona, syna Stanleya i Rose, rozgałęziająca się w różnych kierunkach (dla ścisłości dodajmy, że drugi z Fergusonów ginie w czasie burzy już w drugim rozdziale, dalsza część jego biografii to puste strony).

### Żywoty z historią w tle

„4321" to – jak wszystkie książki Austera – przypowieść o absurdach naszej egzystencji. Rzecz rozpoczyna się od rodzinnej prehistorii: dziadek Fergusona, żydowski emigrant, przybywa z Europy Wschodniej na Ellis Island, zmienia nazwisko na łatwiejsze do wymówienia dla urzędników, znajduje żonę i osiedla się na Wschodnim Wybrzeżu. Po owym wstępie narracja rychło zmienia się w pitawal spraw kryminalnych, wypadków samochodowych, śmiertelnych chorób i nagłych śmierci.

To, kim zostanie Archibald, zdeterminowane jest już w dużym stopniu przez losy jego rodziców. Prowadzony przez ojca sklep ogarnięty zostaje pożarem, ojciec Archiego zaś albo przy tym ginie, albo powraca do skromnego biznesu, albo wzbogaca się na ubezpieczeniu (kupując przy okazji pistacjowego cadillaca). W zależności od statusu społecznego rodziców i przypadkowych znajomości Ferguson zamieszkuje w różnych dzielnicach Newark, lub przenosi się do Nowego Jorku i trafia na studia w Princeton lub Columbii.

„4321" opowiada w dużej mierze o perypetiach erotycznych i ambicjach literackich protagonisty. „Prawda była taka, że zdrowe, normalne dziewczyny go nie interesowały". Po przejściu męczarni pokwitania – kiedy to Ferguson „z przerażeniem i fascynacją obserwował, jak przeobrażeniu ulegają poszczególne sfery jego ciała", a „horror polegał na tym, że nie był w stanie kontrolować tego, co się z nim dzieje, na uczuciu, że jego ciało jest przedmiotem doświadczeń przeprowadzanych przez jakiegoś szalonego, beztroskiego naukowca" – jego trzy wcielenia będą kochać się z kawalkadą niedoszłych literatek, neurotyczek i życiowych eksperymentatorek.

Każdy z Fergusonów grawitować będzie w stronę pisania, uprawiając jednak odmienne jego gatunki: żurnalistykę, diarystykę i powieściopisarstwo. W kolejnych inkarnacjach czyta Dostojewskiego („»Zbrodnia i kara« była jak piorun, który go poraził i roztrzaskał na drobne kawałki, a kiedy się wreszcie pozbierał, nie miał już wątpliwości, jaka przyszłość go czeka, bo jeśli książka może być t y m, może t o uczynić człowiekowi, może tak zawładnąć sercem, umysłem i najskrytszymi uczuciami do świata, to znaczy, że pisanie powieści na pewno jest najlepszą rzeczą, jaką można robić w życiu"), Geneta, Gide'a i Becketta, tłumaczy „Prześliczną rudowłosą" Apollinaire'a i pisze wzorowane na dziełach francuskich awangardystów dziwaczne medytacje „Duch rzeczy nieożywionych" – „o sprzętach domowych i ich wyobrażonym życiu, jakie prowadziły, zanim zabrał je z ulicy".

Równie ważna jak literatura jest w „4321" sztuka filmowa. Ferguson ogląda przygody pięknej Garance i jej czterech kochanków w „Komediantach" Marcela Carné („Najlepszy francuski film, jaki dotąd powstał"), chodzi na przeglądy filmów Eisensteina, a przy kuchennym stole dyskutuje o Kurosawie. Sam Auster napisał scenariusze do kilku filmów. Wyreżyserowane we współpracy z Wayne'em Wangiem brooklińskie opowieści „Dym" oraz „Brooklyn Boogie", do których zebrał doborowe grono współpracowników (Harvey Keitel, Adam Holender, Lou Reed czy John Lurie), były pokazywane w polskich kinach i zyskały status kultowych. Podobnie jak pisarstwo ówczesnego Austera.

### Przypadek i ciało

Przypadki i zbiegi okoliczności są motorami napędowymi intryg w powieściach Austera. Dla części krytyków stanowią irytujący przykład przejęcia telenowelowych wzorców do powieści współczesnej, tymczasem on sam uważa je za niezbędny element realistycznej poetyki: „Z punktu widzenia estetyki wprowadzenie elementów przypadku do utworów powieściowych stwarza chyba tyle samo problemów, ile rozwiązuje. (...) Uważam siebie za realistę w najściślejszym sensie tego słowa. Przypadek jest częścią rzeczywistości: stale kształtują nas siły przypadku, zbiegi okoliczności, rzeczy niespodziewane wydarzają się w naszym życiu z paraliżującą niemal regularnością" (przeł. Marek Fedyszak).

„Szklane miasto", pierwsza część „Trylogii nowojorskiej", zaczyna się od pomyłki telefonicznej: oto ktoś dzwoni do 35-letniego, zarabiającego na życie pisaniem kryminałów nowojorczyka nazwiskiem Quinn z pytaniem, czy to Paul Auster z agencji detektywistycznej Paula Austera. W „4321" alegorią ślepego losu staje się loteria poborowych do Wietnamu, którą w 1969 r. objęto mężczyzn urodzonych między rokiem 1944 a 1950, ale też zakupiona przez Fergusona książka „Silence" Johna Cage'a – muzyka i poety, z pomocą starochińskiej księgi „I Ching" eksperymentującego ze skomplikowanymi procedurami kompo-

GRAŻYNA MAKARA / TYGODNIK POWSZECHNY

*Paul Auster na Festiwalu Conrada, Kraków, 2014 r.*

zycyjnymi opartymi na operacjach losowych.

Czterech Fergusonów dorasta w Newark i ma „te same ciała i ten sam materiał genetyczny". O tym, że jesteśmy nie tylko pisarzami i czytelnikami, ale także materialnymi istotami z krwi i kości, Auster przypomina w swojej prozie nieustannie. W „Nocy wyroczni" pisze: „Ciała się liczą, to jasne – bardziej niż skłonni jesteśmy przyznać" (przeł. Wojsław Brydak). W „Dzienniku zimowym", autobiograficznej książce z 2012 r., stworzył nowatorską „autobiografię ciała", próbując zrekonstruować jego przygody, choroby i rany, które mu zadano, powrócić do miejsc, w których mieszkało, i przypomnieć sobie inne ciała, których dotykało. W „4321" doświadczenie cielesne determinuje dalsze losy bohatera. Ferguson zostaje okaleczony w wypadku samochodowym. „Kiedy zdjęto bandaże i pokazano mu, jak wygląda jego ręka, jak zawsze już będzie wyglądać", ogarnia go wstręt: „To nie była jego ręka. Należała do kogoś innego i kiedy patrzył na zszyte, gładkie miejsca, które były kiedyś jego kciukiem i palcem wskazującym, zrobiło mu się niedobrze i odwrócił od nich głowę".

Przypadek i cielesność są częścią tego samego, balansującego na granicy banału i najgłębszej egzystencjalnej refleksji argumentu: wszystko, co w naszym życiu najważniejsze, nasze ciało, język, w którym mówimy, rodzina i kraj, do których przynależymy, dane nam zostały na mocy trudnych do zrozumienia i niezależnych od naszej woli zbiegów okoliczności.

### Pisanie jako grypa duszy

Już w „Trylogii nowojorskiej" Auster wystąpił jako autor narracyjnych wygibasów, skomplikowanych, szkatułkowych konstrukcji, kreator powieści w powieści i postaci, które okazują się autorami tekstu, który akurat czytamy. W rozmowie z duńską badaczką literatury Inge Birgitte Siegumfeldt mówił, że chciałby być „jak architekt, który buduje dom z całą instalacją wodną i elektryczną na wierzchu. Jestem zafascynowany sztucznością literatury. Otwierając książkę wszyscy wiemy, że to nie świat rzeczywisty. To coś innego. Wymysł. Myślę, że to dlatego było dla mnie tak interesujące, by w pierwszym tomie »Trylogii nowojorskiej« umieścić moje własne nazwisko. Nazwisko wydrukowano na okładce, a potem, cóż, czy nie byłoby ciekawe, gdyby to samo nazwisko umieścić też w środku książki, i zobaczyć, co się zdarzy? Bawiłem się rozłamem między tym, co nazywam »ja piszącym« i »ja biograficznym«".

Istnieje duża grupa pisarzy – dodawał – całkowicie usatysfakcjonowanych tradycyjnymi modelami literackimi, podczas gdy w literaturze chodzi o ujawnianie tradycyjnych norm i rozciąganie ich do granic możliwości: „interesuje mnie wytyczanie nowych dróg w opowiadaniu historii. Chciałem wszystko przenicować". Poetyka Austera czasem wydaje się jednak nieco zwietrzała. W boleśnie przewidywalnym zakończeniu „4321" Ferguson postanawia napisać powieść o trzech wersjach samego siebie i opowiedzieć „ich historie wraz z własną" w książce zatytułowanej „4321".

Napięcie pomiędzy „ja biograficznym" a „ja piszącym" łączy się z tropami autobiograficznymi. „Moje książki są niewątpliwie pełne odniesień do mojego życia, ale nierzadko uświadamiam to sobie dopiero po fakcie – mówił Auster w jednym z wywiadów. – Ukryte wspomnienia, ↦

↦ urazy, blizny z dzieciństwa – nie ma wątpliwości, że powieści wyłaniają się z tych niedostępnych części nas samych". „Szklane miasto" nazwał rodzajem „podziemnej autobiografii", opisującej, co by się stało, gdyby w porę nie spotkał Siri Hustvedt: „Naprawdę mam wrażenie, że ocaliła mi życie".

W „4321" Auster wielokrotnie powraca do tematu radości płynącej z pisania i wewnętrznej wolności, które ono daje. Już w „Szaleństwach Brooklynu" pisał o literaturze zawsze zawieszonej pomiędzy absolutną swobodą a bezwzględnym przymusem: „pisarstwo nie rządzi się żadnymi regułami. Wystarczy przyjrzeć się życiorysom poetów i powieściopisarzy, a zobaczymy całkowity chaos, nieskończony zbiór wyjątków. A to dlatego, że pisanie jest chorobą, czymś, co można nazwać infekcją lub grypą duszy, i co w związku z tym może dotknąć każdego z nas w każdej chwili. Młodych i starych, silnych i słabych, pijanych i trzeźwych, zdrowych i chorych psychicznie. Wystarczy spojrzeć na listę literackich gigantów i półgigantów, a odnajdujemy na niej pisarzy, którzy reprezentowali wszystkie orientacje seksualne, wszystkie poglądy polityczne, wszystkie ludzkie cechy, od najbardziej wzniosłego idealizmu do najbardziej wyrafinowanego zepsucia. Byli przestępcami i prawnikami, szpiegami i lekarzami, żołnierzami i starymi pannami, podróżnikami i odludkami. (...) Joyce napisał trzy powieści, (...) Balzac dziewięćdziesiąt. Czy to ma dla nas teraz jakieś znaczenie? (...) Kafka napisał pierwsze opowiadanie w jedną noc. (...) Musil pracował osiemnaście lat nad »Człowiekiem bez właściwości« i nie dokończył książki do śmierci. (...) Milton był niewidomy. Cervantes miał jedną rękę. Christopher Marlowe został zadźgany podczas knajpianej burdy, nim skończył trzydzieści lat" (przeł. Jerzy Kozłowski).

Autarchia i anarchia to także zasady rządzące powieściowymi światami Paula Austera.

© JAN BALBIERZ

*Paul Auster,* **4321,** *przeł. Maria Makuch, Znak, Kraków 2018*

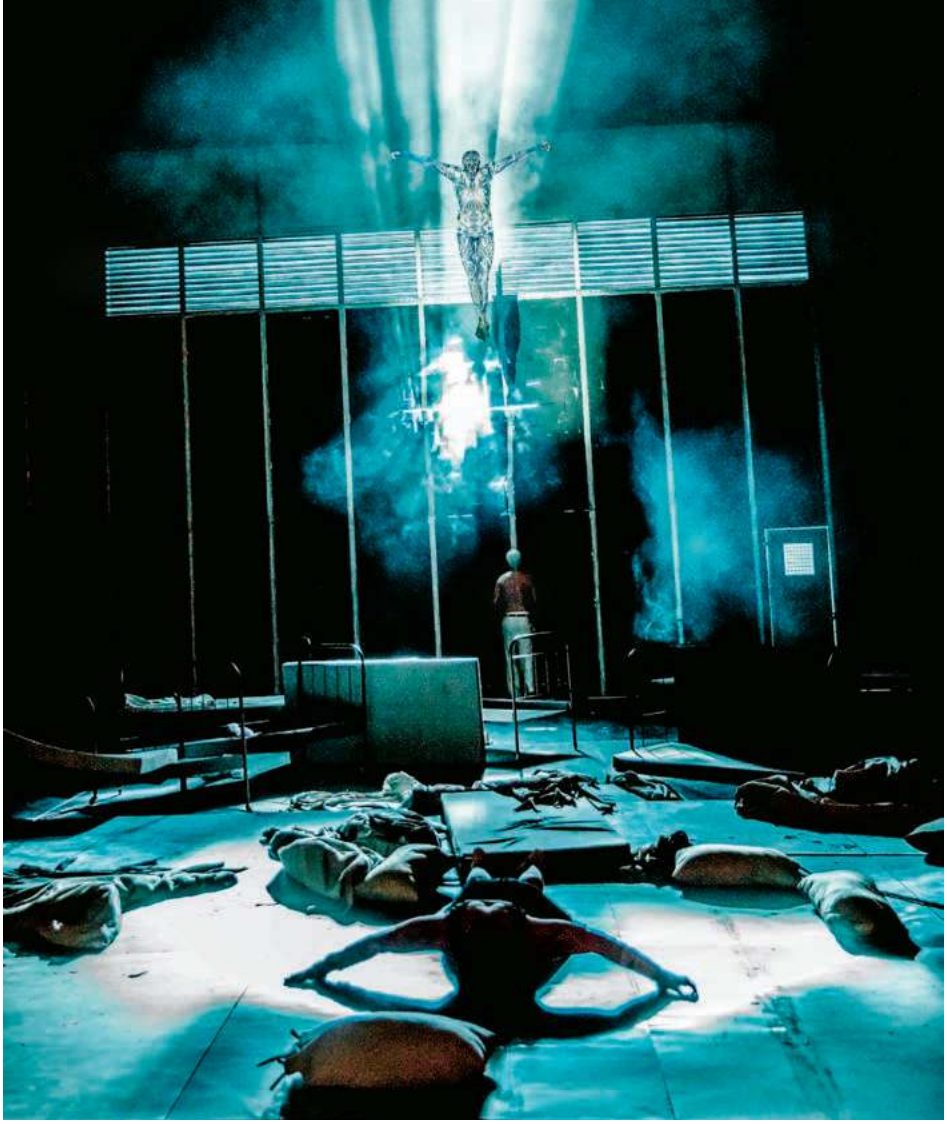

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TEATR WIELKI – OPERA NARODOWA

*„Ognisty anioł" Prokofiewa w reżyserii Mariusza Trelińskiego, Teatr Wielki – Opera Narodowa*

# Wypalony anioł

DOROTA KOZIŃSKA

**Scena Opery Narodowej nie wchłonie już ani jednej burdelmamy z wielkim cycem, ani jednego transwestyty w sukni z lamy – mających objaśnić widzom, że każda opera jest o traumie, molestowaniu i nierówności płci. Bo nie jest.**

A swoją drogą ciekawe, czy Prokofiew czerpał natchnienie z namiętności do niejakiej Liny, którą poślubił w 1923 roku, gdy pracował w Bawarii właśnie nad tą operą?" – zastanawia się Ewa Woydyłło-Osiatyńska w tekście do książki programowej „Ognistego anioła" w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Owszem, czerpał. „Niejaka Lina" była córką śpiewaków i sama zapowiadała się na znakomitą wokalistkę, ale w karierze przeszkodził jej lęk przed występami na scenie. Była też poliglotką, która pomogła mężowi w przekładzie libretta „Miłości do trzech pomarańczy" na angielski, matką dwóch synów Prokofiewa i formalnie jego żoną aż do śmierci: mimo romansu kompozytora z młodszą o blisko ćwierć wieku Mirą Mendelson. Była więźniarką gułagu, skazaną w 1948 r. za rzekome szpiegostwo

i uwolnioną dopiero po śmierci Stalina. Przeżyła niewiernego męża o 36 lat i wychowała jego dzieci na niestrudzonych propagatorów ojcowskiej twórczości.

Inspiracją dla dzieła Prokofiewa była symbolistyczna powieść Walerego Briusowa o religijnej manii i seksualnej obsesji, osadzona w realiach XVI-wiecznych Niemiec, nawiązująca do historii miłosnego trójkąta między autorem, poetką Niną Pietrowską i jej kochankiem Andriejem Biełym, autorem „Petersburga" i „Kocia Letajewa". Powieść, która natchnęła nie tylko Bułhakowa, twórcę „Mistrza i Małgorzaty", ale i Aldousa Huxleya, którego „Diabły z Loudun" posłużyły za kanwę opery Krzysztofa Pendereckiego.

Co jednak najistotniejsze, libretto „Ognistego anioła", wywiedzione z prozy jednego z prekursorów rosyjskiego symbolizmu, skłania się w stronę pokrewnego stylu ekspresjonistycznego – który zrywał wszelką więź między sztuką a rzeczywistością, kazał prowadzić narrację w umownej przestrzeni, dbać, żeby nikt nie pomylił wizji artysty z tym, co się dzieje naprawdę.

Postmoderniści nie chcą przyjąć do wiadomości, że utwory modernistów są dziełami niejednoznacznymi. Że otwierają szerokie pole do interpretacji, a zarazem opierają się próbom osadzenia ich w nowym, obcym kontekście. Tymczasem na polskich scenach operowych od lat goszczą inscenizacje reżyserów, którzy wiedzą lepiej i bezczelnie wmawiają publiczności, co autor miał na myśli. Pół biedy, jeśli ich koncepcja w miarę trzyma się kupy, jak w niedawnej produkcji „Peleasa i Melizandy" w ujęciu Katie Mitchell. Gorzej, kiedy reżyser wtłacza dzieło w ramy własnej obsesji, posługując się wyświechtanym zestawem gestów, znaków i obrazów.

W przypadku „Ognistego anioła" poszło już całkiem fatalnie. Być może dlatego, że od Mariusza Trelińskiego, laureata tegorocznej International Opera Award, oczekiwano czegoś więcej niż niespójnego recyklingu wcześniejszych pomysłów, zbyt pochopnie uznanych przez niego samego za wyrazisty podpis reżyserski. Tym razem nie pomogły ani scenografia Borisa Kudlički, ani robota dramaturgiczna Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk.

Wyjrzało z pokrzywy, jak u Jeremiego Przybory, że scena TW-ON nie wchłonie już ani jednej burdelmamy z wielkim cycem, ani jednego transwestyty w sukni z lamy, ani jednego faceta w garniturze i półnagiej babki w halce – mających objaśnić widzom, że każda opera, od Monteverdiego po Glassa, jest o traumie, molestowaniu i nierówności płci.

Bo nie jest, co zaczęli dostrzegać nawet niegdysiejsi admiratorzy inscenizacji Trelińskiego. Tym bardziej cieszy, że skonfundowani chaosem na scenie, wsłuchali się w muzykę. A w kanale orkiestrowym działy się cuda. Kazushi Ono – były dyrektor muzyczny Badisches Staatstheater Karlsruhe i brukselskiej La Monnaie, który za kilka miesięcy obejmie kierownictwo Opery w Tokio – poderwał muzyków do gry precyzyjnej, pełnej kontrastów, tętniącej nieubłaganym pulsem Prokofiewowskiego arcydzieła. Znacznie gorzej poszło ze śpiewakami, którzy albo nie sprostali wymogom tej piekielnie trudnej partytury, albo zgubili się na manowcach koncepcji realizatorów spektaklu. Sprawna aktorsko Aušrinė Stundytė (Renata) śpiewała głosem zmęczonym, nadmiernie rozwibrowanym i nieatrakcyjnym w barwie, Scott Hendricks (Ruprecht) bezmyślnie intonował rosyjski tekst pięknym skądinąd barytonem. Najjaśniejszymi punktami obsady okazały się dwie polskie mezzosopranistki: Agnieszka Rehlis w partii Wróżki i Bernadetta Grabias jako Oberżystka (w wersji Trelińskiego Właścicielka hotelu, na oko – wspomniana już burdelmama).

Chyba wreszcie coś pękło. Nawet najgłuchsi widzowie mają już dość tego filmu na scenie. Z nudów lub z ciekawości zaczynają domagać się w TW-ON prawdziwej opery. ©

*Sergiusz Prokofiew,* **OGNISTY ANIOŁ, OPERA W PIĘCIU AKTACH (SIEDMIU OBRAZACH),** *reżyseria Mariusz Treliński, scenografia Boris Kudlička, Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie, koprodukcja: Festival d'Aix-en-Provence, Den Norske Opera & Ballett.*

## Adam Hochschild gościem podcastu „Tygodnika Powszechnego"

Gdybym nie wiedział, jak świat wyglądał 200 lat temu, nie byłbym takim optymistą – mówi w rozmowie z Katarzyną Trzeciak i Michałem Sowińskim wielokrotnie nagradzany amerykański pisarz, dziennikarz i uczestnik ruchów na rzecz praw obywatelskich Adam Hochschild w najnowszym odcinku podcastu „Book's not dead".

Odcinka mogą Państwo wysłuchać na stronie **www.TygodnikPowszechny.pl** lub na **soundcloud.com/booksnotdead**.

By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „**OBSERWUJĘ/FOLLOW**"

TYGODNIK POWSZECHNY

Book's not dead

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. BERKELEY.EDU

MICHAŁ SZLAGA / FOTONOVA

*Robert Brylewski, 2008 r.*

# Przełamując fale

ROBERT KASPRZYCKI

**Robert Brylewski nie był rockową ikoną, on był wręcz ikonostasem. Duszą wątpiącą, duszą poszukującą. Był duszą rocka.**

Na początku tej historii jest coraz wolniej obracająca się taśma Stilon Gorzów, wreszcie mechanizm grundiga wciąga ją w swe bebechy i trzeba rozkręcać całe to cholerstwo, a później starannie nawijać taśmę ołówkiem. Mój przyjaciel Marek przywoził te stilony z daleka: z Jarocinów, Warszaw, Trójmiast, z festiwali, przeglądów, załoganckich prób zagranych w czyjejś kanciapie, i puszczał mi je, jak ewangelista punka, na swojej miniwieży, kupionej przez ojca w Iraku. Na taśmach prawie nic nie było słychać, poza furią, przejściami perkusji, jakby ktoś ziemniaki wsypywał do piwnicy, i wizgotem gitar Aster, Defil, Jolana, przesterowanych przez kostki zwane nieodmiennie fuzzami. Miałem takie ustrojstwo, zrobione przez niejakiego Batona Starszego, za kilka zadań domowych z polaka. Przejaw rodzimej myśli technicznej, wziętej bodajże z „Młodego Technika": dwa pokrętła i prosty układ scalony wciśnięte w mydelniczkę albo w pancerne pudełko z giętej blachy, wyglądające jak mina przeciwpiechotna. Mniejsza jednak o *design*, chodziło o to, żeby gitara brzmiała jak piła tarczowa i mroziła krew w żyłach.

Kiedy nie słuchaliśmy szumu kaset, puszczaliśmy płyty. W rozmowach z Markiem często przewijały się te same tytuły, te same nazwy kapel, ci sami koledzy, w opowieściach wyglądający jak nadludzie, półherosi, półbogowie – pierwsi do wybitki i wypitki. Jednym z takich półbogów był bez wątpienia Robert Brylewski, zwany „Afą".

Marek Afę wielbił, Afą gadał, ba, podejrzewam, że te skromne lekcje gitary, com mu ich udzielił, były po to, by Marek mógł się Afą stać stuprocentowo.

**Śledziłem Brylewskiego, bo imponowała mi jego niespożyta kreatywność**, piekielna wszechstronność i niepozorna postura. Gdzieś w telewizorze zobaczyłem, jak nieśmiały blond chłopiec, patrzący gdzieś w bok, podczas wywiadu lekko się jąka, po czym na scenie zmienia się w demona energii. Zakładał bądź współtworzył zespoły, które tak naprawdę nigdy nie przestawały istnieć. Kryzys się kończył, a wchodziła Brygada Kryzys, powstawał Izrael, ale Brygada Kryzys wisiała w powietrzu, gdzieś tam formowała się Armia, Brylewski z niej odchodził, po to żeby po wielu latach znów się do niej zaciągnąć. Pojawiał się też gościnnie tu, ówdzie albo całkiem solo, a na końcu reaktywował się Kryzys bądź Brygada Kryzys.

Co istotne – Brylewski zawsze coś po sobie zostawiał, coś komuś implantował, coś od kogoś brał, po to tylko, żeby zanieść to dalej, jakby dzielił się jakąś błogosławioną chorobą albo z dumą nosił wirus inności. Co było najbardziej szokujące – za każdym razem był to ten sam człowiek: skromny, twórczy, nieprzewidywalny. Wokalista, autor tekstów, gitarzysta, kompozytor, producent, brzydkie słowo: *spiritus movens*, duch wolny wolność ubezpieczający, ironiczny, prześmiewczy i najbardziej serio mówiący o kasie, obracający swój niedostatek i nieobecność w żart, szukający masek, jak każdy nadwrażliwy osobnik próbujący kreacjami artystycznymi zasłonić siebie.

Kiedy wiele lat później w którymś z dokumentów muzycznych wypowie się o buncie z lat PRL-u, o wolności, o niezależności, o skurwieniu, o polityce, choć z przekąsem wspomni byłe gwiazdy i ich odziewanie się w piórka buntowników, daleki będzie od inkwizytorskiej zapalczywości. A przecież mógłby, zwłaszcza że przez tyle lat robił swoje – za nas i dla nas. W najwcześniejszych zapisach wideo (bo Kryzys jeszcze jako młodzieńczą, licealną formację warszawskich chłopaków pokazano w programie telewizyjnym „Camerata") ten nieśmiały blondynek, nie patrząc prawie w kamerę, wypowiada prosty program artystyczny: walczy się z wszystkim, co ogranicza, osacza, atakuje.

Mógłby to być na dobrą sprawę zestaw banałów wykrzyczany przez każdego licealistę, gdyby nie fakt, że ów blondynek przez kolejne dekady stawał się będzie nie tyle rockową ikoną, co ikonostasem – muzycznym Światowidem, duszą wątpiącą, duszą poszukującą, duszą rocka. Choć naturalnie nie dla tych, którzy duszę i bunt odnajdywali w twórczości zespołów Perfect, Lady Pank czy Lombard. Dochodziło zatem do absurdu – świat mainstreamu odbierał mu przez lata nie tylko uwagę odbiorców, ale także jedyne, co miał: miano wojownika, bojownika, tego który za darmo nadstawiał głowę. Po ordery i medale pierś wysuwali inni, którzy w czasach, gdy na Brygadę Kryzys czy Izrael istniał niepisany bądź pisany zapis, grani byli od rana do wieczora przez reżimowe media.

Pamiętacie facebookowy wykrzyk, ostrzegający młodych muzyków, żeby nie szli jego śladem, bo po tylu latach grania nie ma na prezenty dla dzieci? Jasne, jakiś czas później, w rozmowie z Katarzyną Janowską, powie Brylewski, że „to była prowokacja, o tak, udana prowokacja, bo część, co prawda hejtowała ile wlezie, że »pijak, ćpun i sam sobie winien«, ale były przecież też głosy solidarności". Akurat – powiedzmy sobie szczerze – Brylewski, wierząc w swoją muzykę, swoją misję, swoją wizję, wskakiwał z uporem na tę maleńką łódeczkę, brnąc pod prąd szołbizu, przełamując fale, głęboko przeżywał obojętność tłumu.

**Dla muzyków takich jak Brylewski nic nie było proste.** Żeby otrzymać tantiemy, artysta musiał najpierw „obronić" piosenkę w ZAiKS-ie, a żeby ją obronić, musiał ją „zgłosić", a żeby ją zgłosić, musiał znaleźć kogoś „uczonego w piśmie" (może jakiegoś absolwenta muzykologii?), który w postaci tzw. fortepianówki, będącej zapisem akompaniamentu i melodii z podpisanymi minimum ośmioma taktami, pomoże mu spełnić stosowne wymagania. Jeżeli piosenka była bardziej skomplikowana, zaiksowy rzeczoznawca (absolwent muzykologii?) odsyłał źle wypełniony kwestionariusz i sprawa czekała na poprawienie nutek i kolejne podejście. Czasem zabawa trwała tygodnie, czasami lata. Dziś wygląda to prościej – wysyła się plik mp3 z zapisem piosenki oraz tekst piosenki i potwierdzenie, że piosenka jest twojego autorstwa. Przed zmianą, bodajże w roku 2017, procedura tworzyła rynek pracy dla dziesiątek zawodowych muzyków (i absolwentów muzykologii), muzyka była zatem nagrywana, emitowana, eksploatowana medialnie, natomiast pieniędzy autor nie widział. A jeśli widział, to raczej bilon niż Babilon.

**Wolna Polska dała Brylewskiemu dużo wolności** – wolność posiadania nałogów, wolność zgromadzenia, wolność wypowiedzi, przemieszczania się, zakładania zespołów, wolność czekania na to, że ktoś puści je w radiu, i choć artysta często deklarował brak złudzeń co do polityki kulturalnej naszych władz, za każdym razem widać było, że mówi o tym, co go boli, i że boli go, że o tym mówi. I nie chodzi mi o proste „nie tak miało być", bo był Brylewski zbyt inteligentnym twórcą i człowiekiem, żeby mieć złudzenia, jednak jego odbijanie się od szyby, boksowanie z budyniem, pojawianie się i znikanie ze sceny, rodzaj twórczości, który stawiał na przekaz słowny, techniki wokalne, na których dźwięk każdy muzykolog zgiąłby ze zgrozy paluszek, sprawiały, iż rzeczywistość, że zacytujemy klasyka, otaczała go coraz bardziej.

Za czasów wolnej Polski granie punka, alternatywy, rocka, reggae, jeśli traktowało się te pojęcia poważnie, nie gwarantowało poklasku ani uwagi mediów. Co więcej, Brylewski, jako postać tworząca zespoły i nurty, a zarazem chimeryczny lokator szołbizu, na którego nigdy nie można było liczyć w poważnym rozliczeniu przez poważnych „misiów", przez alkohole, narkotyki, osobowość traktowany był trochę jako atrakcja, a trochę Dziadek-Założyciel, a nie poważny twórca. W dodatku nie było w nim tej lekkości, jaką posiadał choćby Tymon Tymański, potrafiący i mieć, i zjeść jajko, i stracić cnotę, i nadal określać się mianem artystycznej dziewicy.

W przypadku Polski nie działała bowiem żadna z wizji dotyczących genezy punka – ani amerykańska, mająca swe źródła w Fabryce Andy'ego Warhola, twórczości Lou Reeda i jego kamandy, ani też idea Malcolma McLarena, który dzięki swym zaoceanicznym podróżom postanowił przeflancować punkowe kwiatki na grunt brytyjski. Artystowska wersja Amerykanów skręciła w nieco inną stronę, nieco lepiej sprawdziły się plany McLarena, trafiając w kontekst polityczny i politykę wewnętrzną Margaret Thatcher, czym innym były punki amerykańskie (i tu znawcy łacno stratują mnie za nierozróżnienie wersji nowojorskiej od kalifornijskiej), czym innym brytyjskie, czym innym charakteryzował się punk w wydaniu japońskim, niemieckim czy rosyjskim.

Na zupełnie inny grunt polityczny i mentalny trafiły idee punkowe w Polsce. W dodatku u nas płyty tłoczono z kilkuletnim poślizgiem, zaś ze względu na fakt nieistnienia showbiznesu w wydaniu „poważnym" trudno było mówić o finansowym wymiarze działań artystycznych.

**Alternatywa w Polsce była w dużym stopniu walką z systemem i jej umundurowanymi przedstawicielami.** Miałem ostatnio okazję rozmawiać ze znanym weteranem ruchu hippisowskiego, Jerzym Illgiem w kontekście świetnej książki Kamila Sipowicza o polskich hippisach. Poruszyliśmy temat „milicyjny", a dokładniej to, jak stan wiecznego zagrożenia integruje dane środowisko. Należenie do danej subkultury nie wynikało ↦

↦ w PRL-u jedynie ze słuchania tej samej muzyki, jeżdżenia na te same koncerty, noszenia T-shirtów czy cytowania tekstów ulubionych kapel na Facebooku. Solidarność muzyczna – czy to lat 60., czy 80. – była w dużym stopniu solidarnością bitych bądź zagrożonych biciem.

Niebiescy, jak to ładnie ujął swego czasu satyryk Sławomir Zygmunt, mogli cię zgarnąć za cokolwiek, za długie włosy, za włosy na cukrze, za naszywkę na katanie, za opornik, za wisiorek, za agrafkę czy cichy krok po ulicy. Prosta dialektyka milicyjnych oprawców wyrażała się prostym słowem „wpierdol". Co dziwne, również w latach 80. unikała milicyjnej dintojry schludna młodzież narodowa, umyta, wypucowana, która czysta, nie tylko rasowo, w starannie zapiętych buciorach, ze starannie obciętą fryzurą, mogła liczyć na pobłażliwość wymienionych służb.

Licho wie, czy była w tym błatna solidar ność zeków, którzy jakimś trzecim węchem wyczuwali swój swego, czy tylko obawa przed porażką. Natomiast odruchem naturalnym była u nich reakcja przeciw długowłosym (długie pióra – wpierdol, włosy na cukrze – wpierdol, długa grzywka – wpierdol, za to, że jesteś sam – wpierdol). Nie da się ukryć, że cała ta cicha martyrologia punków, poppersów, hipów, metali (jak niżej podpisany), wieczne zagrożenie interwencją (jak rzekł do mnie pewien pan w Katowicach: „Idź ciulu, bo ci lolą nery przemaluja"), sprawiały, że integracja dotyczyła nie tylko muzyki, ale i głębszych pokładów psychiki.

**Brylewski zmarł w przeddzień rocznicy wyborów 4 czerwca**. I jest w tym coś głęboko symbolicznego, bo chodzi o rocznicę dnia, który miał nam przynieść jedność, wolność i solidarność, a przyniósł tylko wolność. Także wolność wyznania: i teraz ci, co wierzyli w święte pisma komunizmu, zamienili ją na wiarę w papierki banknotów, a Babilon ideologicznych urojeń na Babilon strzeżonego osiedla. I chyba przed tym ostrzegał nas Afa.

Ech. Tak mu było do twarzy z punkiem, z reggae, z elektroniką nawet. Śmierć ani trochę do niego nie pasuje. Ani trochę. © ROBERT KASPRZYCKI

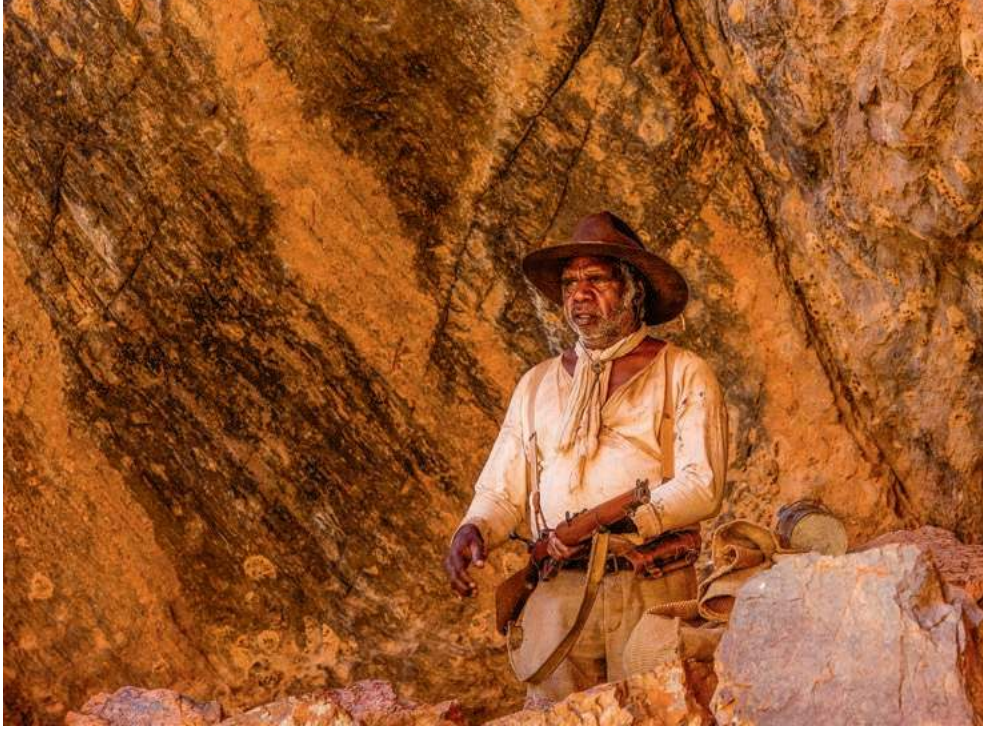

# Łańcuch i dewizka

ANITA PIOTROWSKA

**Fascynujący jest sposób, w jaki prosta historia o wykuwaniu się prawa i porządku na rubieżach Terytorium Północnego w Australii zamienia się w intelektualno-wizualną ucztę.**

„Jaką szansę ma ten kraj?" – pyta w finale zrozpaczony pastor, grany przez Sama Neilla. Tytuł filmu, „Sweet Country", już od pierwszej sceny nabiera coraz bardziej gorzkiego wydźwięku. Australijskie „narodziny narodu" miały bowiem sto lat temu przebieg szczególnie bolesny, znaczony upokorzeniem i przemocą. Nakręcony w konwencji antywesternu film Warwicka Thorntona zrywa definitywnie z mitem australijskiej niewinności uosabianej przez białego „pogromcę buszu". Ale nie to jest najciekawsze. Bulgocząca groźnie ciemna mikstura, do której ktoś w prologu filmu wsypuje czarne i białe ingrediencje, musi zostać przez nas wypita. Nagrodą będzie elektryzujący spektakl, w którym przestrzeń i czas odegrają rolę nie mniej ważną niż sami bohaterowie, czyli rdzenni mieszkańcy kontynentu i jego nowi gospodarze.

Fascynujący jest sposób, w jaki prosta historia o wykuwaniu się prawa i porządku na rubieżach Terytorium Północnego zamienia się w intelektualno-wizualną ucztę. Thorntonowi nie wystarcza klasyczna filmowa epika. Pokazując, jak dzikie, bezkresne tereny podzielone dotychczas między okoliczne plemiona stają się po kawałku własnością osadników, traktujących miejscowych w najlepszym razie niczym półdarmowych parobków, uruchamia gęstniejący z każdą minutą polityczny dyskurs. Znajdziemy w nim oskarżenie „białych" o dehumanizację i eksploatację ludności aborygeńskiej, wykorzystywanie seksualne kobiet i niszczenie tamtejszej kultury, lecz także trzeźwe spojrzenie na australijski patriotyzm, lokalne napięcia i przesądy czy rolę religii chrześcijańskiej w budowaniu wspólnej tożsamości.

Scena gwałtu dokonanego na Aborygence odbywa się w całkowitych ciemnościach, dosłownych i metaforycznych, jako że jednym z wiodących tematów „Sweet Country" jest destrukcyjna męskość, rozumiana w kategoriach podboju, ale także zaślepiającej dumy. Opowiadając o tym wszystkim, Thornton dokonuje przetasowania linearnego czasu. Krótkie, wybiegające w przeszłość lub przyszłość przebitki wskazują na nieuchronność przemocy, roztaczając nad filmem fatalistyczną aurę. Należący do białego szwarccharakteru zegarek z dewizką nabiera cię-

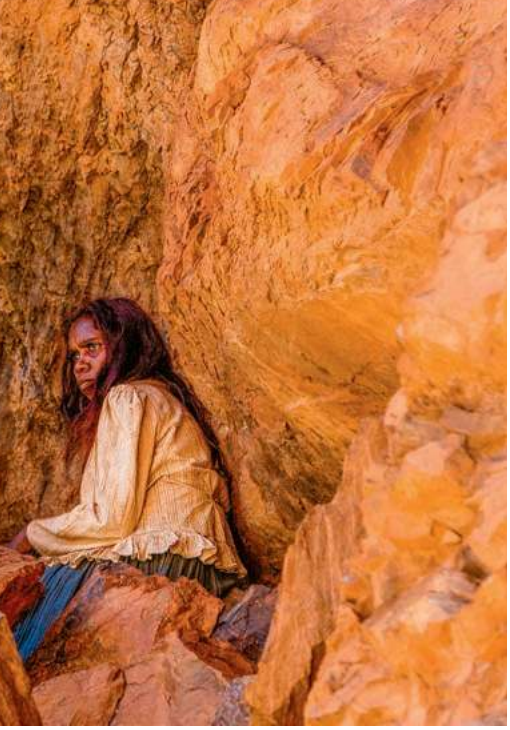

AURORA FILMS

*Kadr z filmu „Sweet Country”*

żaru symbolicznego – łańcuszek, na którym zawieszony jest czasomierz, znajduje przedłużenie w łańcuchu, którym skuty zostaje aborygeński chłopiec. Dla tubylców, wierzących od tysiącleci we własny mityczny „czas snu”, teraz biali stali się władcami tego wymiaru. Czy grając wedle ich brutalnych reguł można przywrócić dawny porządek? A może trzeba w pewnym momencie zrewidować własne zasady?

Ballada o tym, jak „czarny towar” o imieniu Sam zastrzelił w akcie samoobrony „cholernego białasa” Harry'ego i co z tego wynikło, śpiewana jest przez Thorntona na melodię Dzikiego Zachodu, osadzona w podobnie fotografowanym krajobrazie, inaczej jednak rozkłada akcenty. Australijski reżyser opowiada o relacjach władzy i rasy, odrobiwszy więcej niż jedną z amerykańskich lekcji. Przepracował nie tylko mentalne klisze, lecz także – niczym Steve McQueen w „Zniewolonym” – cały język wizualny, którym opowiadało się dotychczas o rasowej podległości. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż twórca „Sweet Country” posiada korzenie aborygeńskie – jego matka, Freda Glynn, była jedną z pionierek upowszechniania tej kultury na Antypodach. Pozwala mu to zająć pozycję z pewnością nie neutralną, ale za to daleką od panującego przez lata krzywdzącego stereotypu czy rozbrzmiewającej coraz donośniej politycznej poprawności.

Na każdym kroku daje się też odczuć jego operatorskie wykształcenie. Thornton jest absolwentem słynnej szkoły filmowej w Sydney, założonej ongiś przez Jerzego Toeplitza, i jak mało który twórca potrafi myśleć obrazami. Pejzaż staje się u niego czymś więcej niż tylko malowniczym tłem, natura na każdym kroku zaznacza swoją obecność, palące słońce zdaje się przebijać ekran na wskroś, kamera zaś przedziera się z trudem przez zgęstniałe od upału powietrze. Wielką wagę przywiązuje Thornton również do kompozycji kadru, a sposób usytuowania w nim postaci często wskazuje na hierarchiczne zależności między nimi. Istotne jest też, kto w danej chwili patrzy. W przypadku filmów traktujących o utraconej podmiotowości oddanie spojrzenia najsłabszym staje się gestem szczególnie znaczącym.

Thornton oddaje autochtonom również ich język. Jak na western przystało, problematyzuje także kwestię prawa i bezprawia – ścigany przez białego sierżanta Aborygen nosi wszak to samo nazwisko co Ned Kelly, słynny australijski bandzior, spopularyzowany m.in. przez kino. W jednej ze scen „Sweet Country” czekający na egzekucję „dzikusa” mieszkańcy miasteczka oglądają pod gołym niebem film o legendarnym awanturniku. Powiedzenie, że oto kultura popularna stała się cichym sojusznikiem niesłusznie oskarżonego, byłoby przesadą. Na pewno jednak uhonorowany Nagrodą Specjalną weneckiego jury film Thorntona z ogromną świadomością posługuje się gramatyką kina i jego ikonografią. Ten soczysty australijski western, oparty zresztą na faktach, wyraża przede wszystkim sprzeciw wobec kulturowego paternalizmu, szukając pomostów między różnymi kulturami. Oglądając „Sweet Country”, trudno wyobrazić sobie lepszy. ©

**SWEET COUNTRY** – *reż. Warwick Thornton. Prod. Australia 2017. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 15 czerwca.*

RADIO KRAKÓW

**Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.**

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
**www.radiokrakow.pl**

## WARTO ZOBACZYĆ W TV [16 – 22 VI]

### 1. Beuys. Sztuka to rewolucja

*Dokumentalny, reż. Andres Veiel, Niemcy 2017, TVP Kultura, 18 VI, 21.40*

**Próbował zrewolucjonizować współczesną sztukę twierdząc, że tworzyć może ją każdy. Portret zmarłego ponad 30 lat temu Josepha Beuysa przynosi świeże spojrzenie na jego działalność artystyczną, poglądy polityczne i osobiste doświadczenia. Twórca dokumentu postawił przede wszystkim na kolaż archiwaliów, co przyniosło kontrowersyjny efekt.**

### 2. Wesele w Gardzienicach

*Teatr TV, reż. Włodzimierz Staniewski, Polska 2018, TVP Kultura, 19 VI, 20.00*

**Dramat Stanisława Wyspiańskiego, malarstwo Jacka Malczewskiego i muzyka Zygmunta Koniecznego, a do tego mity greckie i problemy polsko-ukraińsko-żydowskie – to wszystko zobaczymy w kolejnej inscenizacji „Wesela”, dokonanej przez Ośrodek Praktyk Teatralnych Gardzienice. Przed nami transmisja na żywo tego spektaklu.**

### 3. Twój Vincent

*Animowany, reż. Dorota Kobiela, Hugh Welchman, Polska/USA/Wielka Brytania 2017, Canal+ Film, 19 VI, 20.00*

**Pierwsza pełnometrażowa animacja stworzona z namalowanych ręcznie obrazów powstawała przez siedem lat, z udziałem ponad setki malarzy. Odtwarzając okoliczności śmierci autora „Słoneczników”, twórcy ożywiają także jego wewnętrzny świat. Film otrzymał Europejską Nagrodę Filmową i nominację do Oscara.**

### 4. Serce miłości

*Dramat, reż. Łukasz Ronduda, Polska 2017, Cineman VOD*

**Robert Bolesto, scenarzysta „Ostatniej rodziny”, raz jeszcze opowiada o zatarciu granicy między życiem a sztuką. Justyna Wasilewska i Jacek Poniedziałek grają parę tkwiącą w artystycznej i emocjonalnej zależności. Pierwowzorami byli znani artyści, Zuzanna Bartoszek i Wojciech Bąkowski, którzy mieli także swój osobisty udział w powstaniu tego filmu.**

# Lektor:
## *Mała wielka książka*

▪ *Osip Mandelsztam,* **ZGIEŁK CZASU**
*Przełożył, posłowiem i komentarzami opatrzył Ryszard Przybylski. Wstęp do nowego wydania napisała Renata Lis. Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2018, ss. 280.*

Powtórne po ćwierćwieczu spotkanie z niezwykłą prozą Mandelsztama. Tytułowy „Zgiełk czasu" i związana z nim „Teodozja" oraz „Znaczek Egipski", utwory powstałe i opublikowane w latach 20. minionego wieku, są – jak pisze Ryszard Przybylski – „oryginalnym i fascynującym dyptykiem o zmierzchu carskiego imperium", stanowiącym zarazem eksperyment artystyczny, który do dzisiaj nie stracił świeżości.

O dramatycznej biografii Mandelsztama, zmarłego w 1938 r. w łagrze Wtoraja Rieczka pod Władywostokiem, pisałem tu niedawno w związku ze znakomicie przygotowaną przez Jerzego Czecha edycją wspomnień wdowy po poecie. Polskie wydanie „Zgiełku czasu", przygotowane równie starannie, ma też powikłane losy. Jak pisze Renata Lis, najpierw był przekład Ignacego Szenfelda, gotowy do druku w 1967 r. Potem Szenfeld wyemigrował, a co gorsza – zaczął pracować w rosyjskiej rozgłośni Radia Wolna Europa, więc jego nazwisko znalazło się na indeksie. Przetłumaczony na nowo przez prof. Przybylskiego, największego naszego mandelsztamoznawcę, „Zgiełk..." miał się ukazać w 1970 r. – i znów zatrzymała go cenzura, tym razem powodem był skandal wywołany ogłoszeniem na Zachodzie (nie bez udziału polskiego uczonego) wspomnianej książki Nadieżdy Mandelsztam. Trzeba było poczekać jeszcze 24 lata – a początek lat 90. nie był dla takich odkryć najlepszym czasem...

Bo to nadal jest odkrycie. Proza wyzwolona z rygorów gatunkowych, świat portretowany po zmierzchu tradycyjnej, XIX-wiecznej powieści, obraz konstruowany z fragmentów. Jakby dysharmonia gwałtownie zmieniającej się rzeczywistości domagała się radykalnej zmiany pisarskiej formuły. „Chcę śledzić stulecie, zgiełk i kiełkowanie czasu" – pisze Mandelsztam. W „Znaczku Egipskim" majaczy wprawdzie zarys fabuły, ale równocześnie spotęgowana została zasada „poetyckiej przeistaczalności materiału słownego" (Przybylski). Następstwem obrazów rządzą brawurowe asocjacje znaczeniowe i dźwiękowe, marginesy narracji wypierają jej główny nurt. Surrealistyczny poemat prozą? Jednak nie, raczej poetycka opowieść – jak tłumaczy Renata Lis – „o latach, kiedy konało Imperium Rosyjskie: o tym, jak świat najpierw dziwnie znieruchomiał, a potem nagle zaczął się chaotycznie poruszać, niczym wywikłany z pęt niebezpieczny olbrzym". ©℗

**"...z góry wiem, że to się może nie podobać. No trudno. I tak należy to zrobić."**

Stasi umieściła go na liście sześćdziesięciu najbardziej niebezpiecznych polskich opozycjonistów. W duszpasterstwach akademickich, które prowadził, tworzył przestrzeń dialogu bezcenną w czasach PRL-u. Po 1989 roku nie przestał głosić Ewangelii Wolności. Do dziś płaci za to wysoką cenę.

Odważna publicystyka **o. Ludwika Wiśniewskiego OP** pokazuje, w jaki sposób myśli człowiek wolny, wierzący, że tylko prawda nas wyzwoli.

Książka ukazała się nakładem **Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie** oraz **Wydawnictwa WAM**.

www.wsiz.rzeszow.pl

**GDZIE ZAMÓWIĆ?**
zamowienia@wydawnictwowam.pl, tel. 12 62 93 260, wydawnictwowam.pl
Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP29**
Przy zakupie od **50 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

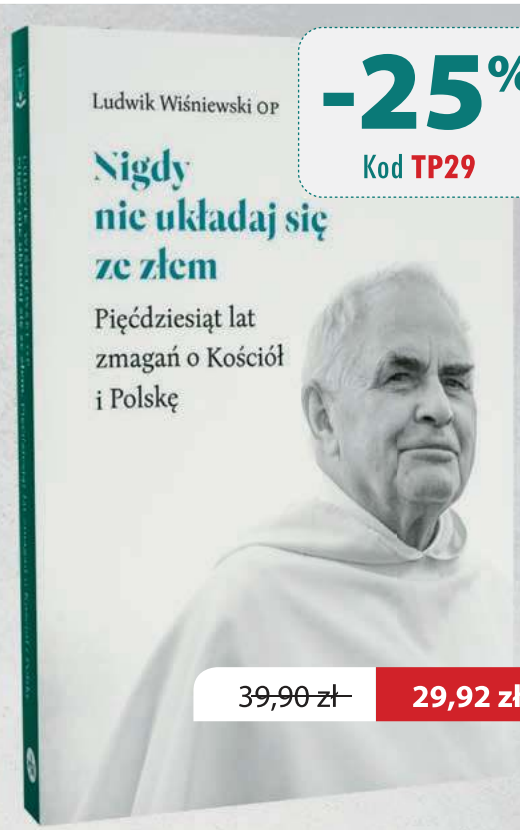


**-25%**
Kod **TP29**

~~39,90 zł~~ **29,92 zł**

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie
wydawnictwo WAM

REKLAMA

PAWEŁ

# Bravo:
## *Bourdain od kuchni*

„Wasze ciało to nie świątynia, lecz park rozrywki. Zabawcie się" – pisał Anthony Bourdain, pierw zręczny kucharz, później znakomity opowiadacz. Pisał świetne książki i kręcił filmy o jedzeniu, ujętym jako ekstremalna rozrywka, ale i bardzo poważny sposób na zrozumienie różnych kultur. Jego jazda na górskiej kolejce dobiegła końca, odebrał sobie życie w piątek 8 czerwca w zacisznym hoteliku w pewnej alzackiej, schludnej mieścinie, liczącej ledwie parę tysięcy dusz, ale aż dwie knajpy z gwiazdkami Michelin.

Zajechał tam, by nakręcić kolejny odcinek programu, w którym z równym wdziękiem zajmował się kuchnią elitarną, delikatesami dla bogaczy, jak ulicznym żarciem, sprzedawanym ze straganu skleconego ze skrzynek i kartonów po bananach (kto kiedykolwiek improwizował coś ulicznego, wie, że karton po bananach to budulec lepszy od cegły, szkła i żelbetu: jest za darmo, wytrzyma wszystko, a potem można spalić bez śladu). Na tej dwubiegunowości jego pasji zasadzał się na pewno urok i siła przyciągania – penetrował ekstremalne brzegi gastronomicznego spektrum za nas, szaraczków, którzy raczej nigdy nie będą w stanie zjeść kolacji u Ferrana Adrii, ale i nigdy nie odważą się podczas egzotycznej podróży kupić od faceta przy krawężniku tej miski jeszcze z lekka ruszających się robaków.

Urok, dodajmy, paradoksalny jak na autora, który może budzić antypatię: jego kariera i sława zaczęła się od krwistych, dosłownie, sprośnych i cynicznych opowieści o tym, jak bardzo świat restauracyjny jest *de facto* przedłużeniem miejskiego półświatka. Zaludnionego przez wykolejeńców, desperatów, nielegałów i socjopatów, tylko takie bowiem okazy są w stanie wytrzymać pracę w ciasnocie, zaduchu, oparach, wśród niebezpiecznych przedmiotów, kipiących tłuszczy, śliskich podłóg i równie śliskich odzywek współtowarzyszy niedoli.

Przyznam, że z początku knajacka poza z lekka mnie do niego zraziła: ile można wszak czytać wesołych opowieści o tym, jak piracka załoga daje czadu po pracy i traktuje z pogardą skazańców cały ten mieszczański świat po drugiej stronie wahadłowych drzwi, które są granicą między piekłem kuchni a złudzeniami sali. W przekłuwaniu balonów złudzeń był zresztą mistrzem: po jego pierwszym sławnym artykule z „New Yorkera" z 1999 r., w którym tłumaczył, dlaczego nie jada ryb w poniedziałki (bo z uwagi na logistykę zaopatrzenia jest prawie pewne, że surowiec został zakupiony w czwartek i przez trzy dni leżał w warunkach, które trudno uznać za chłodnicze), przez kilkanaście lat w nowojorskich lokalach poniedziałkowa sprzedaż ryb stanęła.

Nie kupowałem jego gloryfikacji koszarowej obyczajowości – przekonałem się, współprowadząc knajpę, w której warunki pracy zaiste przypominały kompresję łodzi podwodnej, a obsada kuchni była czysto męska, że tak wcale być nie musi. W szczytowych momentach nawału pracy chłopaki w kuchni na siebie pokrzykują, używając brzydkich słów, ale wcale nie muszą się przy tym zachowywać jak wyposzczeni katorżnicy wypuszczeni wczoraj z kamieniołomów.

Kariera Bourdaina, jak to zwykle z geniuszami bywa, była zarazem probierzem dramatycznych przemian w gustach i mentalności, ale i nie mieściła się w ich ciasnych ramach. Zdobył popularność i pozycję dzięki temu, że przed około 20 laty Zachód nagle odkrył w kucharzach i jedzeniu nowych idoli masowej kultury. Sam to swoimi pierwszymi programami podsycał, pozostał jednak łobuzem, niestroniącym od bezeceństw i używek, rozsadzał więc od środka ów wyczyszczony z seksualnych ekscesów libertynizm, którym *de facto* jest kult *foodie*.

W ostatnich latach życia związał się z włoską aktorką Asią Argento, jedną z najgłośniej zabierających głos ofiar Harveya Weinsteina. Rok temu podobnego rodzaju wstrząs przeszedł przez świat restauracyjny, kiedy wyszły na jaw gwałty, molestowanie i rutynowy seksizm uprawiany na oczach wszystkich i przez wiele lat przez kilku sławnych właścicieli knajp i „osobistości" gastrokulturalnych, w tym jednego z kumpli Bourdaina, sławnego szefa Maria Batalego. Bourdain wypowiedział się raz, krótko, ale prosto: jest po stronie kobiet, niezależnie od tego, jak bardzo mógł kiedyś lubić oskarżonych kucharzy. „Kwestia, do jakiego stopnia moja książka »Kill Grill« sławiła i podtrzymywała kulturę pozwalającą na tego rodzaju haniebne zachowania, to jest coś, o czym myślę codziennie, z wyrzutami sumienia".

Biorę to za dobrą monetę, bo chciałbym dalej faceta lubić za to wszystko, co zrobił, by propagować porządne jedzenie i ciekawość smaków. Niezależnie od powodów znanych tylko jemu, dla jakich wybrał sobie ten moment na umieranie, można powiedzieć, że w tej części życia, jaką pokazał nam bez nadmiernego makijażu, możemy znaleźć odbicie kolosalnej drogi, którą przebyła gastronomia w naszej codzienności. Nie wymyślił żadnego dania noszącego jego imię – zawsze traktował siebie jako rzemieślnika, nie artystę – ale ostatnie 20 lat w kuchni jako instytucji kultury można spokojnie nazwać epoką Bourdaina. ©℗

FAIRFAX MEDIA / GETTY IMAGES

# MISTRZOSTWA ŚWIATA DLA OPORNYCH

Przez najbliższy miesiąc będziemy – jak to się mówi – żyć mundialem. A co z tymi, którym futbol jest obojętny lub wręcz go nie lubią? Którym nasze namiętności wydają się śmieszne i prymitywne?

DARIUSZ KOSIŃSKI

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

*Na Stadionie Narodowym, Warszawa, 2012 r.*

Nie śledzę statystyk piłkarskich, nie interesuję się szczególnie bieżącymi rozgrywkami, a najbardziej regularną czynnością związaną z futbolem, jaką wykonuję, jest cotygodniowe sprawdzanie wyników drużyny NKP Podhale Nowy Targ. Jej stadion znajduje się tak blisko naszego domu, że gdy miejscowa żyleta (zważywszy na rozmiary: raczej żyletka) zaczyna skandować „Le-le Pod-ha-le!", to nie musimy nawet otwierać okien, by wiedzieć, że mecz się zaczął. Namiętność do piłki towarzyszy mi jednak od dawna. Miałem to szczęście, że w świat (nie tylko sportu) wchodziłem świadomie wraz z największymi sukcesami orłów Górskiego na początku lat 70. Kilka kolejnych mistrzostw wyznaczało ważne etapy w moim życiu. I choć dziś już tak nie jest, a ostatnie mundiale zlewają mi się i mylą, to wciąż czekam na kolejne i uwielbiam, gdy mecz mnie wciągnie. Te dwa razy po 45 minut potrafią nadać rzeczywistości wyrazisty kształt i dramaturgię. Właściwie dlaczego?

### Emocje sięgają zenitu

Oczywiście wiele elementów tej dramaturgii, wiele wspierających ją więzi emocjonalnych jest wytwarzanych poza samymi zawodami. Tak jest przede wszystkim ze wspieraniem Naszych, kimkolwiek owi nasi by byli. Gdy gra narodowa reprezentacja, nawet ludzie tak obojętni na sport jak moja mama włączają transmisję. Reprezentacja gra jednak stosunkowo rzadko – przez mundialowy miesiąc zobaczymy ją na pewno trzy, może cztery razy, a jeśli pójdzie wspaniale, to maksymalnie siedem. A wszystkich meczów podczas mistrzostw jest 64! Co z tymi pięćdziesięcioma kilkoma? Czy są tylko dla znawców i fanatyków?

W moim przekonaniu i doświadczeniu – nie. Potencjał dramaturgii piłkarskiej polega na tym, że jej siła ma charakter immanentny. Nie jest prawdą, że emocje są tu generowane wyłącznie przez rozbudowaną machinę marketingową, że stanowią produkt dodany do zawodów. Piłka nożna to widowisko dramatyczne, którego podstawowe zasady i sposób rozgrywania sprzyjają wytworzeniu narastającego i wciągającego napięcia. Oznacza to, że nawet osoby obojętne, jeśli dadzą futbolowi szansę, mogą doświadczyć związanych z przeżyciem meczu przyjemności, wcale nie tak bardzo różnych od przyjemności oferowanych przez inne przedstawienia, od teatralnych po seriale.

Wymaga to – jak w przypadku wszystkich widowisk – odrobiny dobrej woli, trochę cierpliwości, czasu i uwagi. Dramaturgia meczu piłki nożnej nie jest dramaturgią natychmiastowego efektu. W odróżnieniu od koszykówki, siatkówki czy piłki ręcznej efekt w postaci zdobycia punktu zazwyczaj wypracowuje się długo, a na dodatek nigdy nie ma (jak w siatkówce czy w tenisie) gwarancji jego zdobycia. Mecz może zakończyć się wynikiem bezbramkowym – co wcale nie znaczy, że musi być nudny. Rytm zawodów piłkarskich oparty jest na nieproporcjonalnej relacji przygotowań do rozstrzygającego działania. Jest więc zgodny ze wzorcem dramaturgii obowiązującym w większości gatunków dramatycznych stworzonych w Europie i stąd wyeksportowanych na cały świat.

Jak przygotowania Hamleta do zemsty na ojczymie i jak zabiegi Franka Underwooda o przejęcie władzy, tak budowanie skutecznej akcji piłkarskiej trwa stosunkowo długo w zestawieniu z samym decydującym działaniem. I tak jak w tragedii Szekspira czy serialu Netfliksa przyjemność pierwszego stopnia polega na wypełnionym suspensem oglądaniu, jak rozwija się intryga, jak pokonywane lub nie zostają przeszkody na drodze bohatera. Stopniowo rozwijana akcja wciąga nie dlatego, że przynosi szybki efekt, ale właśnie dlatego, że jest on odkładany w czasie.

### Całkowite zaskoczenie

W piłce nożnej – odmiennie niż w teatrze czy serialu – ten mechanizm suspensu współdziała z nieprzewidywalnością sceny oczekiwanej, czyli akcji zakończonej zdobyciem bramki lub innego rodzaju kulminacji (np. parady bramkarskiej, szczególnie efektownego zagrania czy choćby brutalnego faulu). Dramaturgia kreacji artystycznych rządzi się pewnymi stałymi prawami, popadającymi z czasem w schematy, których szybko się uczymy, żeby czerpać satysfakcję z ich perfekcyjnego wypełnienia albo zaskakującego przekroczenia. W obu przypadkach obowiązuje jednak zasada, że określone wydarzenia zajdą w dającym się przewidzieć momencie, nawet jeśli (na tym właśnie polega suspens) to przewidywanie zostanie w ostatniej chwili zawiedzione dla wzmożenia napięcia.

W piłce jest inaczej: napięcie budowane przez kolejne przygotowania i próby może zostać rozładowane nagle i bardzo szybko ↦

↦ – niespodziewany kontratak, zaskakujący strzał z daleka, szokujący kiks obrońcy mogą w jednej chwili przeciąć dramaturgię suspensu, wystawiając coś, co teatr, film i seriale osiągają rzadko i za cenę wielkiego wysiłku – efekt zaskoczenia.

Nieprzewidywalność to drugi obok suspensu filar dramaturgii meczu piłki nożnej, przeciwstawny i zarazem wspierający tamten. O ile stosunkowo długie oczekiwanie na kulminację budzi napięcie, o tyle możliwość jej zajścia w każdej chwili nie pozwala na zmniejszenie uwagi, jednocześnie mając moc natychmiastowego unieważniania wysiłków wypełniających znaczną część dramatu. To chwyt, który z wielkim powodzeniem zastosowali jako innowacyjny twórcy „Gry o tron": bardzo długo opowiadają o jakiejś postaci, budują więź między nią a nami, prowadzą ją w taki sposób, że wydaje się jednym z głównych bohaterów. I gdy jesteśmy już pewni, że Rob Stark zostanie z nami na kilka sezonów, niespodziewanie zostaje zdradzony i zgładzony, a my w szoku nie możemy uwierzyć w to, co się stało.

„To niewiarygodne! Niesamowite!" – krzyczą komentatorzy sportowi, gdy w czasie meczu wydarzy sie taki nagły zwrot akcji. A zaraz potem dodają zazwyczaj: „na tym właśnie polega piękno piłki nożnej". I mają rację! Piękno piłki nożnej, które w tym momencie zbliża się do porażającego piękna greckiej tragedii, polega właśnie na tym, że trwające długo wysiłki mogą zostać w każdej chwili zniweczone, a los (nazwa używana tu w pełni świadomie i jak najsłuszniej) zawsze może się odwrócić. Dokonuje się to nie przez wyrafinowaną kompozycję, układ fabuły, ale przez niepoddawany do końca niczyjej kontroli przebieg wypadków, który wszak uznawany jest za fundament akcji rzeczywistej. Paradoks sportu polega na tym, że w ustanowionych sztucznie ramach, zgodnie z ustanowionymi sztucznie zasadami i bez zrywania widowiska, możliwa, zakładana i pożądana jest interwencja przypadku. Rzeczywistość nie jest tu usunięta poza ramy fikcji, ale wprowadzona w nią jako jej największa siła.

**Piękno futbolu, jak piękno greckiej tragedii,** polega na tym, że trwające długo wysiłki mogą zostać w każdej chwili zniweczone. Los (nazwa używana w pełni świadomie) zawsze może się odwrócić.

### Co za widowisko!

Ta piłkarska rzeczywistość jest też – to kolejna bardzo ważna rzecz – dana do zdystansowanej obserwacji. W przypadku meczu piłkarskiego dramaturgię czasową wspiera bowiem w sposób doskonały przestrzenne ukształtowanie widowiska. Rozmiary boiska, a także zasada ograniczonego kontaktu i zakaz podawania piłki ręką, sprawiają, że działania zawodników są przed nami klarownie rozłożone. Możemy obserwować wszystkie zawiązujące się intrygi, całą strategiczną grę związaną z zajmowaniem i zmianą miejsca. Podziwać sprawność, z jaką zdobywane są kolejne metry murawy, i skuteczność rozłożenia szyków obronnych. Wiemy, kto i kiedy wychodzi na pozycje nawet wtedy, gdy wyjście to nie zostaje zauważone („miał tam przecież nieobstawionego!"). Na dodatek patrzymy na to zazwyczaj z góry, z perspektywy zarezerwowanej dla dowódców armii, ptaków i bogów. Obraz jest zaiste homerycki: siedząc na Olimpie przed ekranem widzimy wszystko, a najważniejsze, że widzimy to, czego nie widzą sami aktorzy widowiska.

Na przykład widzimy, kto jest na spalonym. Legendarne żarty wokół tego elementu piłkarskich zasad nie zmieniają faktu, że jego znaczenie wiąże się z rozstrzygnięciem na temat rzeczywistości. „Był czy nie był (spalony)?" – to przecież pytanie ontologiczne. A odpowiedź na nie (co zaiste konstatuję z satysfakcją) jest performatyczna: spalony był wtedy, gdy zadecyduje o tym sędzia. Nieodgwizdany spalony (tak jak nieodgwizdany faul) nie istnieje, bo nie może skutecznie oddziaływać na rzeczywistość meczu. Jeśli zaś my dostrzegliśmy go, to przeciwną naszemu widzeniu decyzję sędziego odczuwamy jako szczególną niesprawiedliwość, wkraczając w ten sposób w kolejny podstawowy konflikt dramatyczny między widzeniem/doświadczeniem a sądzeniem/uznawaniem za istniejące. George Berkeley w geście tryumfu podnosi w górę szalik (zapewne zielony, wszak urodził się w Irlandii).

Mówiąc wprost: mecz piłkarski to widowisko filozoficzne, które poprzez jednocześnie skonstruowane i nieprzewidywalne działania wciąga nas w emocjonalne (a nie intelektualne!) przeżywanie i poznawanie podstawowych zasad życia, jakie w tej części świata urządziliśmy sobie już dawno temu. Można oczywiście powiedzieć, że nastawienie na cel (ang. *goal*) i sukces to model kapitalistyczny albo – szerzej – zachodni, który unieszczęśliwił i unieszczęśliwia wielu, i z tych pozycji odrzucić piłkę nożną jako jego kulturową sytnezę. Nawet wtedy jednak piłka zachowuje swoją wartość poznawczą, bo w sposób bezpieczny, stosunkowo mało czasochłonny, a zarazem niezwykle silny pozwala doświadczyć tego teleologicznego mechanizmu i emocji związanych z sukcesem i porażką.

Powiedziałbym nawet, że tak jak tragedia grecka wywoływała *katharsis* i uwalniała od napięć związanych z litością i trwogą, tak piłka nożna uwalnia od napięć związanych z ideologią sukcesu i porażki, pozwalając je przeżywać poprzez wydelegowanych do tego zastępców. Więcej jeszcze: o ile dziś nie mamy dostępu do mechanizmów tragicznych, a z tych wielkich i niezwykłych przedstawień zostały nam tylko ich scenariusze, które przekuliśmy na eksponaty filologiczne, to futbol przeprowadza nas siłą samej swojej dramaturgii przez proces analogiczny do tragicznego, tylko osadzony w naszej kulturze, naszych wyobrażeniach i naszych zupełnie nie starożytnych ciałach.

### Szkoda, że państwo tego nie widzieli

A co, jeśli ta dramaturgia nie działa i wciąż widać tylko 22 facetów goniących przez długie minuty za skórzanym przedmiotem? Jeśli dystans, który odczuwasz, nie jest tym pełnym napięcia i wiodącym do poznania dystansem zaangażowanego widza, ale po prostu – wynikiem niechęci, obojętności i znudzenia? Czy wtedy pozostaje ci tylko zostać popsujzabawą albo wyjść ze wspólnego pokoju, by zaszyć się u siebie z poczuciem nieprzynależności, osamotnienia lub buntu? Nie, Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko! Jesteście przecież ludźmi inteligentnymi, interesującymi się światem dokoła i z pasją analizującymi jego najważniejsze elementy. Jesteście świadomi społecznego i politycznego znaczenia zjawisk, które nie należą do Waszych ulubionych, zajmujecie się analizą nawet tych z nich, które są Wam wrogie. Piłka nożna nie interesuje Was jako sport

czy widowisko? W porządku. Ale przyznacie, że stanowi dziś jeden z najważniejszych elementów globalnego świata, siłę niepodlegającą kontroli, a wpływającą na życie milionów ludzi, ukrywającą na dodatek ten wpływ pod maską rozrywki i zabawy, gry – a więc jak uczyli naiwni klasycy ludologii, z Johanem Huizingą na czele – działalności bezproduktywnej i swobodnej. Jeśli się z tym zgodzicie, to właśnie Wy powinniście się przyglądać piłce nożnej bardzo uważnie, bo w niej możecie zobaczyć umykające opisowi zjawiska decydujące o kształcie dzisiejszego świata.

I nie mówię tylko o analizie mechanizmu instytucjonalno-organizacyjnego, zaiste bardzo podejrzanego i stanowiącego wzór współczesnej korporacji globalnej, działającej ponad i poza prawami krajowymi i międzynarodowymi, a odgrywającej na oczach świata spektakl rzekomej procedury demokratycznej. Wasze niezaangażowanie, a nawet niechęć są potrzebne, by zobaczyć to, co także stanowi o znaczeniu i wadze widowisk piłkarskich, a co wciągniętym w mechanizm emocjonalnego przeżycia i poznania zazwyczaj umyka. To inne spojrzenie, na które szukając swojej przyjemności nie mam może wielkiej ochoty, wolę pozostawić Wam – niechętnym, prosząc jednak pokornie, by było to spojrzenie, a nie obrót wytartymi stereotypami. Siądźcie z nami i obserwujcie. Niekoniecznie komentujcie w trakcie. Ale po meczu z pewnością chętnie posłucham, co zobaczyliście.

### Męskie ciało

Podejrzewam, że jedną z pierwszych rzeczy – zwłaszcza u Czytelniczek – może być powiązanie meczy piłkarskich ze schematami męskiej płci kulturowej. Już sama dramaturgia długiego przygotowania i nagłego wyładowania napięcia przypomina jako żywo feministyczne analizy różnic płciowych, odwołujące się do odmiennych sposobów przeżywania rozkoszy. A to przecież tylko początek. Kult męskich ciał realizujących wzorce zarówno klasyczne („boski Cristiano"), jak i modernistyczne („wieczny chłopiec" Lionel) czy postmodernistyczne (José Mourinho), który dopełniają maczystowskie zachowania fanów i seksualizacja kobiet partnerujących tak zawodnikom (WAGS, czyli żony i dziewczyny gwiazd futbolu), jak i kibicom (czy trzeba przypominać *casus* Natalii Siwiec?) – to wszystko wręcz oczywiste elementy tego sportu jako tworu kultury podtrzymującej i umacniającej tradycyjne męskie wzorce genderowe – często mizoginistyczne, agresywne i przemocowe.

Zauważysz to więc, Droga Krytyczko, i choć wielu kibiców obrzuci Cię za to błotem, to ci z nas, którym wcale nie w smak podtrzymywanie tych schematów, staną przed niełatwym problemem: czy inna, niemizoginistyczna, niepatriarchalna, nieprzemocowo męska piłka jest możliwa? Czy to futbol generuje te wzorce, czy też owe wzorce obrały sobie go jako skuteczne narzędzie samoregeneracji, w efekcie doprowadzając do kibolizacji życia zbiorowego, którą w Polsce obserwujemy na każdym kroku? I co powinniśmy z tym zrobić? Wyrzec się piłki czy walczyć o jej przekształcenie?

### Nie tylko gra

Obserwując mundial bardzo szybko zauważycie też, że futbol podtrzymuje i umacnia agresywną formę dumy narodowej, bez trudu przechodzącej w zachowania nacjonalistyczne i wrogie wobec przedstawicieli innych nacji. Można oczywiście twierdzić, jak czyni wielu, że mundial to wojna zastępcza i lepiej jest, gdy międzynarodowa rywalizacja toczy się na stadionach niż na polach bitew, ale to argument o tyle słaby, że podziały na reprezentacje narodowe (nie zawsze zgodne z przynależnością państwową – *vide* moje ulubione Wyspy Owcze) podtrzymują XIX-wieczny z ducha dyskurs nacjonalistyczny i powrotnie zarażają nim życie społeczne, podobno funkcjonujące od dawna na poziomie ponadnarodowych powiązań i sojuszy. Rzeczywistość mundialowej reprezentacji świata jest odmienna od tego, co ów świat na własny temat opowiada. I obawiam się, że to gorzej dla świata.

Jesteście przenikliwymi i uważnymi obserwatorami rzeczywistości, więc z pewnością dostrzeżecie też wiele innych zjawisk, procesów i mikroprzedstawień, także takich, które nie przychodzą mi do głowy (tych jestem najbardziej ciekaw). Warunek, by to uczynić, jest prosty – popatrzcie uważnie i bez uprzedzeń, tak jak zwykliście patrzeć na inne elementy rzeczywistości. Nie lekceważcie piłki.

Nie dajcie się jej przekonać, że to „tylko gra" albo rozrywka „po godzinach". Ale też jej nie demonizujcie i nawet jeśli nie wciąga Was jej emocjonalny mechanizm, to spróbujcie zrozumieć, czemu mu ulegamy, albo przynajmniej wyjaśnić, czemu na Was nie działa.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

?

JAK GEOMETRIA KSZTAŁTUJE LINIĘ POMOCY FC BARCELONY?
NA ILE WYNIK MECZU ZALEŻY OD PRZYPADKU?
JAK TEORIA PRAWDOPODOBIEŃSTWA MOŻE CI POMÓC U BUKMACHERA?

RABAT 40%
KOD: TPM40

Copernicus Center PRESS
WYDAJEMY DO MYŚLENIA

Zamówienia www.ccpress.pl | zamowienia@ccpress.pl tel. 12 448 14 12 | Przy zamówieniu prosimy podać kod: TPM40

# Portret piłkarza w czasach młodości

ŁUKASZ WIŚNIOWSKI, DZIENNIKARZ SPORTOWY:

**Obecni reprezentanci Polski to pokolenie „chcę więcej", więc sam udział w mundialu ich nie zadowoli. Od poprzednich generacji różnią się też tym, że pracują na dwóch etatach: piłkarzy i atletów.**

**PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Proszę o jedno: nie odpowiadaj na pytania tak, jak to robi na konferencjach Adam Nawałka.**

**ŁUKASZ WIŚNIOWSKI:** (*śmiech*) Z tym nie będzie problemu. Mam za sobą dziennikarski staż.

**Więc wiesz, jak mówić konkretnie i ciekawie. Pracujesz dla Polskiego Związku Piłki Nożnej, dbając o wizerunek reprezentacji: tworzysz serwis internetowy Łączy Nas Piłka z jego flagowymi filmikami pokazującymi kadrę od kulis. No i dmuchasz w narodowy balon.**

Nie dmucham. A na zjawisko „pompowania balona" patrzę tak: mamy w Polsce specyficzny profil kibica. Bardzo przeciętna liga sprawia, że niewielu piłkarskich fanów żyje futbolem na co dzień.

Byłem kiedyś w Sewilli, gdzie grał nasz piłkarz Grzegorz Krychowiak. Pamiętam scenę z meczu Pucharu Hiszpanii: obrońca jednej z drużyn jest pod presją napastnika, i umiejętnie podaje piłkę do własnego bramkarza. A na trybunach brawa!

W Polsce kibice by pewnie krzyczeli: „Graj do przodu!".

**Mamy „30 milionów selekcjonerów", ale z rozedrganymi emocjami i ograniczonymi kompetencjami?**

Powiem tak: kibicujemy głównie barwom narodowym, przez co jesteśmy bardziej podatni na „pompowanie balona".

Ale na ŁNP nie używamy narzędzi, które takie pompowanie definiują: np. krzykliwych tytułów. Mieliśmy filmiki z szatni reprezentacji, na których Robert Lewandowski odziany jedynie w ręcznik śpiewał albo witał się z prezydentem. Moglibyśmy dać tytuł „Nagi Lewandowski śpiewa!". Ale tego nie robimy. Nigdy też nie dmuchaliśmy balona w znaczeniu rozbudzania oczekiwań wobec reprezentacji.

Jeśli już, to promujemy poszczególnych graczy. Inna scena: zgrupowanie w Arłamowie przed Euro 2016, nasz bramkarz Wojtek Szczęsny idzie na trening, a mały chłopiec krzyczy: „Szczena, podpisz mi się!". Wojtek skonsternowany: „Co za niekulturalny gówniarz!". „Szczena – mówię do Wojtka, bo faktycznie jest tak nazywany – dla tego chłopca jesteś bohaterem serialu wyświetlanego na ŁNP, musisz mu wybaczyć".

**Tych bohaterów sam tworzysz. Jesteś PR-owcem czy dziennikarzem?**

Myślę o sobie jako reporterze. Uwielbiam rozmawiać z ludźmi, poznawać świat. A równocześnie bywam zapraszany na konferencje PR-owe. Odmawiam, odpowiadając, że nie mam teoretycznej wiedzy na ten temat. Ani praktyki. Nigdy nie myślimy: „O cholera, Lewandowski miał ostatnio gorszy wizerunek, musimy go odbudować".

**Dziennikarze sportowi zazdroszczą Wam, że jesteście w samym środku tego świata dzięki legitymacjom PZPN?**

Słyszałem takie głosy. Zawsze odpowiadam, że nasze materiały mogą twórczo wykorzystywać, rozwijać.

**Ale nikt nie wejdzie do pokoju Lewandowskiego tuż po kontuzji, by sfilmować dziurę w jego goleni, i by zapytać, jak się czuje.**

Skoro „nikt nie wejdzie", to dlaczego nam tego odmawiać? Zresztą dziennikarze nie próbowali specjalnie intensywnie wchodzić za kulisy, zanim powstał kanał ŁNP. Częściowo dlatego, że nie byli tam wpuszczani. My jesteśmy, więc próbujemy ten świat pokazać.

**Wejdźmy w ten świat, próbując oddzielić zawartość od „opakowania". Dziesiąte miejsce polskiej reprezentacji w rankingu FIFA – rzeczywistość czy fikcja?**

Blisko rzeczywistości: jesteśmy gdzieś w drugiej dziesiątce.

**Lista piłkarzy z europejskiego topu: Szczęsny, Piszczek, Glik, Lewandowski. Tyle?**

Nie zapominałbym o bramkarzu Łukaszu Fabiańskim, który mógłby grać w najlepszych angielskich klubach. A także o Miliku i Zielińskim, którzy grają w jednym z najlepszych włoskich.

**Mentalność, psychika. Nie pękają?**

Nie pękają, i na pewno na mundialu też nie pękną. Kiedy tuż przed historycznym, wygranym meczem z Niemcami w 2014 r. Krychowiak ze Szczęsnym robili sobie na konferencji prasowej jaja, wielu dziennikarzy mówiło: „To za poważny mecz na takie żarty!". A oni wyszli na boisko i pokazali, że jest odwrotnie: potrafią się kapitalnie uwolnić od presji.

**Generacja bez kompleksów?**

Pokolenie „chcę więcej". To hasło zapożyczyliśmy po Euro 2016 od dziennikarza Andrzeja Twarowskiego, i uczyniliśmy zeń tytuł filmu pokazującego reprezentację we Francji. Dobrze opisuje tę drużynę: po awansie do Euro była wielka euforia, po kwalifikacji do MŚ już takiej fety nie było.

**Co było?**

Odbicie kart po ośmiu godzinach w biurze. Chłopcy potraktowali ten awans jako coś normalnego.

**W czym jeszcze to pokolenie jest inne?**

W tym, że jego przedstawiciele pracują na dwóch etatach: piłkarza i atlety. Arsen Wenger, legendarny trener Arsenalu, zapytany został, co się zmieniło w związku z przyjściem nowej generacji piłkarzy. Wszyscy myśleli, że wspomni o telefonach komórkowych i technologii, a on powiedział: „Najbardziej zmieniły się klatki piersiowe". To widać też po naszych piłkarzach. Są atletami.

TOMASZ RADZIK / EAST NEWS

*Grzegorz Krychowiak, Robert Lewandowski, Wojciech Szczęsny i Łukasz Teodorczyk, Arłamów, maj 2018 r.*

**Profesjonalni, unikający imprez i „śmieciowego" jedzenia. To prawda?**

Prawda, ale to tylko element szerszego zjawiska: dzisiejszy piłkarz jest inteligentny, a boisko jest dla niego czymś więcej niż polem strzelania bramek. Jeśli ktoś jest tylko zdolny motorycznie i technicznie, ale nie ogarnia meandrów taktyki, to sobie nie poradzi. Podobnie nie poradzi sobie, jeśli nie będzie się dobrze prowadził, wypoczywał, odżywiał.

**Piłkarze dbają o dietę, ale swoją. Co ci mówi ten zestaw: cola, chipsy, napój energetyczny, parówki?**

Mówisz o reklamach.

**Gdyby kibic żywił się tylko produktami promowanymi przez reprezentację i trenera, mógłby dostać perforacji żołądka. Hipokryzja?**

Nie, bo nie jest przecież tak, że Lewandowski czy Błaszczykowski nigdy nie zjedli chipsa albo nie wypili szklanki coli.

A używając argumentu z innego porządku: życie piłkarza jest bardzo krótkie. Reklamy to pieniądze na zabezpieczenie przyszłości.

**Np. pieniądze od firm bukmacherskich.**

Reprezentacja jest partnerem zakładu bukmacherskiego, ale żaden czynny piłkarz nie jest zaangażowany w reklamowanie hazardu.

**Gdyby był, uznałbyś to za przekroczenie?**

Uznałbym to za rzecz do dyskusji.

**Czyli Zbigniew Boniek reklamujący taką firmę to rzecz do dyskusji?**

Prezes nie jest czynnym piłkarzem. A zobowiązania reklamowe wobec jednej z firm zaciągnął, gdy nie był szefem PZPN. Aktualnie nie jest „twarzą" żadnej marki bukmacherskiej. Nie ma co ukrywać, że z kibicowaniem jest związane obstawianie wyników, podobnie jak związana z nim jest konsumpcja piwa. I jeszcze jedno: partnerem reprezentacji jest legalny bukmacher, co o tyle ważne, że na polskim rynku działają też ci nielegalni. Możemy więc to potraktować jako promowanie dobrych praktyk.

**Kolejny element wizerunku: uśmiech i optymizm. Jak jest kontuzja, to „nic poważnego", jak jest coś poważnego, to „wrócę jeszcze silniejszy". Pokazujecie tylko radosną twarz futbolu.**

Nie zgadzam się. Gdy Arek Milik zerwał więzadła, co oznaczało wielomiesięczną pauzę, to pokazaliśmy go płaczącego.

Swoją drogą, czy naprawdę uważasz, że topowy piłkarz, gracz obecnej reprezentacji, ma wiele powodów do smutku?

**Może czasami ma, tylko wtedy nie idzie za nim Wasza kamera?**

Jak jesteś w grupie, zwłaszcza w grupie ambitnych sportowców, to słabości zostawiasz w pokoju. Tak po prostu jest, to również część prawdy o sporcie.

**Ale to też świat zazdrości, rozpaczy, depresji. O płaczącym Zielińskim w przerwie meczu na Euro 2016 nie dowiedzieliśmy się od Was. Nie wy poinformowaliście o aferze alkoholowej w kadrze już po Euro.**

Ale to, że Zielińskiego pocieszał Lewandowski, pokazała nasza kamera. Nie było u nas wielu takich scen, bo też za kadencji Adama Nawałki nie było wielu powodów do smutku.

↦ Choć zgodziłbym się z ogólnym stwierdzeniem, że podobne obrazy trudno uchwycić w atmosferze familiarności, jaka panuje w tej reprezentacji, również na linii piłkarze–reporterzy ŁNP.

**Usłyszałeś kiedykolwiek od piłkarza: „Wiśnia, wytnij to”?**

Takiej sytuacji nie pamiętam. Pamiętam inną: że sam coś wyciąłem.

**Przykład?**

Piłkarz X wypowiada nieparlamentarne słowo.

**Ale takie słowa to nieodłączna część rzeczywistości szatni!**

Tyle że w naszym przypadku chodzi też o odpowiedzialność za odbiorcę. Nasze materiały są ogólnodostępne, oglądane przez ludzi młodych. I wykorzystywane przez media oraz internautów. Wyobraź sobie, jak łatwo by było zmanipulować taki fragment z przekleństwami.

**Jest też druga strona tej odpowiedzialności: może kreujecie pozbawiony kantów wizerunek piłkarza, który dla wielu młodych wyda się niedościgły?**

Mitologizacja piłkarza, czyli pokazywanie go przez pryzmat samochodu i willi z basenem, to rzeczywiście częste zjawisko. Ale celują w tym media plotkarskie. My pokazujemy coś przeciwnego, np. ciężką pracę. Na boisku, siłowni. Nasz przekaz jest następujący: tylko jeśli będziesz ciężko pracował, możesz dostać nagrodę.

Ktoś może powiedzieć, że te nasze filmiki to „zabawa dla gimbazy”. A ja kiedyś spotkałem trenera czwartoligowej drużyny, który powiedział mi, że gdy piłkarze widzą leżącego na stole do masażu Kamila Grosickiego, który ma niesłychanie rozbudowane mięśnie nóg, to od razu idą na siłownię! Takich scen: potu, wysiłku, jest u nas dużo.

Ale oszukiwalibyśmy odbiorcę, gdybyśmy pokazywali tylko to.

**Więc pokazujecie głównie śmiech i żarty.**

Bo drużyna piłkarska żyje z szydery! To też część prawdy o niej.

**Współczesny piłkarz kontroluje swój wizerunek. Rzadziej niż kiedyś pozwala sobie na lekceważenie dziennikarzy, ale jak już z nimi rozmawia, to zwykle „na okrągło”...**

To dla nich bufor bezpieczeństwa. Było wielu, którzy udzielali szczerych wywiadów, a potem ich słowa zostały albo źle zrozumiane, albo zmanipulowane.

Ale spójrz na to inaczej: właśnie to pokolenie piłkarzy mogłoby sobie pozwolić na życie bez mediów tradycyjnych. Mają kanał ŁNP i media społecznościowe, za pomocą których mogliby sami komunikować się z kibicami. A jednak chętnie rozmawiają z dziennikarzami.

**Weźmy na warsztat trenera Nawałkę. Czasami odnoszę wrażenie, że Wy – dziennikarze sportowi – go zmitologizowaliście.**

Do nas akurat kieruje się zarzut odwrotny: dlaczego tak mało go pokazujecie?

**To niepokazywanie też jest częścią mitu: pracujący po nocach tytan, który nie ma nawet czasu, by stanąć przed kamerą.**

To akurat prawda!

**Ale czy ten obraz nie jest nadmiarowy? Nawet z wyciągnięcia w przerwie meczu na Euro 2016 karimat dla piłkarzy uczyniono symbol: Nawałki-detalisty.**

Dla mnie to było jedynie ciekawostką. Ale znowu: on faktycznie jest detalistą!

**Pamiętam jedną z niewielu scen z Nawałką na ŁNP. Piłkarze i trener wychodzą na płytę boiska w pierwszym meczu po kontuzji Milika. Mają koszulki z napisem: „Arek, czekamy na ciebie!”. Trener pokazuje do kamery uniesiony w górę kciuk. A potem patrzy na ten swój kciuk, czy go dobrze trzyma... Trener nie rozmawia z mediami, bo nienawidzi sytuacji, których nie może kontrolować?**

Gdyby tak było, to by nie został trenerem. Szkoleniowiec stoi przecież przy linii przez 90 minut, przyglądając się czemuś, na co ma ograniczony wpływ. Ale częściowo się zgadzam: trener Nawałka lubi mieć możliwie dużo pod kontrolą. To jednak w zarządzaniu grupą cecha pozytywna.

**Słyszałeś kiedyś, by jakiś dziennikarz sportowy skrytykował fundamentalnie Nawałkę?**

Być może on i piłkarze nie zasłużyli na fundamentalną krytykę, skoro drużyna wygrywa, a ponad 90 proc. decyzji trenera się broni?

Kiedyś zapytano Ronaldo, co takiego robi legendarny trener José Mourinho, czego nie robią inni trenerzy. Odpowiedział: robi to samo, tylko poświęca na to dziesięć razy więcej czasu.

**Co takiego robi Nawałka, czego nie robili jego poprzednicy?**

Odpowiedź jak wyżej (*śmiech*).

On ma etos pracy, z jakim nigdy wcześniej się nie spotkałem.

Zapamiętałem taką scenę z nieformalnej rozmowy trenera z grupką dziennikarzy. Jeden z nich pyta, dlaczego nie jest powoływany piłkarz X. A trener zwraca się do dziennikarza: „Ile jego meczów pan obejrzał?”. Na co dziennikarz milknie, bo wie, że za sztabem Nawałki stoi analiza dziesiątek występów każdego zawodnika.

**Jeden z poprzednich selekcjonerów mawiał, że do przetestowania piłkarza wystarczy mu obejrzenie, jak zawodnik wchodzi po schodach...**

No właśnie... Jest też i drugi element charakterystyczny dla Nawałki: jego

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

**ŁUKASZ WIŚNIOWSKI** jest od 2012 r. reporterem serwisu internetowego Łączy Nas Piłka. Wcześniej pracował w telewizji Orange Sport.

Gdy czwartoligowcy widzą leżącego na stole do masażu Kamila Grosickiego, który ma niesłychanie rozbudowane mięśnie nóg, **to od razu idą na siłownię!**

warsztat psychologiczny, niezależnie od tego, że piłkarze mają też swoich psychologów.

Rzecz trzecia: intuicja. Ma „czuja” do ludzi, do piłkarzy.

No i jeszcze jedno: ma szczęście.

**Co dla Ciebie znaczy hasło „Łączy Nas Piłka”? Piłkarska reprezentacja to ostatni narodowy zwornik?**

Mieliśmy w Juracie spotkanie z prezydentem Dudą. Piłkarze robili sobie zdjęcia. A ja tak sobie stoję i myślę: „Kurczę, zaraz to powrzucają do sieci, i zacznie się hejt”. Albo z prawej strony, albo z lewej – ktoś na pewno będzie niezadowolony.

Powrzucali. Ale żadnego hejtu nie było.

**Piłkarze, trener, prezes nie mają poglądów czy specjalnie unikają ich ujawniania?**

Jedni nie mają, inni mają, ale ich nie wyrażają. Cieszę się, że ten okręt – być może jako jeden z ostatnich w Polsce – nie został jeszcze przez nikogo zawłaszczony albo podzielony.

**Reprezentacja nas łączy, ale może też usypia? Żyjemy w rzeczywistości piłkarskiej dość upiornej: słabej ligi i rządzących klubami kiboli.**

Prezes Boniek mówi, że mamy „piłki dwóch prędkości”. Reprezentacja to nasze pendolino, a reszta to pociągi gorszej jakości.

**Nie boisz się, że pendolino się zepsuje, gdy wysiądą z niego Nawałka i Lewandowski?**

Wszystko, co robi ta kadra i ludzie wokół niej, zmierza do tego, by tak się nie stało. Chodzi mi o atmosferę, która sprawia, że więcej chłopców gra w piłkę, a przez to powiększa się tzw. grupa selekcyjna w kolejnych generacjach. Wśród nich są przyszli reprezentanci Polski.

To oczywiście nie załatwi wszystkiego. Istnieje teza, że wielka piłka rodzi się albo w krajach biednych, gdzie dzieciaki grają do upadłego na ulicach, albo w krajach bardzo bogatych, gdzie wszystko jest w ryzach dobrze zorganizowanego systemu szkolenia.

**My jeszcze nie mamy systemu, a już zniknęła z naszego pejzażu instytucja podwórka.**

Dlatego dobrze by było, byśmy jak najszybciej poszli w stronę krajów bogatych.

**Boisz się klapy w Rosji?**

To kwestia nastawienia.

Dużo rozmawiam z żoną, która w ogóle nie interesuje się piłką. Jej główną obawą jest to, że jej męża nie będzie ponad miesiąc w domu...

**...czyli Twoja żona kibicuje Senegalowi i Kolumbii.**

(*śmiech*) Zmierzam do czegoś innego. Na jej narzekania reaguję prośbą, by przypomniała sobie swoją wizytę w Disneylandzie, o której zawsze marzyła. Ja od dzieciństwa marzyłem o mundialu, na którym nigdy nie byłem. „Teraz ja – mówię żonie – jadę do swojego Disneylandu”. Niech kibice podejdą do tego tak samo: niech się cieszą tym mundialem, a nie martwią klapą.

Ja mundialu się nie boję – jaram się nim.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI


arte PO POLSKU

TYGODNIK POWSZECHNY

**Z radością dzielimy się informacją o współpracy „Tygodnika Powszechnego” i europejskiej telewizji kulturalnej ARTE.** Dzięki niej wybrane filmy ARTE (z polskimi napisami) będą miały premierę na stronie www.TygodnikPowszechny.pl. Wyboru filmów, które pokażemy na stronie (za darmo, dla wszystkich), będzie dokonywać znana Państwu z tych łamów Anita Piotrowska, recenzentka „Tygodnika”, laureatka Nagrody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej za krytykę filmową.

## Zobacz film telewizji ARTE
prosto z Krakowskiego Festiwalu Filmowego 2018

**Naszą pierwszą premierą jest film „Reggae Boyz” Tilla Schaudera**, który ledwie tydzień temu wyświetlany był na Krakowskim Festiwalu Filmowym, gdzie zdobył nominację do najważniejszej nagrody tej imprezy, Złotego Rogu.

Tak o filmie pisze Anita Piotrowska: „Idealnie na czas mundialu dociera do nas dokument o jamajskiej drużynie futbolowej, której największym marzeniem jest zakwalifikowanie się do mistrzostw świata. Schauder przygląda się wysiłkom piłkarzy, niemieckiego trenera i muzyków reggae w kraju nękanym przez przemoc i nędzę”.

**Oglądaj na: powszech.net/reggaeboyz**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // MATERIAŁY PROMOCYJNE ARTE

STANISŁAW

# Mancewicz: *Danke!*

Nie ma ofert powiększania mózgu, czy choćby odsysania bigosu z głowy, a rynek na takie usługi wydaje się ogromny. Naturalnie te upiększenia byłyby popularne tylko wśród tych, którzy z niedomiaru własnego rozumu, bądź to z nadmiaru bigosu, zdają sobie choć trochę sprawę. Owa samoświadomość nie jest jednak zjawiskiem powszechnym. Rozpoznanie deficytu to konieczność skorzystania z trudno dostępnych i bardzo kosztownych technik obrazujących, ale już nadmiar bigosu w głowie wydaje się do zdiagnozowania znacznie prościej. Wystarczy nagrać siebie samego i odsłuchać w towarzystwie ludzi życzliwych albo poczytać na głos to, co się samemu napisało.

Nie przyszłoby nam do głowy, żeby wypowiadać się na temat niedawnej przygody o charakterze obyczajowym jednego z tutejszych ulemów u władzy, gdyby nie publiczne próby tłumaczenia jego kłopotów przez jego politycznych przyjaciół w mediach. Oto – jak czytamy tu i ówdzie – radykał ów ma problemy łóżkowo-polityczne z powodu aktywności służb specjalnych niemieckich. Każdy, kto był ciekaw, czym jest bigos w głowie – ma tu właśnie pełny jego garnek.

Pomijamy, że w owych rozważaniach nie ma choćby dobrotliwego napomnienia o charakterze moralnym. Że – powiedzmy – nieładnie jest robić to lub owo. Że – powiedzmy – są sprawdzone od wieków naturalne i niechemiczne techniki hamowania libido, że są także środki chemiczne oraz zabiegi zabezpieczające, że są też lektury, których sugestywność pozwala odsunąć myśli nieczyste. Niektóre nawet na zawsze. Że są także w tanich księgarniach – tu się rozkręcamy doradczo – przystępnie napisane podręczniki na temat kreowania własnego wizerunku, pełne spisów czynności przez autorów odradzanych. Sporządzenie choćby skróconej bibliografii tego typu pozycji, na użytek dowolnego fundamentalisty, jest nawet w naszym zasięgu. Nie mamy wątpliwości, że nawet ich pobieżna lektura umożliwiłaby onemu przejście w chwale przez oka różowej sieci rzuconej przez niemiecką agenturę.

Z naszego punktu widzenia informacja na temat – jak się ktoś był łaskaw ostatnio wyrazić – „cynicznie zaplanowanej operacji niemieckich sił specjalnych" jest przede wszystkim plagiatem. Niecynicznym rzecz jasna, do produkcji cynizmu potrzebna jest bowiem odrobina inteligencji. Otóż nie jesteśmy jeszcze na tyle odmóżdżeni, by nie pamiętać, że wedle propagandy rządzącej tu w latach 80. junty wojskowej Lech Wałęsa dostał Nagrodę Nobla dzięki operacyjnemu działaniu Bundestagu. Zauważamy z niejakim żalem, że ówczesna obecność bigosu we łbach, być może z powodów aprowizacyjnych, była jakby mniejsza, że mózgi lud miał wtedy większe. W magiczną aktywność i skuteczność działań niemieckich rewizjonistów nie wierzyły wtedy nawet dzieci w podstawówkach, nie mówiąc o motorniczych ówczesnej propagandy, których nazwisk nie będziemy tu przytaczać, by nie zostać obwinionymi o łatwe skojarzenia. Dziś w podobne brednie wierzy połowa obywateli zdolnych do wizyty w punkcie wyborczym.

Trochęśmy się teraz nadęli, więc spuściwszy nieco zalatującego bigosem powietrza z naszej głowy, musimy wreszcie podsumować. Otóż erotyczne przygody fundamentalisty religijnego i jego dramatyczne „zawieszenie w prawach członka", a wszystko to wyreżyserowane przez pogrobowców Hitlera – bo przecież to chcieli nam powiedzieć dzisiejsi macherzy – niosą, dodawszy doświadczenia sprzed lat, dwie dobre informacje: Niemcy ułatwiają nam życie, jak mogą. Załatwiają nam prestiżowe nagrody, forsę i panienki. *Danke*! ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

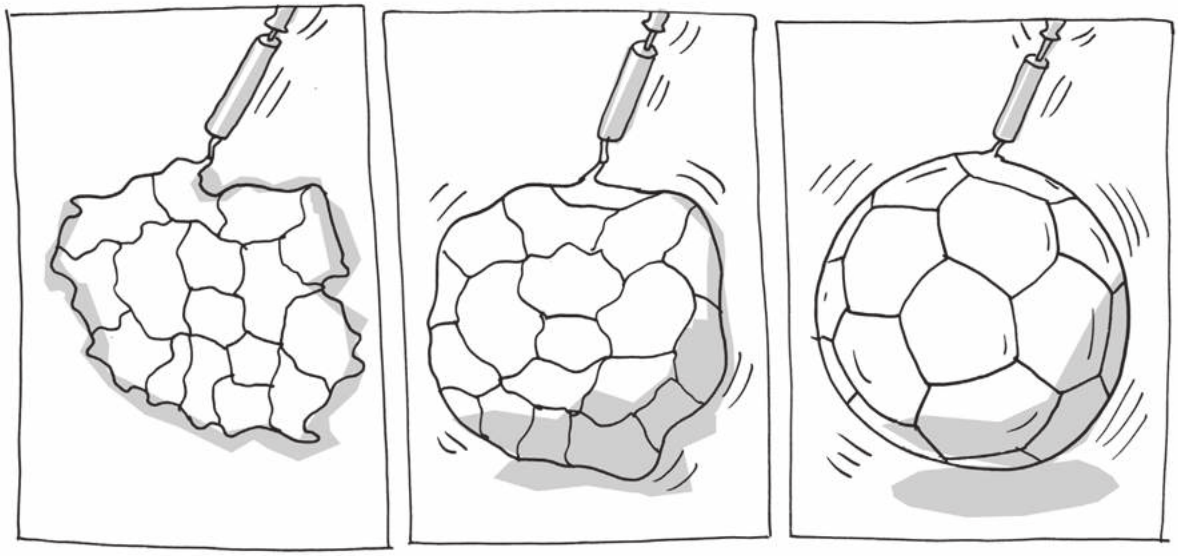

REKLAMA

# POZNAJ NOWOŚCI **WYDAWNICTWA WAM**

RABAT **-25%**

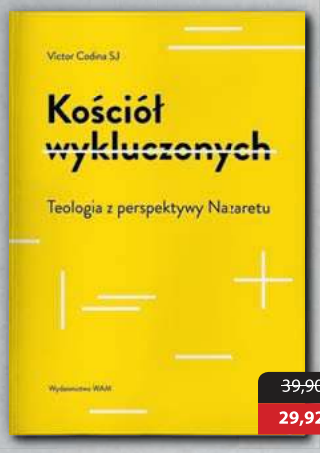


~~39,90 zł~~ **29,92 zł**

Kościół wraca do prostoty Nazaretu. Ludzie wykluczeni, ubodzy, żyjący na marginesie są uprzywilejowanym źródłem refleksji Kościoła. Niezwykle odważna książka teologa pracującego w południowoamerykańskich slumsach.

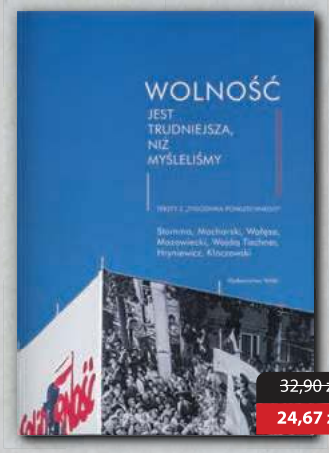


~~32,90 zł~~ **24,67 zł**

Wybitni intelektualiści i prawie 20 lat wolnej Polski: Tischner, Stomma, Kłoczowski, Wajda, Modzelewski. Teksty publikowane po 1989 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego" nie straciły na aktualności.

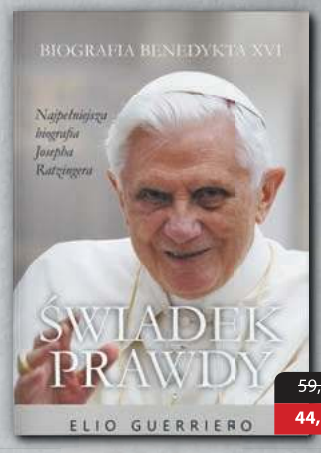


~~59,90 zł~~ **44,92 zł**

Niezwykle bogaty obraz jednej z najważniejszych postaci Kościoła ostatnich dziesięcioleci. Monografia pewnej epoki – epoki Ratzingera.

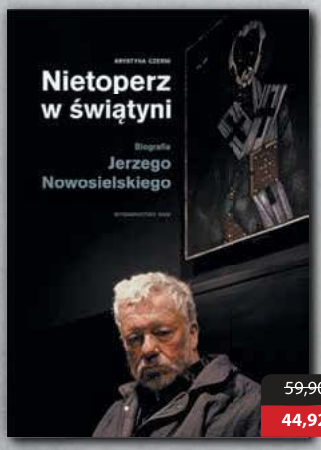


~~59,90 zł~~ **44,92 zł**

Mistyk, malarz i grzesznik. Fascynująca opowieść o Jerzym Nowosielskim, w którego sztuce cała rzeczywistość podlega uświęceniu.

MANDO

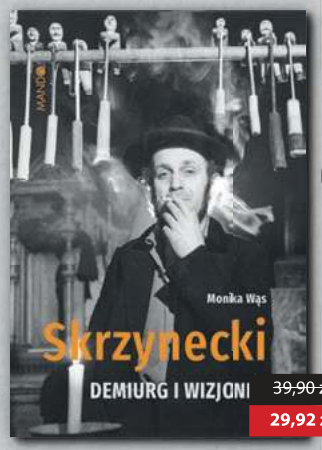


patronaty honorowe

~~39,90 zł~~ **29,92 zł**

Wizjoner, który wymyślił życie. Nie tylko swoje. Pierwsza pełna biografia Piotra Skrzyneckiego.

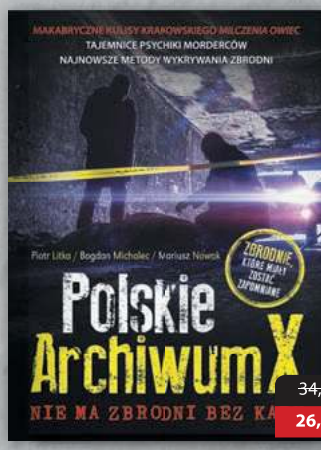


~~34,90 zł~~ **26,17 zł**

Współtwórcy krakowskiego „Archiwum X", w toku wielu śledztw przeszli szkołę, w której lekcje prowadzili najokrutniejsi przestępcy. Ta książka jest tego świadectwem.

**Camino de Santiago. Między historią, legendą i mitem**

Historia i legenda, które wzajemnie się przenikają. Poczuj wyjątkową atmosferę Camino i odkryj fenomen jedynego w swoim rodzaju szlaku.

~~34,90 zł~~ **26,17 zł**

**Camino Portugués**

Wszystkie informacje potrzebne do zaplanowania i przejścia najchętniej wybieranej przez Polaków drogi do Santiago de Compostela, uwzględniając różne warianty trasy.

~~44,90 zł~~ **33,67 zł**

**Camino de Santiago**

Nowe, zaktualizowane wydanie najdokładniejszego i najbardziej kompletnego polskiego przewodnika po Camino de Santiago.

~~44,90 zł~~ **33,67 zł**

**ZAMÓWIENIA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA**

zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP38**
Przy zakupie od **50 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

REKLAMA

# SYJON

## 28. FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ
## 22.06–01.07.2018 KRAKÓW
## JEWISHFESTIVAL.PL

28. Festiwal Kultury Żydowskiej odbywa się pod Patronatem Honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w roku 100-lecia Odzyskania Niepodległości 1918 – 2018

1918·2018

28. FKŻ jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa

Kraków

Partnerem głównym 28. FKŻ jest Województwo Małopolskie

made in MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TAUBE PHILANTHROPIES

KORET FOUNDATION

FRIENDS OF THE CRACOW JEWISH CULTURE FESTIVAL

Partnerzy medialni:

GAZETA wyborcza

TYGODNIK POWSZECHNY

KARNET

RADIO KRAKÓW

Off. RADIO KRAKÓW

TVP 2

TVP 3 KRAKÓW

KULCZYK FOUNDATION

Goldman Sachs Gives

evens foundation

The Kronhill Pletka Foundation

American Jewish Joint Distribution Committee JDC

ISRAEL Ambasada Izraela w WARSZAWIE